

# Fredric Brown

## Marsjańskie marzenia

OPOWIADANIA



Tłumaczenie:

Witold Bartkiewicz,

Mirosław P. Jabłoński,

Małgorzata Dobrowolska,

Wacława Komarnicka,

Adam Pietrasiewicz

Lech Jęczmyk

## **SPIS TREŚCI:**

Astro-mysz.

Turniej.

To jeszcze nie koniec.

Frownzowe florgele

Sześcionogi telepata.

Ostatni Marsjanin.

Gabinet luster.

Ręce precz.

Mąż opatrznosciowy.

Przedstawienie kukielkowe.

Szczęśliwy zakończenie.

Sztuczka ze sznurem.

Ziemiańskie przynoszący dary.

Koniec.

Zakończenie.

Opowieść o handlarzu żywym towarem.

Pierścień Hansa Cavela.

Brednie.

Wyrok.

Zwariowana planeta.

Pierwsza maszyna czasu.

Dowódca.

## Astro-Mysz

(Star Mouse)

Mitki, mysz, wtedy jeszcze w ogóle nie nazywał się Mitki.

Był po prostu tylko jedną z myszy, które żyły w ukryciu, pod deskami podłogi i tynkiem ścian, w domu wielkiego Herr profesora Oberburgera, niegdyś z Wiednia i Heidelbergu; uciekiniera przed zdecydowanie przesadnymi oznakami podziwu i zachwytu, wykazywanymi przez paru jego, obdarzonych większą władzą, współrodaków. Ten przesadny zachwyt nie dotyczył co prawda samego Herr Oberburgera, tylko pewnego gazu, będącego produktem ubocznym nieudanej próby wytworzenia paliwa raketowego — który mógł być jednak wysoce przydatny do zupełnie innych celów.

Gdyby, oczywiście, profesor przekazał im poprawną formułę. Którą, nawiasem mówiąc... No cóż, w każdym razie, profesorowi udało się uciec i teraz mieszkał sobie w małym domu, w Connecticut. Podobnie zresztą, jak i Mitki.

Mała, szara myszka i mały, szary człowiek. W obojgu z nich nie było nic niezwykłego. A już szczególnie, niczego niezwykłego nie było w Mitkim. Miał rodzinę, lubił ser i gdyby tylko pośród myszy byli Rotarianie, to pewnie byłby Rotarianinem.

Herr profesor, miał oczywiście swoje drobne dziwactwa. Jako stary kawaler, nie miał nikogo z kim mógłby porozmawiać, poza sobą samym, ale uważał siebie za doskonałego rozmówcę i kiedy pracował, nieustannie utrzymywał ze sobą komunikację werbalną. Ten fakt, jak okazało się później, był istotny, ponieważ Mitki miał doskonały słuch i odbierał te całonocne monologi. Oczywiście, nie rozumiał ich. Jeżeli w ogóle coś o nich myślał,

to po prostu uważał profesora za wielką i hałaśliwą super-mysz, która zdecydowanie za dużo piszczała.

– Und tehraz – zwykł mawiać do samego siebie profesor, – zobatszimy, tszy ta ruhrka jest dohrze wyphrodukowana. Powinna pasowatsz z dokładnoszczą do jednej sztutyszętszej cala. Achchch, jeszt naphrawdę idealna. Und tehraz...

Noc za nocą, dzień za dniem, miesiąc za miesiącem. Błyszczące urządzenie robiło się coraz większe, a błysk w oku Herr Oberburgera rósł w równie dużym tempie.

Urządzenie miało mniej więcej trzy i pół stopy długości, wyposażone było w jakieś dziwnie ukształtowane płyty i spoczywało na tymczasowej podstawie, stojącej na środku pokoju, służącemu Herr profesorowi, generalnie do wszystkich celów. Dom, w którym mieszkali z Mitkim, był czteropokojowy, ale mogłoby się wydawać, że profesor tego nie zauważył. Początkowo planował wykorzystać duży pokój, wyłącznie jako laboratorium, ale wkrótce stwierdził, że dużo wygodniej będzie mu spać, kiedy już w ogóle sypiał, na pryczy postawionej w jednym z kątów pomieszczenia, oraz gotować te niewielkie ilości potraw, którymi się zadowalał, na podgrzewaczu gazowym, służącym mu również do topienia złocistych ziarenek TNT w niebezpieczną miksturę, soloną i pieprzoną przez niego rozmaitymi dziwnymi przyprawami, ale nigdy przez niego nie spożywaną.

– Und tehraz naleję to w ruhrki i zobatszimy, tszy ruhrka ssąsiednia wyssadzi tę dhrugą, kiedy die piehrwsza ruhrka jeszt...

Tej nocy, Mitki nieomal już się zdecydował, aby przeprowadzić się, wraz z całą rodziną, do bardziej stabilnej siedziby, takiej która nie trzęsie się, nie chwieje i nie próbuje podskakiwać na swoich fundamentach. Jednak Mitki, w końcu nie ruszył się z miejsca, ponieważ okazało się, że są istotne kompensacje, wszystkich tych niewygód. Wszędzie pojawiło się pełno nowych

mysich dziur i — cóż za radość! — wielkie pęknięcie w tylnej ścianie lodówki, w której profesor trzymał, oprócz innych rzeczy, również i jedzenie.

Oczywiście, rurki nie były szersze, niż naczynia włoskowate, inaczej z domu, dookoła mysich dziur, nie pozostałoby nic. No i, oczywiście, Mitki nie mógł się domyślać, co przyniesie przyszłość, ani zrozumieć tyrad wygłaszanych w tego rodzaju angielszczyźnie, jaką posługiwał się Herr profesor (również i w każdym innym rodzaju języka angielskiego, jeżeli już o to chodzi). Nie mógł także nic na to poradzić, że pęknięcie w lodówce, strasznie go kusiło.

Tego poranka, profesor był bardzo radosny.

– Das paliwo, ono działa! Die dhruga ruhrka, nie wybuchła! Und die piehrwsza, jest w kawalkach, tak jak się spodziewalem! Und ono jeszt znatsznie silniejsze! Będzie mnóstwo miejszcza na phrzedzial...

Ach tak, przedział. To właśnie tam wszedł Mitki, chociaż profesor jeszcze o tym nie wiedział. W istocie rzeczy, profesor nie wiedział nawet o istnieniu Mitkiego.

– Und tehraz – powiedział do swojego ulubionego słuchacza, – to jeszt tylko sphrawa takiego zamontowania ruhr paliwowych, aby phracowały one w przeciwnych kiehrunkach. Und wtedy...

To właśnie była chwila, w której wzrok profesora, po raz pierwszy padł na Mitkiego. Dokładniej mówiąc, padł on na szare wąsiki i czarny lśniący nosek, wystający z dziurki w podłodze.

– Ha! – stwierdził. – Tszo my tutaj mamy? Sam Myszka Mitki! Mitki, a tszo bysz powiedszal na małą phsrzejahszdzskę, w phszyszłym tygodniu? Co? No, zobathszymy.

I w ten właśnie sposób, kiedy następnym razem profesor posłał kogoś po zapasy do miasta, jego zamówienie obejmowało również łapkę na myszy — nie tego straszliwego typu, który zabija, ale coś w rodzaju drucianej klat-

ki. I od czasu jej ustawienia, nie minęło więcej, niż dziesięć minut, kiedy czujny nosk Mitkiego wywęszył zapach sera i zaprowadził go prosto w niewolę.

Jednak, nie była to jakaś nieprzyjemna niewola. Mitki był gościem honorowym. Klatka spoczęła teraz na stole, na którym profesor wykonywał większość swojej pracy, a przez jej pręty wpychane były takie ilości sera, że mogłyby doprowadzić każdą mysz do skrajnej niestrawności. Profesor, za to, przestał mówić sam do siebie.

– Widzihsz, Mitki, mialem zamiahr poslatsz do der labohratohrium w Hahrtfohrd, po białą myhszkę, ale po tszo miałbym to robithsz, skohro mam tutaj tsiebie? Z pewnoszthszą jestehsz mądhwszejszy, bardziej zdhrowy i lepiej pothrafisz phszethrwathsz długą podhróhsz, nihsz te myhszy labohratohryjne. Co nie? Ach, ruhszasz wąsznikami und to znatszy tak, co? Und skohro jesztesz phszyzwytshajony do hszytshia w tsiemnych dsiurach, nie będzshiesz tsiehrpial z powodu klausthrofobii, tak jak one, nie?

I Mitki robił się coraz grubszy i coraz bardziej szczęśliwy, nie myślał już nawet o ucieczce z klatki. Obawiam się, że nawet zapomniał o rodzinie, którą zostawił. Wiedział jednak, jeżeli w ogóle cokolwiek wiedział, że nie musi się o nich martwić, ani troszeczkę. Przynajmniej do czasu kiedy, jeżeli w ogóle to nastąpi, profesor nie znajdzie i nie naprawi dziury w lodówce. A lodówki, nie cieszyły się specjalnym priorytetem w umyśle profesora.

– Und tak, Mitki, Umiesztszę tutaj tę płaską plytę — to jeszt tylko do pomocy phszy lądowaniu, w atmosfhsze. Ona i tamte pozoshtale, sphrowadzą tsię bezpieztshnie na dól, na tyle wolno, hsze absohrbehry wsthsząsu w phshenoszonym phszedziale, zabezpietszą tsię phszet zbyt mocnym udehszeniem w głowę, a phszynajmniej tak mi szię wydaje. – Oczywiście Mitkiemu umknął złowieszczy wydźwięk tego zastrzeżenia „tak mi się wydaje”, ponieważ umknęła mu również cała reszta tej wypowiedzi. Nie znał prze-



cież, jak już to wyjaśnialiśmy, języka angielskiego. A przynajmniej, jeszcze nie.

Herr Oberburger, jednak, rozmawiał z nim w ten sposób, przez cały czas. Pokazywał mu nawet zdjęcia.

– Czy widziałeś kiedyś tę mysz, po której tsię nazwałem, Mitki? Co? Nie? Popathsz, to jest ohryginalna Myszka Mitki, Walta Disneya. Ale ja myszlę, hsze ty jesztesz slodhszy, Mitki.

Prawdopodobnie, profesor musiał być troszeczkę szalony, aby rozmawiać w ten sposób ze zwykłą, małą, szarą myszką. Prawdę mówiąc, musiał być troszeczkę szalony, aby zbudować działającą raketę. Ponieważ dziwnym trafem, profesor nie był tak naprawdę wynalazcą. W całej tej sprawie z raketą, jak to skrupulatnie wyjaśnił Mitkiemu, nie było niczego, co by było zupełnie *nowe*. Herr profesor był inżynierem; umiał brać pomysły innych ludzi i sprawiać, żeby one zaczynały funkcjonować. Jego jedyne własne odkrycie — paliwo raketowe, które nie było paliwem — zostało przekazane Rządowi Stanów Zjednoczonych i okazało się być czymś znanym już wcześniej, ale zarzuconym, jako zbyt kosztowne do praktycznego wykorzystania.

Jak bardzo starannie wyjaśniał Mitkiemu:

– To po prostu kwesztia absolutnej dokladnohszci i pophrawnnohszci matematytsznej, Mitki. Wszyhstko jest tutaj — my tylko zlohzyliśmy to razem — i co osiągnęliśmy, Mitki?

Zawiesił na chwilę głos.

– Phrędkoszcz utszetszki, Mitki! Choćszasz ledwie-ledwie, ale to sumuje szę do phrędkosztszi utszetszki. Bytsz mohsze. Jeszt jesztsze wiele nieznanych tszynników, Mitki, w góhrynych wahrstwach atmosfery, w die sztratosfehry. Wydaje nam się, hsze dokładnie wiemy, ile tam jeszt powiethsza, i mohszemy oblitszycz jaki stawia opóhr, ale tszy mohszemy bycz tego absolutnie pewni? Nie, Mitki, nie mohszemy. Nigdy tam jesztsze nie bylismy.

Und der margines jeszt taki wąski, a tak wiele w sztrumieniu powiethsza mohsze na niego oddzialywatsz.

Ale Mitki nie przejmował się tym, ani odrobinę. W cieniu szpiczastego cylindra ze stopu aluminium, połyskiwał tłusty i szczęśliwy.

– Der Tag, Mitki, der Tag! Und nie będę tsię oklamywal, Mitki. Nie będę skladal tsi falszywych obietnic. Wyhruszasz w bahrdzo niebezpieetszną podhróhsz, mein mały phszyjacielu.

– Mitki, daję tsi szanse pól na pól. Nie chodsi mi tutaj o wybóhr der Księższyc lub katastrofa, ale der Księższyc und katastrofa, lub jako dhru-ga mohszliwoszcz bezpieczny powhrót na Ziemię. Widzihsz, mój biedny mały Mitki, księższyc nie jeszt zhrobiony z zielonego sehra, a nawet gdyby był, nie mohszesz poletszcz sobie wysoko, hszeby go zjeszcz, poniewahsz nie wystahrtszy atmosfehry, aby sphrowadzitsz tszę bezpiecznie na dól und hszeby twoje wąsziki były tszagle na swoim miejscu.

– Móglbysz zapytatsz, dlatszego więc w ogóle tszę tam wysylam? Poniewahsz rakietta mohsze nie oszagnątsz prędkoszczi utszetszki. Und w tym wypadku, tszagle jeszt ekspehryment do phszeprowaczenia, ale zupełnie inny. Die rakietta, jehszeli nie poletszi na księższyc, spadnie z powhrotem na die ziemię, nie? Und w tym phszypadku, pewne phszyhszady, phszekahszą nam nowe infohrmacje, któhrych nie mamy o wielu hszetszach tam, w kosmoszie. Und ty phszekahszesz nam infohrmacje o tym tszy jesztesz tsiagle phszy hszyciu, tszy nie, tszy pochlaniansze wsthszასu i platy rakietty dszialają wystahrtszająco dobhsze w atmosfehsze podobnej do ziemskiej. Rozumihsz?

– Pószniej, kiedy wyszlemy rakietty na Wenus, gdsze bycz mohsze isztnieje atmosfehra, będszemy mieli dane do oblitszenia wymaganych rozmiahrów platów i pochlanianszy wsthszასu, co nie? Mitki, będszesz slawny!

Będziesz piehrwszym hszywym stwohszeniem, któhre poletszi ponad stratosfehrę Ziemi, w kosmos.

– Mitki, ty będziesz Aszthro-Myhszą! Zazdhrosztszę ci, Mitki, und na-phrawdę hszaluję, hsze nie jesztem taki maly, jak ty, tak bym mógł tehsz poletszecz.

Der Tag, i wieko przedziału zostało zamknięte.

– Do widszenia, mała Myszko Mitki.

Ciemność. Cisza. Hałas!

„Die rakietka — jehszeli nie poleczi na księższyc — spadnie z powhrotem na die ziemię, nie?” Tak właśnie myślał sobie profesor. Ale nawet najlepiej przygotowane plany dotyczące myszy i ludzi, często idą nie tak jak trzeba. Nawet w przypadku astro-myszy.

A wszystko to, z powodu Prxla.

Herr profesor poczuł się bardzo samotnie. Po tym, jak przez pewien czas miał do rozmowy Mitkiego, monologi stały się jakoś puste i niezbyt mu pasowały.

Pewnie znajdzie się paru ludzi, którzy powiedzą, że towarzystwo małej, szarej myszki, jest kiepskim substytutem żony, ale inni mogą się z tym stwierdzeniem nie zgodzić. A ponadto, profesor nigdy nie miał żony, za to miał mysz, z którą mógł sobie porozmawiać. Teraz utracił to ostatnie, tak więc nawet jeżeli ominęło go również to pierwsze, po prostu nie zdawał sobie z tego sprawy.

W trakcie długiej nocy, po wystrzeleniu rakietki, profesor był bardzo zajęty obserwacją lotu rakietki przez swój teleskop, śliczny, mały, ósmiocalowy reflektor, sprawdzając jej kurs, jak też zakumulowany pęd. Eksplozje gazów wyrzutowych, czyniły z rakietki niewielki, rozjaśniający się i przygasający punkt światła, możliwy do śledzenia, jeżeli ktoś wiedział gdzie patrzeć.

Ale następnego dnia, wydawało się, że nie ma nic do roboty, zaś był za bardzo podekscytowany, na to by usnąć, pomimo że próbował się położyć. Tak więc poszedł na kompromis, wykonując najpilniejsze prace domowe, myjąc garnki i patelnie. W ten sposób zajął sobie czas, do chwili, kiedy nie usłyszał serii szaleńczych, cichutkich piosenek i nie odkrył, że kolejna szara myszka, o nieco krótszych wąsikach i ogonku niż Mitki, nie zawędrowała w pułapkę drucianej klatki.

– Patszczie, patszczie – powiedział profesor. – Co my tu mamy? Minnie? Tszty to Minnie phszyszła szukacz swojego Mitkiego?

Profesor nie był biologiem, ale akurat miał rację. To *była* Minnie. A raczej, była to partnerka Mitkiego, a więc to imię było jak najbardziej usprawiedliwione. Jaki dziwny kaprys umysłu pchnął ją do wejścia w pozbawioną przynęty pułapkę, profesor ani nie wiedział, ani go to nie interesowało. Ale był zachwycony. Szybko zaradził brakowi przynęty w klatce, wpychając między prętami solidny kawałek sera.

W ten sposób Minnie, przybyła aby zająć miejsce swojego, podróżującego w odległych przestworzach małżonka, jako powierniczka najbardziej tajnych myśli profesora. Czy martwiła się o swoją rodzinę, trudno powiedzieć, ale ona również nie musiała tego robić. Dzieci były już na tyle duże, że potrafiły dać sobie radę, zwłaszcza w domu oferującym ogromne możliwości ukrycia się i łatwy dostęp do lodówki.

– Ach, und tehraz jeszt juhsz na tyle ciemno, Minnie, hszte mohszemy sobie popathszetsz na twojego męhsza. To jeszt ogien jego rakiety na tle nieba. To phrawda, Minnie, ten ogien jest bahrdzo maly und die asztronomowie go nie zauwahszą, poniewahsz nie wiedzszą gdzie pathszetsz. Ale my wiemy.

– On będzie bahdzo slawną myhszą, Minnie, ten twój Mitki, kiedy oglosimy szhwiatu o nim i o mojej rakiecie. Rozumiesz, Minnie, Nie mohszemy

jesztsze tego oglositsz. Musimy potszekatsz i phszekazatsz całą hisztorię od razu. Do juhszejszego ranka, będziemy...

– Ach, jeszt tam, Minnie! Ledwie ją widatsz, ale jeszt tam na pewno. Podniosę tszę do der teleszkopu, to sama będszesz mogła popatszytsz. Ale fokus nie jeszt dokładnie dosztrojony do twoich otszu, und ja nie wiem jak to...

– Niemal szto tyszęcy mil, Minnie, i tszągłe phszyszpiesza, ale juhsz nie-długo. Nasz Mitki leci zgodnie z rozkladem, a phrawdę mówiąc nawet trochę szybciej nihsz to oblitszylizmy, co nie? Juhsz stało się pewne, hsze ucieknie ghrawitacji ziemskiej i szpadnie na księższyc!

Oczywiście, był to czysty zbieg okoliczności, ale Minnie w tym momencie pisnęła.

– Ach tak, Minnie, moja mała Minnie. Wiem, wiem. Nigdy więcej juhsz nie zobatszemy twojego Mitkiego, a ja niemal hszaluję, hsze nasz eksperyment szię powiódl. Ale są pewne dobhre sthrony tego wszszystkiego, Minnie. On będzie najslawniehszą ze wszszystkich myhszy. Aszthro-Myhszą! Piehrwsze hszywe stwohszenie, któhre poleciało poza sfehrę ghrawitacyjnego phszytsiągania Ziemi!

Noc trwała bardzo długo. Od czasu, do czasu pasma wysokich chmur, przesłaniały widok.

– Minnie, uhszadzę tszię znatsznie wygodniej, nihsz tehraz, w tej malej dhrutzanej klatce. Chtsziała bysz tszuć szię wolna, chociahsz nie będziesz, tak hszeby wydawało tshi szię, hsze nie ma hszadnych khrat, jak zwiehszētom w nowotszesnym zoo, któhre mają zamiaszt nich fosy?

I tak, żeby wypełnić sobie godzinę, w której chmury zasłaniały niebo, Herr profesor urządził Minnie jej nowy dom. Był to bok drewnianej skrzyni, o grubości mniej więcej pół cala i powierzchni stopy kwadratowej, położony na płask na stole i bez żadnej widocznej bariery, która by go otaczała.

Ale profesor obłożył go od góry na brzegach metalową folią, oraz umieścił na drugiej, większej, desce, która również wyłożona została paskami metalowej folii, otaczającymi wysepkę domu Minnie. Z obu tych obszarów metalowej folii, wychodziły przewody, podłączone do przeciwnych końcówek, stojącego w pobliżu stołu, małego transformatora.

– Und tehras, Minnie, umiehsztszę tsię na twojej wyspie, któhra będzie dosłownie pełna zapasów sehra i wody i zobatszysz, hszę będzie to dla tsiebie doskonale miejsce do hszysia. Jednak raz, tszy dwa, otrzymasz lagodne wsthszasy, kiedy sphróbujesz wyjszcz poza bhszeg wyszpy. Nie będzie to tsię bahrdzo bolalo, ale nie szpodoba tsi szię to, i po pahru phróbach, nautszysz szię, hszęby tego nie robitsz ponownie, co nie? Und...

Minęła kolejna noc.

Minnie mieszkała szczęśliwie na swojej wyspie i dobrze już pojęła lekcję, której miała się nauczyć. Już nie miała ochoty wchodzić nawet na krok, na wewnętrzny pasek metalowej folii. A jednak wyspa, była prawdziwym mysim rajem. Stała na niej ściana sera, większa, niż sama Minnie. Dawało jej to zajęcie. Mysz i ser; wkrótce jedno stanie się transmutacją drugiego.

Profesor Oberburger, jednak o tym w ogóle nie myślał. Profesor był mocno zatroskany. Bez przerwy liczył coś, przeliczał ponownie, wycelowywał swój ośmiocalowy reflektor przez dziurę w dachu, a następnie wyłączał wszystkie światła...

Tak, pomimo wszystko, istniały jednak pewne korzyści z życia w stanie kawalerskim. Jeżeli ktoś chciał mieć dziurę w dachu, to po prostu wybijał sobie dziurę w dachu i nikt mu nie mówił, że do reszty zwariował. Kiedy nadejdzie zima, albo zacznie padać deszcz, to zawsze można będzie wezwać dekarza, albo użyć brezentu.

Ale słabiutkiej smugi światła nie było we właściwym miejscu. Profesor zmarszczył brwi i przeliczył wszystko od nowa, a potem jeszcze raz, prze-

sunął teleskop o trzy dziesiąte sekundy, jednak ciągle nie mógł znaleźć nawet śladu rakiety.

– Minnie, cosz jeszt nie tak. Albo dysze phszestaly wihrowatsz, albo...

Albo rakietka nie poruszała już się po linii prostej względem punktu swojego startu. Przez prostą, oczywiście, należało w tym przypadku rozumieć krzywą paraboliczną, względem wszystkiego, poza szybkością.

Tak więc, Herr profesor zrobił jedyną rzecz, jaka mu pozostawała, i zaczął, przy pomocy teleskopu, przeszukiwać niebo w coraz szerszych kręgach. Minęły dwie godziny, zanim znalazł raketę, pięć stopni od linii właściwego kursu, i oddalającą się coraz bardziej i bardziej od niego... No cóż, można było to określić tylko w jeden sposób. Spirala.

To przeklęte pudło, leciało po okręgu, okręgu, wydającym się tworzyć orbitę, wokół czegoś, czego nie mogło tam być. A potem zawężyło jej średnicę, tworząc koncentryczną spiralę.

Potem... koniec. Znikło. Ciemność. Nie było widać śladu płomieni odrzutu rakiet.

Profesor odwrócił się do Minnie, a jego twarz zrobiła się biała.

– To *niemohszliwe*, Minnie. Meine własne otszy, ale to nie mogło się wydahszytsz. Nawet jehszli jedna sthrona phszestala wihrowatsz, rakietka nie mogła wpaszcz w takie raptowne kola. – Jego ołówek zweryfikował przypuszczenia. – Und, Minnie, ona hamowala szybtsziej nihsz to jeszt mohszliwe. Nawet jehszeli dysze w ogole phrzestaly wihrowatsz, pęd powinien bytsz duhszo...

Reszta nocy — teleskop i obliczenia — nie dały żadnych wyjaśnień. To jest żadnych wiarygodnych wyjaśnień. Musiał tu zadziałać jakaś siła, nie związana immanentnie z samą raketą, i nie wynikająca z grawitacji — ani nawet z oddziaływania żadnego hipotetycznego ciała.

– Mein biedny Mitki.

Szary, nieprzenikniony świt.

– Meine Minnie, to będzie musiało pozostasz w sekrecie. Nie oszmielę się opublikowasz tego co widzieliśmy, ponieważ to jest nie do uwieszenia. Nie jestem pewny, czy ja sam w to wierzę, Minnie. Byłoby może to wszystko dlatego, że jestem przestraszony z braku snu. Po prostu wyobraziłem sobie to, co widziałem...

Później.

– Ale, Minnie, musimy mieć nadzieję. To wszystko dzieje się na wysokości stu pięćdziesięciu mil. Rakieta spadnie z powrotem na ziemię. Ale nie powiem gdzie. Myślałem, że jeśli wyjdzie się coś takiego, będę umiał wylądować, und... Ale po tych koncentrycznych kręgach... Minnie, nawet Einstein nie potrafiłby wylądować, miejsca w którym ona wyląduje. Ani nawet ja. Wszystko, co możemy zrobić, to mieć nadzieję, że usłyszymy, gdzie spadła.

Pochmurny dzień. Ciemna noc zadrze strzegąca swoich tajemnic.

– Minnie, biedny ten nasz Mitki. Nie ma nic, co można by zobaczyć...

Coś jednak było.

Prxl.

Prxl to asteroida. Tej nazwy nie nadali jej ziemscy astronomowie, ponieważ — z naprawdę istotnych powodów — nigdy jej nie odkryli. Tak więc, nazwijmy ją przy pomocy najbliższej możliwej transliteracji nazwy używanej przez jej mieszkańców. No tak, była ona zamieszkała.

Jeśli już o tym pomyśleć, to próba profesora Oberburgera, wysłania rakiety na Księżyc, miała naprawdę dziwne następstwa. Albo raczej miały je działania mieszkańców Prxl.

Czy ktoś mógłby pomyśleć, że pojawienie się asteroidy, może nawrócić pijaka? Ale niejaki Charles Winslow, mocno oszołomiony obywatel Bridgeport w Connecticut, nigdy więcej nie wziął drinka do ust, po tym jak — na



środku Grove Street — mysz zapytała go o drogę do Hartford. Mysz miała na sobie jasne czerwone spodnie i jaskrawe żółte rękawiczki...

Ale to, wydarzyło się piętnaście miesięcy po dniu, w którym profesor zgubił swoją raketę. Lepiej będzie, jeśli o wszystkim opowiemy po kolei.

Prxl to asteroida. Jedno z tych pogardliwie traktowanych ciał niebieskich, które ziemscy astronomowie nazywają robactwem nieba, ponieważ te przekłete diabelstwa, pozostawiały swoje ślady na zdjęciach, zakłócając bardziej istotne obserwacje nowych i mgławic. Pięćdziesiąt tysięcy pcheł pasożytujących na czarnym psie nocy.

Były małe, a przynajmniej większość z nich. Astronomowie niedawno odkryli, że niektóre z nich podchodzą całkiem blisko Ziemi. Zadziwiająco blisko. W 1932 roku wybuchło poruszenie, kiedy Amor zbliżył się na odległość mniejszą niż dziesięć milionów mil — z astronomicznego punktu widzenia, to po prostu rzut beretem. Potem Apollo obciął to o połowę, a w 1936 Adonis przeszedł w odległości poniżej półtora miliona mil.

W 1937, Hermes, niecałe pół miliona, ale astronomowie naprawdę się podekscytowali, kiedy obliczyli jego orbitę i stwierdzili, że ta milowej długości asteroida, może się zbliżyć bardziej niż 220 000 mil, czyli znaleźć się bliżej niż ziemski Księżyc.

Pewnego dnia, ich podniecenie może stać się jeszcze większe, kiedy spostrzegą asteroidę, o średnicy trzech ósmych mili, tego włączę kosmosu, Prxla, wykonującego tranzyt przez tarczę Księżyca, i odkryją, że często zbliża się on zaledwie na sto tysięcy mil, od naszej szybko obracającej się planety.

Jednak mogli go odkryć wyłącznie w trakcie tranzytu, ponieważ Prxl nie odbija światła. W każdym razie, nie robi tego od kilku milionów lat, ponieważ jego mieszkańcy pokryli powierzchnię planetoidy czarnym, absorbującym światło pigmentem, pochodzącym z jej wnętrza. Pomalowanie całego

swojego świata, dla stworzeń o wysokości cala, było zadaniem monumentalnym. Ale z czasem, opłaciło się. Kiedy przesuwali swoją orbitę, zapewniało im to bezpieczeństwo przed wrogami. A w tych czasach, ich nieprzyjaciółmi byli prawdziwi giganci — ośmiocalowi piraci z Deimosy. Raz, czy dwa pojawili się oni również na Ziemi, zanim nie zniknęli z kronik historii. Sympatyczni mali giganci, którzy zabijali, ponieważ sprawiało im to przyjemność. Zapisy historyczne, w obecnie pogrzebanych miastach na Deimosie, mogłyby wyjaśnić, na przykład, co się stało z dinozaurami. Albo dlaczego tak obiecujący Cro-Magnończycy, zniknęli, w trakcie realizacji swojego potencjału, zaledwie parę minut, w skali kosmicznej, po tym jak odeszły w niebyt dinozaury.

Prxl, jednak, przetrwał. Malutka planetka, nie odbijała już promieni słonecznych, a więc po zmianie jej orbity, zginęła z oczu kosmicznych zabójców.

Prxl. Ciągłe istniała na nim cywilizacja. Cywilizacja trwająca od milionów lat. W późniejszych, zdegenerowanych czasach, czarne pokrycie asteroidy zostało zachowane i regularnie je odnawiano, bardziej dla podtrzymania tradycji, niż z powodu obaw przed nieprzyjaciółmi. Potężna, lecz pozostająca w stagnacji, cywilizacja, trwająca na planetce, mknącej przez kosmos, jak pocisk karabinowy.

I Myszka Mitki.

Klarloth, główny naukowiec rasy naukowców, poklepał swojego asystenta Bemja po tym, co można by nazwać jego ramieniem, gdyby w ogóle coś takiego posiadał.

– Zobacz – powiedział – co zbliża się do Prxl. Ewidentnie sztuczny napęd.

Bemj spojrział na ekran-ścianę, a następnie przesłał falę myślową do mechanizmu, który podkreślił powiększenie tysiąckrotnie, modyfikując pola elektroniczne.

Obraz skoczył, rozmywając się, a po chwili stabilizując.

– Wyrób przemysłowy – oznajmił Bemj. – Skrajnie prymitywny, muszę powiedzieć. Prosta rakietka, napędzana paliwem eksplozywnym. Poczekaj, sprawdzę skąd ona pochodzi.

Zebrał odczyty z przyrządów pomiarowych, rozmieszczonych wokół płyty ekranu, i przerzucił je w formie myślowej do psychocewki komputera, czekając chwilę aż ta najbardziej złożona z maszyn, przetrawi wszystkie istotne czynniki i przygotuje odpowiedź. Potem, niecierpliwie, wsunął swój umysł w kontakt projektora urządzenia. Również Klarloth podsłuchiwał niemą transmisję.

Dokładne miejsce na Ziemi i dokładny czas startu. Niemożliwe do wytłumaczenia odzwierciedlenie krzywej trajektorii rakiety i punkt na tej krzywej, w którym ona zboczyła, z powodu grawitacyjnego przyciągania przez Prxl. Miejsce docelowe lotu — czy też oryginalnie planowane miejsce docelowe — było oczywiste, ziemski Księżyc. Czas i miejsce dotarcia do Prxl, jeżeli obecny kurs rakiety pozostanie bez zmian.

– Ziemia – medytacyjnie stwierdził Klarloth. – Kiedy ostatni raz ich sprawdzaliśmy, bardzo dużo im brakowało do lotów raketowych. Toczyły się tam jakieś tam krucjaty, wojny przekonań, nieprawdaż?

Bemj skinął przytakująco głową.

– Katapulty. Łuki i strzały. Od tego czasu, zrobili potężny krok naprzód, nawet jeśli to tylko wczesna, eksperymentalna forma rakiety. Czy zniszczymy ją, zanim tutaj dotrze?

Klarloth z zamyśleniem pokręcił głową.

– Obejrzymy ją sobie. Być może oszczędzi nam to wyprawy na Ziemię: będziemy mogli całkiem nieźle ocenić ich bieżący poziom rozwoju, na podstawie samej rakiety.

– Ale w takim razie będziemy musieli...

– Oczywiście. Skontaktuj się ze Stacją. Powiedz im, żeby wycelowali w raketę swoje ściągaczo-odpychacze i skierowali ją na tymczasową orbitę, do chwili przygotowania lądowiska. I niech nie zapomną wychłodzić paliwa eksplozyjnego, zanim sprowadzą raketę na dół.

– Tymczasowe pole siłowe, wokół miejsca lądowania — tak na wszelki wypadek?

– Naturalnie.

Tak więc, pomimo niemal całkowitego braku atmosfery, w której mogłyby działać jej płaty, rakietę zesłała na dół bezpiecznie, i tak delikatnie, że Mitki w swoim ciemnym przedziale wiedział tylko, że wreszcie skończył się ten straszny hałas.

Mitki od razu poczuł się lepiej. Zjadł jeszcze trochę sera, w który jego przedział został suto zaopatrzony. Potem wrócił do próby wygryzienia dziury w calowej grubości drewnianej wyściółce przedziału. Wyściółka z drewna, należała do pomysłów Herr profesora, mających na celu poprawienie stanu umysłowego Mitkiego. Zdawał sobie sprawę z tego, że próby wygryzienia sobie drogi wyjścia, dadzą Mitkiemu zajęcie na drogę, chroniąc go przed wpadnięciem w nerwową histerię. Pomysł zadziałał, ponieważ Mitki był zajęty, nie ucierpiał więc psychicznie w swoim ciemnym więzieniu. A teraz, kiedy wszystko się uspokoiło, zaczął jeszcze bardziej pracowicie przegryzać się przez wyściółkę i był bardziej szczęśliwy niż kiedykolwiek, w swojej dumie nieświadom, że kiedy przedostanie się przez drewno, napotka na metalową blachę, której nie da rady ugryźć. Ale nawet lepsi od Mitkiego, napotykali w życiu na coś, czego nie dawali rady ugryźć.

Tymczasem Klarloth, Bemj i kilka tysięcy innych Prxlian, stali dokoła, wpatrując się w ogromną rakietę, która nawet leżąc na boku, wznosiła się wysoko ponad ich głowami. Niektórzy z młodszych, zapominając o niewidocznym polu siłowym, podchodzili za blisko i pośpiesznie się wycofywali, żałośnie masując sobie bolące głowy.

Sam Klarloth był w psychografie.

– W rakiecie jest jakaś żywa istota! – zawołał do Bemja. – Ale odbierane wrażenia są zakłócone. Jedno stworzenie, lecz nie jestem w stanie śledzić jego procesów myślowych. W tej chwili, chyba, robi coś przy pomocy zębów.

– To nie może być żaden z Ziemiaków, przedstawiciel dominującej rasy. Każdy osobnik jest nawet jeszcze większy, niż ta olbrzymia rakietka. To gigantyczne stworzenia. Być może, skoro nie mogli zbudować wystarczająco dużej rakietki, aby zmieścić się w niej któryś z nich, wysłali jakieś stworzenie doświadczalne, takie jak nasze woorathy.

– Wydaje mi się, Bemj, że twoje domysły są słuszne. No cóż, jeśli dokładnie przebadamy jego umysł, może jednak uda nam się dowiedzieć na tyle dużo, aby oszczędziło nam to podróży kontrolnej na Ziemię. Mam zamiar otworzyć właz.

– Ale powietrze... ziemskie stworzenia potrzebują ciężkiej, bardzo gęstej atmosfery. Ono tutaj nie przeżyje.

– Oczywiście, wykorzystamy pole siłowe. Zatrzyma powietrze w środku. Niewątpliwie, w rakiecie musi być jakieś źródło powietrza, inaczej stworzenie nie przetrwałoby podróży.

Klarloth podszedł do przyrządów sterujących i pole siłowe wypuściło przed siebie cztery niewidoczne nibynóżki, którymi obróciło pokrywę odkręcanego włazu rakietki, a następnie sięgnęło do jej środka, otwierając wewnętrzne drzwiczki, do samego przedziału.

Cały Prxl obserwował, wstrzymując oddech, jak z ziejącego w górze ogromnego otworu, wysuwa się monstrualny szary łeb. Grube wąsy, równie długie jak ciało Prxlianina...

Mitki zeskoczył na podłozę i zrobił krok do przodu, co spowodowało, że uderzył mocno swoim czarnym nosem... w coś, czego w tym miejscu nie było. Pisnął i odskoczył do tyłu, opierając się o raketę.

Na twarzy Bemja, spoglądającego do góry na potwora, pojawił się niesmak.

– Ewidentnie znacznie mniej inteligentny niż woorath. Chyba równie dobrze, możemy od razu włączyć miotacz promieni.

– Wcale nie – przerwał mu Klarloth. – Zapomniałeś o pewnych, dosyć oczywistych faktach. Oczywiście, to stworzenie nie jest inteligentne, ale podświadomość każdego zwierzęcia, przechowuje w swym wnętrzu wszystkie wspomnienia, wrażenia, wszystkie obrazy zmysłowe, których ono kiedykolwiek doświadczyło. Jeżeli to stworzenie, słyszało kiedyś mowę Ziemiaków, albo widziało jakiegokolwiek ich dzieła — poza tą raketą — to każde słowo, każdy obraz wrył się w jego pamięć nieusuwalnie.

– Naturalnie. Jaki ze mnie głupiec, Klarloth. No cóż, jedna rzecz jest oczywista, oceniając na podstawie samej rakety: przez co najmniej kilka najbliższych millenniów, nie będziemy musieli jeszcze obawiać się ziemskiej nauki. A więc, nie ma powodu do pośpiechu, co bardzo szczęśliwie się składa. Możemy bowiem cofnąć pamięć tego stworzenia, do chwili jego narodzin, a potem prześledzić każde z wrażeń zmysłowych, które będzie potrzebne psychografowi... Zajmie to nam, no cóż, czas, odpowiadający wiekowi stworzenia, niezależnie od jego długości, plus czas niezbędny dla nas, aby zinterpretować i przyswoić sobie każde z wrażeń.

– A jednak, to nie będzie konieczne, Bemj.

– Nie? Ach, chodzi ci o fale X-19?

– Dokładnie. Jeśli skupimy je na centrum mózgowym tego stworzenia, to, bardzo precyzyjnie dostrojone, mogą one, nie zakłócając oryginalnych wspomnień, wzmocnić jego inteligencję — w tej chwili, prawdopodobnie wynoszącą około 0.0001 pełnej skali — do poziomu stworzenia rozumnego. Niemal automatycznie, w trakcie tego procesu, stworzenie zasymiluje swoje własne wspomnienia i zrozumie je tak, jakby było inteligentne, już wtedy, kiedy odbierało doznawane wrażenia.

Po chwili Klarloth dodał:

– Rozumiesz Bemj? Ono automatycznie odrzuci nieistotne dane i będzie mogło odpowiedzieć na nasze pytania.

– Ale nie zrobi się aż tak inteligentne, jak...?

– Jak my? Nie, fale X-19 nie są w stanie aż tak wiele osiągnąć. Powiedziałbym, że może około 0.2 pełnej skali. To, oceniając na podstawie konstrukcji rakiety, połączonej z tym co wiemy o Ziemiach z naszej ostatniej tam wyprawy, odpowiada mniej więcej ich obecnemu miejscu na skali inteligencji.

– Hmm, tak. Na tym poziomie, stworzenie będzie mogło wystarczająco dobrze zrozumieć swoje wspomnienia z Ziemi, jak również, nie będzie niebezpieczne dla nas. Równie inteligentne, jak Ziemiak. Dokładnie odpowiada to naszym celom. Co dalej, nauczymy je naszego języka?

– Poczekaj – przerwał mu Klarloth. Przez chwilę przyglądał się dokładniej wskazaniom psychografu. – Nie, myślę że nie. Będzie miało swój własny język. Widzę w jego podświadomości wspomnienia wielu, bardzo długich rozmów. To dziwne, wszystkie one wydają się być monologami, wygłaszanymi przez jedną osobę. Jednak będzie miało swój język — co prawda bardzo prosty. Uchwycenie istoty naszego sposobu komunikacji, zajęłoby mu zbyt dużo czasu, nawet przy dalszej kuracji. Ale my możemy nauczyć się jego języka, w kilka minut, w czasie kiedy leży ono pod maszyną X-19.

– Ale czy ten stwór rozumie coś z tego języka, już teraz?

Klarloth ponownie przyjrzał się psychografowi.

– Nie, nie wydaje mi się, żeby... Chwileczkę, jest pewne słowo, które chyba coś dla niego znaczy. To słowo brzmi „Mitki”. Zdaje się, że stworzenie tak się nazywa, i jak sądzę dzięki temu, że słyszało je wiele razy, jakoś mgliście kojarzy je ze sobą.

– Jakież pomieszczenie dla niego — ze śluzami powietrznymi i tego rodzaju rzeczami?

– Oczywiście. Poleć, aby je zbudowano.

Stwierdzenie, że dla Mitkiego, było to dziwne doświadczenie, byłoby grubym niedopowiedzeniem. Wiedza, to dziwna rzecz, nawet jeśli zdobywana jest stopniowo. Włać jej tylko komuś trochę do głowy...

Było jeszcze parę spraw, które trzeba było rozwiązać. Na przykład, kwestia strun głosowych. Nie były one przystosowane do języka, którym, jak zaczynał rozumieć, władał. Bemj to skorygował. Nie można było nazwać tego operacją, ponieważ Mitki — nawet przy całej swojej świeżo nabytej świadomości — nie zdawał sobie sprawy z tego co się dzieje i był w tym czasie w pełni przytomny. Oni zaś ze swojej strony, nie wtajemniczyli Mitkiego w sprawy wymiaru J, przy pomocy którego można dostać się do wnętrza różnych rzeczy, nie naruszając ich zewnątrz.

Uważali, że tego typu sprawy nie były Mitkiemu potrzebne, a w każdym razie, znacznie bardziej byli zainteresowani uczeniem się od niego, a nie uczeniem jego. Bemj, Klarloth i kilkunastu innych, uważanych za godnych tego przywileju. Jeżeli w danej chwili nie rozmawiał z nim ten, to robił to tamten.

Ich pytania, pomagały mu w rozwoju swojej własnej inteligencji. Zazwyczaj, nie zdawał sobie sprawy z tego, że zna odpowiedź na jakieś pytanie, do chwili, kiedy nie zostało ono zadane. Dopiero potem składał wszystko ra-



zem, nie wiedząc nawet jak to robił (a przynajmniej nie więcej niż ty lub ja wiemy o tym, w jaki sposób posiadamy wiedzę o różnych sprawach), i udzielał im odpowiedzi.

Bemj:

– Tszony ten język, którym mówisz, jest językiem uniwersalnym?

A Mitki, chociaż nigdy nawet o tym wcześniej nie pomyślał, miał gotową odpowiedź:

– Nie, nie jest. To język Angielski, ale pamiętam, że Herr profesor mówił też o innych językach. Sądzę, że sam, początkowo mówił innym językiem, ale w Ameryce, zawsze mówił po angielsku, aby lepiej go poznać. To piękny język, nieprawdaż?

– Hmm – stwierdził Bemj.

Klarloth:

– A twoja rasa, myśli. Tszony one są dobrze traktowane?

– Nie przesadzaj – odparł Mitki. I wyjaśnił to dokładniej.

– Chciałbym coś dla nich zrobić – dodał jeszcze. – Posłuchaj, tszony nie mogłem być z tobą z powrotem wiedzy o tym procesie, który na mnie zastosowaliście? Uważaj na innych myśli i stworz rasę supermyśli?

– A dlaczego by nie? – spytał Bemj.

Spostrzegł, że Klarloth spogląda na niego dziwnym wzrokiem i przerzucił swój umysł, wchodząc w kontakt z głównym naukowcem, pozostawiając Mitkiego poza tą rozmową bez słów.

– Wiem, oczywiście – powiedział Bemj do Klarlotha, – to prowadzi prosto do kłopotów. Dwie równe klasy tak odmiennych od siebie istot, jak myśli i ludzie, nie mogą żyć razem w przyjaźni. Ale dlaczego mielibyśmy uznać to, za coś niepożądanego? Powstałe dzięki temu zamieszanie, spowoduje postęp na Ziemi — da nam jeszcze parę tysięcy lat więcej spokoju, zanim Zie-

mianie odkryją naszą tutaj obecność i rozpoczną się problemy. Przecież znasz tych Ziemiaków.

– Ale dałbyś im fale X-19? Oni mogliby przecież...

– Nie, oczywiście, że nie. Ale możemy wyjaśnić Mitkiemu, jak zbudować bardzo toporną i ograniczoną maszynę, która je emituje. Na tyle prymitywną, że mogłaby być stosowana wyłącznie do określonych zadań, przekształcenia umysłów myszy, z poziomu 0.0001, do 0.2, czyli do poziomu Mitkiego i tych tłumów Ziemiaków.

– To możliwe – zakomunikował Klarloth. – Pewne jest, że przez całe eony, nie będą w stanie zrozumieć podstawowych zasad jego działania.

– Ale czy nie będą mogli skorzystać, nawet z takiej prymitywnej maszyny, do podniesienia swojego własnego poziomu inteligencji?

– Zapominasz Bemj o podstawowym ograniczeniu promieni X-19. Nikt nie jest w stanie zbudować projektora, zdolnego do wywindowania dowolnego umysłu, do punktu na skali, przewyższającego jego własny. Nawet my.

Cała ta rozmowa toczyła się, oczywiście, poza głową Mitkiego, w bezgłośnym prxlińskim.

Potem nastąpiły kolejne wywiady z Mitkim, i jeszcze dalsze.

Znów Klarloth:

– Mitki, oszthszegamy tsię phszed jedną sphrawą. Bądsz osthrohszny z elekthrytsznozszczą. Der nowy układ molekulahrny twojego mózghu — on jeszt niestabilny, und...

Bemj:

– Mitki, tszy jesztesz pewien, hsze twój Herr profesohr jeszt der najbahrziej zaawansowanym tszłowiekiem, ze whszysztkich zajmujących się ekszpehrymentami z rakietami?

– Genehralnie tak, Bemj. Jeszt jesztsze pahru innych, intehresujących hsię pohsztszególnymi elementami, takimi jak matehrialy wybuchowe,

matematyka, astrofizyka, ktośszy na ich temat mogą wiedzietsz więcej, ale nie wiele więcej.

– To dohbsze – odparł Bemj.

Niewielka szara myszka górowała nad znacznie mniejszymi półcalowymi Prxlianami, jak ogromny dinozaur. Chociaż Mitki był łagodnym, roślinożernym stworzeniem, mógłby zabić kilku z nich jednym ugryzieniem. Jednak, oczywiście, nigdy mu nawet do głowy nie przyszło, żeby coś takiego zrobić, ani im, aby się obawiać, że mógłby mieć na to ochotę.

Przekopali się przez cały jego umysł. Wykonali również przy nim całkiem niezłą pracę, jeśli chodzi o badania fizyczne, ale to było robione przez wymiar J, tak więc Mitki nawet o tym nie wiedział.

Odkryli, co nim kieruje i wyciągnęli z niego wszystko co wiedział, a nawet parę rzeczy, z których nie zdawał sobie sprawy. Przez ten czas, całkiem mocno się do niego przywiązali.

– Mitki – powiedział pewnego dnia Klarloth, – wszystkie der cywilizowane rasy na Ziemi, noszą ubhranie, co nie? A więc, jehszli masz podnieszcz inteligencję myhszy do poziomu ludzi, tszy nie byloby mądhsze hszebysz ty równiehsz noszil ubhranie?

– Doskonaly pomysl, Herr Krahrloth. Und nawet wiem, jaki sztyl by mi się podobał. Der Herr profesohr kiedysz pokazał mi zdjęcze myhszy nahrysowanej phszez der ahrtystę Disneya, und ta myhsz miała ubhranie. Der myhsz nie była tak naphrawdę hszywa, tylko była wymyszlona myhszą z opowiehszchi, und der profesohr nadal mi, po tej myhszy Disneya, imię.

– Co to było za ubhranie, Mitki?

– Jasne tszehrhone szpodnie z dwoma wielkimi hszółtymi guzikami z phszodu i dwoma z tyłu, hszółtymi butami na tylnie lapy i parą hszółtych rękawitszek na przednie. Jesztsze dziuhra w siedzeniu szpodni, tak by miehszszil hszię w niej der ogon.

– W pohsządku, Mitki. Cosz takiego będzie dla tszebie gotowe za piętsz minut.

Było to w przeddzień odlotu Mitkiego. Początkowo Bemj sugerował, żeby poczekać do czasu, gdy wydłużona orbita Prxl ponownie zaniesie asteroidę na odległość stu pięćdziesięciu tysięcy mil od Ziemi. Ale, jak wskazał mu to Klarloth, stanie się to dopiero za pięćdziesiąt pięć ziemskich lat, a Mitki nie przeżyje tak długo. Chyba, że oni... I Bemj od razu zgodził się, że lepiej nie ryzykować wysłania na Ziemię takiej tajemnicy.

Poszli więc na kompromis, zatankowali raketę Mitkiego czymś co powinno umożliwić mu przebycie tych nieco ponad miliona dwustu pięćdziesięciu tysięcy mil, które będzie musiał pokonać. Tą tajemnicą, w ogóle się nie zajmowali, ponieważ paliwo miało się wyczerpać w chwilę po wylądowaniu rakiety.

Dzień odlotu.

– Mitki, zhrobilizmy wszystko co hszię dalo, hszeby usztawisz raketę i tczas wylotu tak byhsz wylądował w miejszczu twojego sztahrta z Ziemi, albo w jego pobliszu. Ale nie mohszesz otszekiwacz wysokiej dokladnoszci phszy tak dlugim locie. Wylądujehsz gdziesz blisko. Rehszta zelehszy juhsz od tszebie. Wyposahszylizmy twoją raketę na wszelki mohszliwy phszypadek.

– Dziękuję, Herr Klahrloth, Herr Bemj. Do widzenia.

– Do widzenia, Mitki. Smutno nam, że nas opusztszasz.

– Do widzenia, Mitki.

– Do widzenia, do widzenia...

Jak na milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy mil, celność była naprawdę imponująca. Rakietę wylądowała w estuarium Long Island Sound, dziesięć mil od Bridgeport i około sześćdziesięciu mil od domu profesora Oberburgera w pobliżu Hartford.

Oczywiście, przygotowali ją do lądowania w wodzie. Rakieta poszła na dno, ale zanim znalazła się więcej niż kilkadziesiąt stóp pod powierzchnią wody, Mitki otworzył właz — specjalnie przygotowany do tego, aby otworzyć go od środka — i wydostał się na zewnątrz.

Na zwykłe ubranie założył zgrabny, niewielki kombinezon do nurkowania, który powinien bez problemu zapewnić mu ochronę, do każdej rozsądnej głębokości, oraz który, ponieważ był lżejszy od wody, wypchnął go szybko na powierzchnię, gdzie mógł już swobodnie otworzyć swój hełm.

Syntetycznego jedzenia miał takie ilości, że mogły mu one wystarczyć na tydzień, jednak, jak się potem okazało, nie było mu aż tyle potrzebne. Przepływająca nocą łódź z Bostonu, zabrała go do Bridgeport na swoim łańcuchu kotwicznym, a kiedy ląd znalazł się już w zasięgu wzroku, zgodnie z tym co wcześniej obiecał Klarlothowi, pozbył się stroju do nurkowania, zatapiając go na dnie, po przebicciu niewielkich pływaków, utrzymujących go na powierzchni wody.

Niemal instynktownie, Mitki rozumiał, że dopóki nie dotrze do profesora Oberburgera i nie opowie mu swojej historii, lepiej będzie unikać spotkań z ludźmi. Największym zagrożeniem, jakie napotkał, były szczury, na które natknął się w miejscu, w którym dopłynął do brzegu. Były dziesięć razy większe od niego i miały kły, którymi dwoma kłapięciami, mogłyby go rozerwać na strzępy.

Jednak umysł zawsze zapanuje nad materią. Mitki wskazał tylko palcem we wspaniałej żółtej rękawiczce oraz oznajmił: „Precz”, i szczury się wyniosły. Nigdy jeszcze nie widziały kogoś takiego jak Mitki, i były pod ogromnym wrażeniem.

Jeżeli już o tym mówimy, to właśnie wtedy, spotkał tego pijaka, którego wypytywał o drogę do Hartford. Wspominaliśmy o tym epizodzie już wcześniej. To był jedyny wypadek, kiedy Mitki próbował nawiązać bezpośredni

kontakt z dziwnymi istotami ludzkimi. Oczywiście, podjął wcześniej wszelkie możliwe środki ostrożności. Wygłaszał swoje uwagi ze strategicznie dobranego miejsca, położonego jedynie parę cali od dziury, do której w razie czego mógłby uciec. Ale to pijak uciekł z wrzaskiem, a nie on, nie zatrzymując się nawet na chwilę, aby odpowiedzieć na pytanie Mitkiego.

W końcu sam dotarł do domu. Pokonał na piechotę drogę do północnego skraju miasteczka i ukrywał się za stacją benzynową, aż usłyszał jak jeden z tankujących benzynę kierowców, dopytuje się o drogę do Hartford. Kiedy samochód ruszył w dalszą drogę, Mitki był już w środku, jako pasażer na gapę.

Reszta nie była już trudna. Obliczenia Prxlian określiły, że punkt startu rakiety położony był o pięć ziemskich mil, na północny zachód od miejsca, które na ich mapach teleskopowych wyglądało jak miasto, zaś z rozmów z profesorem, Mitki wiedział, że nazywa się ono Hartford.

Był w domu.

– Dzień dobhry, panie phrofesohsze.

Herr profesor Oberburger uniósł wzrok, zaskoczony. Nikogo nie było widać.

– Slucham? – spytał pustkę. – Kto to?

– To jesztem ja, panie phrofesohsze. Mitki, ta myhsz, któhrą wyslal pan na der księszyc. Ale ja tam nie byłem. Zamiast tam...

– Co?? To niemohszliwe. Ktosz tu sobie ze mnie robi hszahrty. Ale... ale phszeciehsz nikt nie *wie* o rakiecie. Kiedy lot szię nie udal, nikomu o tym nie powiedziałem. Nie wiedział nikt poza mną...

– I mną, panie phrofesohsze.

Herr profesor ciężko westchnął.

– Phszephracowanie. Zatszynam, jak to hsię mówi, dosztawatsz der hszwira...

– Nie, panie phrofesohsze. To naphrawdę ja, Mitki. Tehraz pothrafię mówisz. Tak jak pan.

– Mówiysz, hsze pothrafiysz... Nie, nie wiehszą tszi. Dlatszego tszię nie widzę? Gdzie jeszteysz? Dlatszego nie...

– Schowalem hszię, panie phrofesohsze, w sztszianie, w tej wielkiej dziuhsze. Chcialem hszię upewnitz, hsze whszysztko jeszt okej, zanim sam hszię panu pokahszę. Tehraz mohsze pan hszię tak bahrdzo nie wysthrahszy i nie hszutszi tshymysz we mnie.

– Co? Dlatszego, Mitki, jehszli to hszetszywihsztsze ty, a ja nie szpię, ani nie dosztaję... Mitki, phszetszieysz dobhsze wiesz, hsze nic takiego nie mógł bym zhrobisz.

– Okej, panie phrofesohsze.

Mitki wyszedł z dziury w ścianie i profesor popatrzył na niego, a potem przetał oczy, spojrział jeszcze raz, przetał oczy i...

– *A jednak* ohszalalem – stwierdził w końcu. – On ma na sobie tszehrhone szpodnie i hszólte... Nie, to nie mohsze bytysz phrawdza. Ja ohszalalem.

– Nie, panie phrofesohsze. Phrohszę mnie posluhatsz, whszysztko panu opowiem.

I Mitki mu opowiedział.

Szary świt i mała szara myszka, opowiadająca mu wszystko, z najdrobniejszymi szczegółami i szczerze.

– Ale Mitki...

– Tak, panie phrofesohsze. Ja rozumiem pański punkt widzenia. Pan uwahsza, hsze inteligentna rasa ludzi oraz inteligentna rasa myhszy, nie mogą wszpólisztniesz razem, obok siebie. Ale phszetszieysz to nie muhszi bytysz tak zupełnie obok hsziebie. Tak jak panu mówilem, na najmniejshzym kontynentszie, Ausztralii, miehszka bahrdzo niewielu ludzi. Und phszewie-

zienie ich z powhrotem i ofiahrowanie tego kontynentu nam, myhszom, nie kosztowaloby zbyt wiele. Moglibyszymy nazwatsz ją Mausztralią, zamiast Ausztralią, a jej sztolicę zamiaszt Sydney, nazwalibyszymy Disney, ku tszczi ...

– Ale, Mitki...

– Niech pan tylko poslucha, panie phrofesohsze, co mohszemy zaoferowatsz za ten kontynent. *Whszysztkie* myhszy tam hszię wyniosą. Ucywilizujemy pahrę z nich, a te pahrę pomohsze nam wylapatsz inne i sphrowadzitsz je do emitehra phromieni. Te inne pomogą zlapatsz jehsztsze więcej i zbudowatsz więcej emitehrów. To whszysztko zatsznie rosnącz jak szniehszna kula sztatszająca hszię ze wzgóhsza. Und potem, podpihszemy pakt o nieaghresji mit ludskie i zohsztaniemy juhsz na zawhsze w Mausztralii, uphrawiając dla hsziebie jedzenie ohraz...

– Ale, Mitki...

– Herr phrofesohsze, niech pan poslucha, co jehsztsze mohszemy ofehrowatsz wam na wymianę! Znihszszymy wahszego największego whroga — der sztszura. My tehsz ich nie kochamy. A jeden batalion zlohsony z tyhsziąca myhszy, uzbhrojonych w male bomby gazowe i maski gazowe, mohsze w tsiągu jednego lub dwu dni, w pohsztszigu za der sztszurami, dostatsz hszię do kahszdej dziuhry i eksztehminowatsz whszysztkie sztszury w miesztsze. W tsiągu roku moglibyszymy zabitsz whszysztkie sztszury na całym szwietszie, i jednotszehsznie ucywilizowatsz whsztsztkie myhszy oraz wyslatsz je do Mausztralii, a potem...

– Ale, Mitki...

– Tak, panie phrofesohsze?

– To mogloby hszię udatsz, ale hszię nie uda. Moglibysztsze ekszterminowatsz der sztszury, tak. Ale ile by minęło tzasu, zanim pojawilyby hszię



konflikty interesów, które doprowadziłyby do próby eksterminacji ludzi, albo ludzi do próby eksterminacji...

– Ale nikt by Cię nie oszmielił, panie profesorze! Moglibyśmy zbudować odpowiednią broń, która spowodowałaby...

– No widzisz, Mitki?

– Ale, to Cię wcale nie musi wystraszyć. Jeżeli ludzie będą honorować nasze prawa, my będziemy honorować...

Herr profesor ciężko westchnął.

– Dobrze... będę twoim pośrednikiem, Mitki i przedstawię twoją propozycję. Und... No cóż, to prawda, że pozbycie się szurów będzie wielkim dobrem dla rasy ludzkiej. Ale...

– Dziękuję, panie profesorze.

– Przy okazji, Mitki. Mam Minnie. Jak mi się wydaje, to twoja żona, chyba, że gdzieś tu są jeszcze jakieś inne myśli. Jest w drugim pokoju. Zniosłem ją tam tuż przed twoim przybyciem, tak żeby miała tajemno i mogła po prostu spać. Czy chcesz się z nią zobaczyć?

– Żona? – powtórzył Mitki. To było tak dawno, że naprawdę niemal zapomniał już o swojej rodzinie, którą był zmuszony porzucić. Wspomnienia, powoli, wracały.

– Hmm – zastanawiał się, – ... cóż, tak. Weźmiemy ją i szybko zbudujemy mały projektor promieni X-19, a potem... Tak, jeżeli będzie nas więcej, to pomożesz panu w pańskich negocjacjach z szadami, ponieważ wszyscy będą widzieli, że ja nie jestem tylko jakimś wyhrykiem natury, jak mogliby podejrzewać w szerszym kontekście.

To nie stało się umyślnie. Zresztą jakby mogło, skoro profesor nie wiedział o ostrzeżeniu przekazanym Mitkiemu przez Klarlotha, żeby uważał na

elektryczność. „Der nowy układ molekularny twojego mózgu — on jest niestabilny, und...”

Tak więc profesor ciągle jeszcze był w oświetlonym pomieszczeniu, kiedy Mitki wbiegł do pokoju, w którym Minnie przebywała w swojej klatce bez krat.

Spała, kiedy ją zauważył... Wspomnienia dawnych dni rozbłysły jak flesz, w jednej chwili wracając do niego, i nagle Mitki zrozumiał jak bardzo czuł się samotny.

– Minnie! – zawołał, zapominając, że nie mogła go zrozumieć.

A potem wszedł na deskę, na której ona leżała.

– Piii! – Pisnął kiedy dopadło go łagodne wyładowanie prądu elektrycznego, pomiędzy dwoma paskami metalowej folii.

Na chwilę zapanowała cisza.

A potem:

– Mitki – zawołał Herr profesor. – Wróć na chwilę i przedyskutujemy jehsztsze to...

Stał w wejściu i zobaczył ich razem, otoczonych szarym blaskiem światła. Dwie małe myszki przytulone do siebie i szczęśliwe. Nie wiedział, która jest która, ponieważ zębki Mitkiego zerwały już z niego czerwono-żółte ubranie, które nagle stało się jakąś dziwną, krępującą i wstrętną rzeczą.

– Co u diabła? – spytał profesor Oberburger. W tej chwili, przypomniał sobie o napięciu i wszystkiego się domyślił.

– Mitki! Juhsz nie mohszesz mówisz? Tszy to...

Cisza.

Potem profesor uśmiechnął się.

– Mitki – powiedział, – moja mala aszthro-myhszko. Myszle, hsze tehraz będsziesz duhszo bahdziej sztszészliwy.

Przyglądał się im przez chwilę, z czułością, a potem wyciągnął rękę i pstryknął przełącznikiem, który wyłączał elektryczną barierę. Oczywiście, nie zdawali sobie sprawy, że są wolni, ale kiedy profesor podniósł oboje i ostrożnie położył na podłodze, jedno z nich natychmiast umknęło do dziurki w ścianie. Druga myszka podążyła za pierwszą, ale nagle odwróciła się i obejrzała do tyłu — nadal ze śladem zainteresowania w małych, czarnych oczkach. Zainteresowania, które stopniowo nikło.

– Do widzenia, Mitki. W ten sposób, będziesz sztszęższliwszy. Und nigdy nie zabhraknie tszi sehra.

– Piiip – odparła mała szara myszka i wskoczyła do dziurki.

To mogło, ale nie musiało, znaczyć „Do widzenia...”.

## To jeszcze nie koniec

### Not Yet the End

Zielonkawe światło działało w metalowym sześciacie deprymująco.

Błado trupia skóra istoty siedzącej przy tablicy rozdzielczej wydzielala jak gdyby zielonkowy blask. Jedyne oko tej istoty, umieszczone pośrodku czoła obserwowało uważnie siedem zegarów. Czyniło to bez przerwy, od chwili opuszczenia przez statek Xandoru. Rasa, do której należał Kar 388 nie znała snu. Nie znała też litości.

Wystarczyło przyjrzeć się twardym, wyostrzonym rysom poniżej oka, by mieć, co do tego pewność. Na zegarach 4 i 7 wskazówki wskazywały, że sześciat zatrzymał się w przestrzeni przed swoim najbliższym celem. Kar pochylił się do przodu i prawa, górna ręka popchnął uchwyt stabilizatora.

Uczyniwszy to wstał i przeciągnął się.

Następnie zwrócił się do swego towarzysza, istoty takiej samej, jak on.

No więc oto pierwszy etap naszej podróży, Gwiazda Z-56 89. Gwiazda ta posiada dziewięć planet, z których jedna tylko, trzecia jest zamieszkała. Mam nadzieję, że znajdziemy tu istoty, które będziemy mogli wykorzystać w charakterze niewolników.

Lal 16b, który przez cały czas podróży siedział nieruchomo, wstał i również przeciągnął się.

- Zawsze musimy żywić podobną nadzieję - powiedział. Gdyby tak było, Wróciłibyśmy na Xantor w glorii sławy, a nasza flotylla przybyłaby tutaj po niewolników. Ale nie cieszymy się zawczasu. Gdyby się nam to udało za pierwszym razem, byłby to prawdziwy cud. Prawdopodobniejsze jest to, że będziemy musieli zbadać przynajmniej z tysiąc takich planet..

- No to zbadamy ich tysiące - rzekł Kar wzruszając ramionami.

- Lunakowie już prawie całkowicie wyginęli i jeśli nie znajdziemy rasy niewolników, którzy mogliby ich zastąpić, nie będziemy w stanie eksploatować naszych kopalń.

Usiadł ponownie przy tablicy rozdzielczej i nacisnąwszy guzik uruchomił monitor zbliżenia.

- Znajdujemy się pod połowa planety pokryta ciemnościami nocy - rzekł spoglądając w monitor. - Dużo tu chmur, które utrudniają widoczność. Przejdę do ręcznego kierowania statkiem.

Nacisnął kilka guzików.

- Spójrz Lal - powiedział. - Regularnie mieszczone światła.

Jakieś miasto! Ta planeta jest naprawdę zamieszkała! Lal usiadł ponownie przed tablicą i również spojrział w monitor.

- Nie mamy potrzeby obawiania się czegokolwiek - zauważył.

- Nawet śladu pola sił wokół miasta. Wiedza naukowa tych istot musi być szczątkowa. Gdybyśmy byli zaatakowani, można by zniszczyć to miasto jedną salwą.

- Słusznie - rzekł Kar. - Tylko przypominam ci, że celem naszej misji nie jest zniszczenie. Przynajmniej tym razem.

Potrzeba nam na razie kilka próbek, jeśli próbki okażą się zadowalające, nasza flotylla zabierze stąd tysiące niewolników - tyle, ile nam potrzeba.

Dopiero później będziemy mogli dokonać dzieła zniszczenia. I, mój drogi, zniszczymy nie miasto, ale całą planetę, bo cywilizacja, która ja zamieszkuje rozwija się i kto wie, czy jej mieszkańcy nie mogliby pewnego dnia próbować zemsty...

- Dobra, już dobra - powiedział Lal, sprawdzając potencjo metr.

- Włączę megrapole i będziemy niewidoczni. Chyba, że te istoty posiadają oczy zdolne widzieć promienie ultrafioletowe - w co wątpię znając widmo ich promienia słonecznego.

Sześcian zniżał się, podczas gdy światło, które rzucał przechodziło z zieleni w kolor fioletowy, następnie przekroczyło długość tej fali. Pojazd zatrzymał się cicho, a Kar uruchomił mechanizm wjazdu. Wysiadł, a za nim Lal.

- Zobacz - powiedział Kar - dwie istoty dwunożne. Dwoje rak, dwoje oczu... Podobni są do Lunaków. Chyba trochę mniejsi. Oto dwie próbki, jakich nam potrzeba.

Uniósł swa lewa, dolna rękę, której trzy palce dźrzyły cienki pręt ze splecionych drucików miedzianych. Dotknął prętem najpierw jedna, później druga z istot. Z prętu nie wydobył się żaden promień, ale obydwie istoty znieruchomiały, jak dwa posągi.

Nie są zbyt wielcy - zauważył Lal. Zaniosę ich na statek, a badania dokonamy już w kosmosie.

Masz racje. Dwie takie istoty wystarcza w zupełności.

Tym bardziej, że jedna jest samcem, a druga samica.

W chwili, później sześcian uniósł się w powietrze. Gdy tylko statek znalazł się poza atmosfera, Kar włączył stabilizator i zbliżył się do Lala, który tymczasem rozpoczął badania obydwu próbek.

To są ssaki - powiedział Lal. - Piec palców, ręce nadające się do wykonywania precyzyjniejszych prac. Oczywiście dla nas nie ręce mają znacze-

nie, lecz inteligencja. Kar wyciągnął z szuflady dwie pary kasków. Lal jeden kask nałożył sobie na głowę, a drugi na głowę istoty, która badał.

Kar uczynił z druga istota to samo.

Po kilku minutach spojrzeli na siebie rozczarowani.

Siedem punktów poniżej normy - powiedział Kar. – Nie ma mowy, by ich wyuczyć najzwyklejszych prac w naszych kopalniach. Nie zrozumieliby najprostszych rozkazów.

Najwyżej sprowadzimy je do naszego muzeum...

No to, co? Niszczymy planetę?

Chyba nie warto. Za jakieś milion lat, o ile nasza rasa będzie jeszcze do tego czasu istniała, istoty te będą wystarczająco rozwinięte, aby je wykorzystać w charakterze niewolników. Trudno. Trzeba będzie szukać w innym systemie słonecznym i na innych planetach...

\* \* \*

Sekretarz Redakcji „Milwakue Star” siedział nad makieta i kończył właśnie kolumnę miejska. Jenkins, metrampaż pokazał mu wolne miejsce na końcu strony.

- Mam tu dziurę na ósmej kolumnie - powiedział - zmieszczę tu dziesięć wierszy z tytułem. A tu są dwie wiadomości w sam raz.

Sekretarz redakcji rzucił okiem na skład. Umiał go odczytać w odwrotnym kierunku.

Ta jedna jest o zebraniu kółka rolniczego, a druga o jakiejś historii, która wydarzyła się w ogrodzie zoologicznym.

Weź lepiej te notatkę o kółku rolniczym, bo kogo to właściwie może zainteresować, że dyrektor ZOO sygnalizuje niewytłumaczone zniknięcie dwóch małp?

Przełożył A.M.

## Turniej

### *Arena*

Carson otworzył oczy i uświadomił sobie, że patrzy w rozciągającą się nad nim migotliwą, błękitną mgłę.

Było gorąco, a on leżał na piasku i jakiś ukryty w tym piasku ostry kamień wbijał mu się boleśnie w plecy. Carson przekręcił się na bok; potem dźwignął się z trudem i usiadł.



„Zwariowałem — pomyślał. — Zwariowałem... albo umarłem.., albo sam nie wiem co”. Piasek był błękitny, jaskrawo-błękitny. Na Ziemi ani na żadnej z planet nie było przecież błękitnego piasku.

Błękitny piasek.

Błękitny piasek pod błękitną kopułą, która nie była niebem ani pomieszczeniem, lecz zamkniętą przestrzenią. Wyczuwał, że ta przestrzeń jest zamknięta i skończona, chociaż nie widział jej granic.

Nabrał garść piasku i przepuścił go przez palce. Ziarnka posypały się na jego obnażoną nogę. Obnażoną?

Nagą. Był zupełnie nagi, ciało jego od nieznośnego gorąca ociekało potem i powlekała je cienka warstwa piasku w tych miejscach, gdzie piasku dotknęło.

Ciało miał białe.

Pomyślał: „A więc ten piasek jest rzeczywiście błękitny. Gdyby się tylko wydawał błękitny wskutek błękitnego światła, ja bym też był błękitny. Ale jestem biały, wobec tego piasek jest błękitny. Błękitny piasek. Taki piasek nie istnieje. W ogóle nie istnieje takie miejsce jak to, w którym jestem”.

Pot zalewał mu oczy.

Było gorąco, goręcej niż w piekle. Tyle że piekło — piekło ludzi starożytnych — miało być czerwone, nie błękitne. Ale jeżeli to nie jest piekło, co to właściwie jest? Wśród planet tylko na Merkury jest tak gorąco, a to nie jest Merkury. Poza tym Merkurego dzieli sześć miliardów kilometrów od...

Przypomniał sobie naraz, gdzie był przedtem. W małym, jednoosobowym statku rozpoznawczym nie opodal orbity Plutona, odbywając rekonesans na wąskim pasie miliona kilometrów po jednej stronie Armady Ziemskiej, stojącej tam w szyku bojowym, aby przeciąć drogę Obcym.

Nagły, natarczywy, szarpiący nerwy dzwonek alarmowy, kiedy nieprzyjacielski statek zwiadowczy — statek Obcych — znalazł się w zasięgu wykrywaczy statku Carsona...

Nikt nie wiedział, kto są ci Obcy, jak wyglądają, z jakiej galaktyki przybyli. Wiadomo było tylko, że skądś od strony Plejad.

Pierwsze sporadyczne najazdy na ziemskie kolonie i placówki graniczne. Starcia między patrolami ziemskimi i małymi grupami statków kosmicznych Obcych; starcia czasem wygrane, czasem przegrane, nigdy jednak dotychczas nie zakończone wzięciem do niewoli choćby jednego statku intruzów. Nigdy też nie pozostał przy życiu żaden z mieszkańców podbitej kolonii, aby móc opisać Obcych, którzy wysiedli ze statków, jeżeli z nich w ogóle wysiadali.

Niebezpieczeństwo z początku nie wydawało się groźne, bo najazdy nie były zbyt liczne ani szkody zbyt wielkie. Statki obcych uzbrojone były nieco gorzej od najlepszych ziemskich jednostek bojowych, aczkolwiek górowały nad nimi szybkością i zwrotnością. Ta nieco większa szybkość pozwalała Obcym wybierać między ucieczką a walką, chyba że dostały się w okrążenie.

Mimo to Ziemia przygotowała się do wielkiej batalii, do ostatecznej rozgrywki, budując najpotężniejszą armadę wszystkich czasów. Armada długo czekała w pogotowiu. Ale teraz nadszedł czas rozprawy.

Zwiadowcy, operujący w odległości dwudziestu miliardów km od Ziemi, dali znać, że zbliża się potężna flota Obcych. Zwiadowcy ci nigdy już nie wrócili, ale ich komunikaty radiotroniczne dotarły na Ziemię. Teraz więc Armada Ziemską, w sile dziesięciu tysięcy statków z pół milionem wojskowych kosmonautów, czekała tam, przy orbicie Plutona, aby przeciąć drogę Obcym i stoczyć z nimi walkę na śmierć i życie.

Walka zresztą miała być wyrównana, sądząc z doniesień nadesłanych przez zwiadowców, którzy nim zginęli, zdążyli zameldować o rozmiarach i sile nadciągającej floty.

Przy tak równych siłach nikt nie mógł przewidzieć wyniku bitwy i sprawa panowania w Układzie Słonecznym zawisła na włosku. Przypadek był tu szansą ostatnią i jedyną. Gdyby zwyciężyli Obcy, Ziemia wraz ze wszystkimi koloniami zdana byłaby całkowicie na ich łaskę i niełaskę. Ach, tak. Bob Carson przypomniał sobie...

Nie wyjaśniało to wprawdzie zagadki błękitnego piasku i migotliwej błękitnej mgły. Ale przypomniał sobie znów natarczywy dźwięk dzwonka i swój skok do przyrządów sterowniczych. Nerwowe ruchy swoich rąk, kiedy zapinał pasy. Kropkę na ekranie, która rosła gwałtownie...

Suchość w ustach. Potworna świadomość, że to już jest to. Dla niego przynajmniej, mimo że główne siły obydwóch flot nie znalazły się jeszcze we wzajemnym zasięgu.

Pierwszy smak walki. Za trzy sekundy czy jeszcze prędzej zwycięży albo stanie się garścią żużlu i popiołu. Zginie. Trzy sekundy — tyle trwa starcie kosmiczne. Dość czasu, żeby wolno policzyć do trzech, a potem — zwycięstwo albo śmierć. Jedno trafienie wystarcza, żeby zniszczyć lekko uzbrojony i słabo opancerzony mały statek rozpoznawczy.

Podczas gdy spieczone wargi wypowiedziały bezwiednie słowo „Raz”, gorączkowo manipulował sterami, aby utrzymać rosnącą kropkę na skrzyżowaniu pajęczych nici ekranu. Ręce obracały stery, a równocześnie prawa stopa zawisła nad pedałem wyrzutni pocisku. Jeden jedyny pocisk stężonego piekła, który musi trafić albo... Na drugi strzał nie będzie już czasu.

„Dwa”. Liczył, nie zdając sobie z tego sprawy. Kropka na ekranie nie była już kropką. Odległa tylko o kilka tysięcy kilometrów, sprawiała teraz w powiększeniu takie wrażenie, jak gdyby znajdowała się w odległości zaledwie

kilkuset metrów. Był to zgrabny, szybki statek rozpoznawczy, mniej więcej tej wielkości co statek Carsona.

Obcy, tak, ponad wszelką wątpliwość.

„Trz...”

Stopa dotknęła pedału wyrzutni...

Naraz Obcy skręcił raptownie i zniknął z krzyżujących się linii. Carson z rozpaczliwym pośpiechem naciskał klawisze przyrządów, żeby pognać za nim.

Przez dziesiątą część sekundy Obcego nie było wcale na ekranie, potem, kiedy dziób statku Carsona obrócił się za nim, Carson ujrzał go znów. Obcy lotem nurkującym zmierzał wprost ku lądowi.

Ląd? Było to chyba złudzenie optyczne. Musiała być złudzeniem ta planeta — czy cokolwiek innego — która wypełniła teraz cały ekran. Nie mogło tu być żadnego lądu. Najbliższą planetą był Neptun, odległy o cztery miliardy kilometrów, a Pluton krył się po drugiej stronie dalekiego słońca wielkości łebka od szpilki.

Carson miał przecież przyrządy! Nie wskazywały żadnego obiektu rozmiarów planety, nawet rozmiarów asteroidu. Ogarnął go nagły lęk, przeraził się zderzenia, zapominając nawet o Obcym. Wystrzelił przednie rakiet hamujące, a gdy nagła zmiana szybkości cisnęła go do przodu napinając pasy, wystrzelił prawe rakiet, żeby wykonać awaryjny zwrot. Przycisnął klawisze i nie odejmował od nich rąk, wiedząc, że musi użyć wszystkich środków bezpieczeństwa, aby uniknąć kraksy i że przy tak nagłym zwrocie straci na chwilę przytomność.

Poczuł, że ją traci.

To było wszystko. Teraz siedział na rozpalonym błękitnym piasku, kompletnie nagi, choć poza tym cały i zdrow. Nigdzie nie było śladu po stat-

ku kosmicznym, a zresztą nie było też śladu Kosmosu. Nie miał pojęcia, co to za sklepienie ma nad głową, ale pewien był, że to nie jest niebo.

Dźwignął się na nogi.

Przyciąganie wydawało się nieco większe od normalnego. Niewiele większe.

Jak okiem sięgnąć, gładka płaszczyzna pokryta piaskiem. Tu i ówdzie kępy mizernych krzaków. Krzaki też niebieskie, ale w różnych odcieniach, niektóre jaśniejsze od błękitu piasku, inne znów ciemniejsze.

Spod najbliższego krzaka wybiegło małe stworzonko. Było podobne do jaszczurki, ale miało więcej niż cztery łapki. Stworzonko też było błękitne. Jaskrawo-błękitne. Zobaczyło Carsona i szybko uciekło z powrotem pod krzak.

Carson spojrzał znów w górę, usiłując dociec, co właściwie ma nad głową. Czy to dach? Nie, ale w każdym razie kopuła. Migotała ustawicznie, co utrudniało patrzenie. Niewątpliwie jednak miała kształt półkolisty i sięgała aż do płaszczyzny, do błękitnego piasku, otaczając Carsona ze wszystkich stron.

Znajdował się nie opodal środka kopuły. Dzieliło go jakieś sto metrów od najbliższej ściany, jeżeli to była ściana. Miał wrażenie, że wydrążoną błękitną półkulą czegoś, mającą około dwustu pięćdziesięciu metrów w obwodzie, przykryto gładką płaszczyznę piasku.

Wszystko było niebieskie, prócz jednej plamy. W znacznej odległości, pod wklęsłą błękitną ścianą Carson dostrzegł coś czerwonego, jak gdyby kulę, mającą około metra średnicy. Znajdowała się zbyt daleko, żeby można było w tej migotliwej niebieskości dokładnie jej się przyjrzeć. Ale sam nie wiedząc czemu poczuł, że przeszył go dreszcz.

Wierzchem dłoni otarł pot z czoła, a raczej bezskutecznie próbował go otrzeć.

Czy to upiorny sen? Ten upał, ten piasek, to nieokreślone uczucie odrzy, którego doznawał, ilekroć spojrział na czerwoną kulę.

Sen? Nie, człowiek nie zasypia i nie ma widziadeł sennych podczas walki w Kosmosie.

Śmierć? Niepodobna. Gdyby istniała nieśmiertelność, nie byłaby czymś tak bezsensownym, złożonym z błękitnego skwaru, błękitnego piasku i czerwonej ohydy.

Naraz usłyszał głos.

Usłyszał go w głowie, nie w uszach. Dobiegał znikąd i zewsząd.

— *Wędrując przez czasy, przestrzenie i wymiary* — rozbrzmiewał głos w mózgu Carsona — *ujrzałem w tym czasie i tej przestrzeni dwa ludy, mające stoczyć wojnę, w której jeden z nich musi zginąć, a drugi tak osłabnie, że cofnie się w rozwoju i nie spełni nigdy swego przeznaczenia, lecz ostatecznie w proch się obróci, z którego powstał. Mówię tedy, że tak się stać nie może.*

— Kto... kim jesteś? — Carson nie powiedział tego na głos, pytanie zarysowało się tylko w jego myślach.

— *Nie zrozumiesz tego. Jestem...* — Nastąpiła pauza, jak gdyby głos szukał — w mózgu Carsona — słowa, którego tam nie było, słowa, którego Carson nie znał. — *Jestem zakończeniem ewolucji gatunku tak starego, że czasu nie można określić wyrazami, których znaczenie zdołałbyś pojąć... Gatunku stopionego w jedno jestestwo, wieczne... Takim jestestwem mógłby się stać twój prymitywny gatunek...* — znów szukanie słowa — *...po długim czasie. Mógłby się nim stać również gatunek, który w myślach nazywasz Obcymi. Postanawiam więc wtrącić się do tej bitwy, bitwy między flotami o siłach tak równych, że wynikiem jej byłaby zagłada obu gatunków. Jeden musi ocaleć. Jeden musi rozwijać się i ewoluować.*

— Jeden? — pomyślał Carson. — Mój czy?...

— *Jest w mojej mocy zapobiec wojnie, odesłać przybyszów do ich galaktyki. Ale wróciliby z czasem albo twoi współbracia prędzej czy później podążyliby tam za nimi. Tylko pozostając tutaj, w tym czasie i tej przestrzeni, aby ustawicznie interweniować, mógłbym powstrzymać te dwa gatunki od wzajemnego unicestwienia, a pozostać nie mogę.*

Rozstrzygnę więc teraz. Zniszczę jedną flotę doszczętnie, druga zaś nie poniesie żadnych strat. Jedna cywilizacja będzie w ten sposób ocalona.

Zły sen. To musi być zły sen, pomyślał Carson. Ale wiedział, że tak nie jest.

Wszystko było zbyt obłądne, zbyt niewiarygodne, aby mogło nie być rzeczywistością.

Nie śmiał zadać pytania: która? Ale wyręczyły go w tym jego myśli.

— *Ocaleje silniejszy* — rzekł głos. — *Tego nie mogę ż nie chcę zmienić. Ingeruję tylko po to, aby zwycięstwo było całkowite, aby nie było* — znów szukanie słowa — *pyrrusowym zwycięstwem śmiertelnie osłabionego gatunku.*

*Z krańców niedosłej bitwy wybrałem na chybił trafił dwóch osobników, ciebie i jednego z Obcych. Widzę z twej pamięci, że w nacjonalistycznym zaraniu waszych dziejów znane były wypadki, kiedy o wyniku zatargu między dwoma narodami rozstrzygał turniej ich reprezentantów, rycerzy.*

*Ty i twój przeciwnik staniecie tu do walki nadzy i nieuzbrojeni, w warunkach równie dla was obu nieznanymi i równie dla obu przykrych. Nie ma ograniczenia czasu, bo czas tu nie istnieje. Ten, co pozostanie przy życiu, będzie orędownikiem swego gatunku. Jego gatunek ocaleje.*

— Ale... — Protest Carsona był właściwie nieartykułowanym dźwiękiem, lecz głos natychmiast odpowiedział:

— *Wszystko jest przewidziane. Warunki są takie, że sama tylko przypadkowa przewaga siły fizycznej nie będzie mogła rozstrzygnąć o wyniku zma-*

*gań. Jest tu bariera. Zrozumiesz to. Bystrość i odwaga będzie ważniejsza od siły. Zwłaszcza odwaga, która jest wola życia.*

— Ale kiedy my tu będziemy walczyć, nasze floty...

— *Nie. Znajdujesz się w innym wymiarze, w innym czasie. Tam, we wszechświecie, który znasz, czas stoi, dopóki tu jesteś. Widzę, że zastanawiasz się, czy to miejsce istnieje naprawdę. I tak, że nie. Podobnie jak ja — w twoim ograniczonym rozumieniu — istnieję, a zarazem nie istnieję. Moje istnienie należy do sfery psychicznej, nie fizycznej. Widziałeś mnie jako planetę, równie dobrze mógłbyś mnie ujrzeć jako pyłek albo słońce.*

*Dla ciebie jednak to miejsce jest teraz rzeczywiste. Cierpienia, których tu doznasz, będą prawdziwe. A jeżeli tu zginiesz, zginiesz naprawdę. Jeżeli umrzesz, twoja porażka będzie oznaczała śmierć całego twego gatunku. Tyle wiesz i to ci musi wystarczyć.*

Głos umilkł.

Carson znów był sam, ale i nie sam. Gdy bowiem podniósł oczy, spostrzegł, że odrażający kulisty potwór, o którym wiedział już, że to Obcy, toczy się w jego kierunku. Toczy się.

Zdawało się, że nie ma nóg ani rąk, a w każdym razie nic takiego nie było widać. Toczył się po błękitnym piasku z płynną szybkością kropli rtęci. A przed nim, w sposób dla Carsona niepojęty, szła paraliżująca fala straszliwej nienawiści, od której mdliło, od której zbierało się na wymioty.

Carson rozejrzał się gorączkowo. Kamień, leżący w piasku o metr od niego, był czymś najbardziej zbliżonym do jakiejś broni. Nie był duży, ale miał ostre kany jak odłamek krzemienia. Wyglądał jak błękitny krzemień. Carson podniósł go i skulił się w oczekiwaniu ataku. Przeciwnik zbliżał się szybko, Carson nie zdołałby przed nim uciec.

Nie miał czasu, żeby się zastanowić, jak ma odeprzeć atak, a zresztą, czy mógł obmyśleć sposób walki ze stworzeniem, którego siły, cech charaktery-



stycznych i metod walki nie znał? Przeciwnik, tocząc się teraz szybko, bardziej jeszcze niż przedtem przypominał idealnie okrągłą kulę.

Kulisty był już tylko o dziesięć metrów. O pięć. Naraz zatrzymał się.

A raczej coś go zatrzymało. Jego bok, znajdujący się naprzeciw Carsona, rozpląszczył się nagle, jak gdyby trafił na niewidzialną ścianę. Kulisty odbił się, dosłownie odbił się od niewidzialnej przeszkody i odskoczył w tył.

Potem znów potoczył się naprzód, ale już wolniej, ostrożniej. Zatrzymał się znów w tym samym miejscu. Spróbował tym razem o kilka metrów dalej.

Musiła tam istnieć swego rodzaju przegroda. Carson coś sobie nagle przypomniał, Jak to powiedział głos? *Sama tylko przypadkowa przewaga siły fizycznej nie będzie mogła rozstrzygnąć o wyniku zmagania. Jest tu bariera.*

Pole elektromagnetyczne. Oczywiście nie Pole Netza, znane nauce ziemskiej, tamto bowiem iskrzy się i wydaje trzaski. To pole było niewidzialne, ciche.

Była to ściana, biegnąca przez środek wydrążonej półkuli. Carson mógł tego nawet nie sprawdzać. Kulisty czynił to za niego — toczył się wzdłuż bariery, szukając jakiegoś otworu, którego wciąż nie znajdował.

Carson postąpił kilka kroków do przodu, wyciągając przed sobą lewą rękę, aż wreszcie dotknął bariery. Była gładka w dotyku, elastyczna, przypominała raczej gumę niż szkło. Rozgrzana, ale nie bardziej niż piasek pod jego stopami. Przy tym zupełnie przezroczysta, nawet z bliska.

Rzucił kamień, przyłożył do bariery obie ręce i spróbował ją popchnąć. Zdawało się, że ustąpiła odrobinę. Ale tylko odrobinę, nawet gdy napierał całym swoim ciężarem. Sprawiała wrażenie stali obciążonej gumą — najpierw miękka sprężystość, potem niewzruszona twardość.

Wspiął się na palce i sięgnął jak mógł najwyżej — przegroda wciąż była.

Zobaczył, że Kulisty dotarł do ściany i wraca. Carsona znów chwyciły mdłości, cofnął się, kiedy tamten go mijał. Kulisty nie zatrzymał się.

Ale czy bariera nie kończy się gdzieś na dole? Carson ukląkł i zaczął rozkopywać piasek. Piasek był miękki, lekki, kopanie szło łatwo. Na głębokości pół metra bariera wciąż jeszcze istniała.

Kulisty znów zawrócił. Widocznie z tamtej strony też nie mógł znaleźć żadnego przejścia.

Musi być jakiś sposób, pomyślał Carson. Jakiś sposób na to, żebyśmy mogli się do siebie zbliżyć. W przeciwnym razie ten pojedynek nie miałby sensu.

Kulisty wrócił na dawne miejsce i zatrzymał się po drugiej stronie barier, w odległości zaledwie dwóch metrów. Carson miał wrażenie, że przeciwnik go obserwuje, chociaż ani rusz nie mógł się u niego dopatrzeć jakichkolwiek organów zmysłów. Nic, co by wyglądało jak oczy, uszy czy przynajmniej usta. Dojrzał wprawdzie teraz szereg rowków może dziesięć czy piętnaście — zobaczył też, że z dwóch rowków wysunęły się nagle dwie macki i zanurzyły się w piasku, jak gdyby badając jego konsystencję. Macki miały około trzech centymetrów średnicy i około pół metra długości.

Macki wysuwały się i cofały do rowków. Pozostawały ukryte w rowkach, kiedy Kulisty się toczył, i wyglądało na to, że nie mają nic wspólnego z jego sposobem poruszania się. O ile można się było zorientować, Kulisty poruszał się przesuwając jakoś swój środek ciężkości, ale jak się to działo, tego Carson nie potrafił sobie nawet wyobrazić.

Wzdrygnął się patrząc na ten stwór. Był obcy, wstrętny, niewymownie ohydny, przerażająco różny od jakichkolwiek form życia na Ziemi czy na innych planetach Układu Słonecznego. Carson wyczuwał instynktownie, że psychika potwora musi być równie odrażająca jak jego ciało.

Ale musiał spróbować. Jeżeli Kulisty nie miał żadnych zdolności telepatycznych, próba była z góry skazana na niepowodzenie, Carson sądził jednak, że Kulisty ma takie zdolności. Odczuł przecież kilka minut temu, kiedy Kulisty usiłował go zaatakować, emanację czegoś nie dającego się zakwalifikować do zjawisk fizycznych — zwartą, niemal dotykalaną falę nienawiści.

Jeżeli Kulisty potrafił wysłać taką falę, może potrafi też czytać w myślach Carsona, przynajmniej na tyle, żeby zrozumieć, o co Carsonowi chodzi.

Wolno, znacząco Carson podniósł kamień, który był jego jedyną bronią, a potem odrzucił go od siebie gestem poniechania walki i podniósł w górę rozwarłe dłonie.

Zaczął mówić na głos, wiedząc, że chociaż dla stojącego przed nim przeciwnika słowa nic nie będą znaczyły, wypowiedanie ich pomoże jemu samemu dokładniej skupić myśli na tym, co chce Kulistemu przekazać.

— Czy nie możemy zawrzeć pokoju? — powiedział, a głos jego zabrzmiał dziwnie wśród całkowitej ciszy. — Jestestwo, które nas tu sprowadziło, powiedziało nam, co musi nastąpić, jeżeli nasze gatunki podejmą ze sobą walkę zagłada jednego i osłabienie, i retrogresja drugiego. Wynik bitwy pomiędzy nimi; powiedziało Jestestwo, zależy od tego, na co my się tu zdobędziemy. Czemu nie mielibyśmy zawrzeć wieczystego pokoju? Wy wróćcie do waszej galaktyki, my do naszej.

Carson postarał się stłumić własne myśli, żeby odebrać odpowiedź.

Odpowiedź nadeszła i uderzyła go jak obuchem. Zachwiał się na nogach i odstąpił kilka kroków, wstrząśnięty natężeniem nienawiści i żądzy mordy, którą przepojone były przekazywane mu czerwone obrazy. Nie docierały do niego w postaci artykułowanych słów — jak przedtem myśli Jestestwa — lecz jako napływające jedna po drugiej fale gwałtownej pasji.

Przez chwilę, która wydawała się wiecznością, musiał zmagać się z fizycznym działaniem tej nienawiści, najwyższym wysiłkiem woli wyrzucić z

mózgu okropne obce myśli, którym udzielił dostępu tłumiąc myśli własne. Znów chwyciły go mdłości.

Odzyskiwał stopniowo przytomność, wolno, jak człowiek budzący się ze złego snu. Oddychał z trudem i czuł osłabienie, ale mógł już myśleć jasno.

Stał obserwując Kulistego. Tamten trwał bez ruchu podczas pojedynku psychicznego, którego wygrania był tak bliski. Teraz potoczył się o kilka metrów w bok, do najbliższego z błękitnych krzaków. Trzy macki wysunęły się błyskawicznie z rowków i zaczęły obmacywać krzak.

— Trudno, jak wojna, to wojna — powiedział Carson. Zdobył się na zgryźliwy uśmiech. — Jeżeli dobrze zrozumiałem, pokój cię nie nęci. — A że był mimo wszystko człowiekiem bardzo młodym i nie mógł oprzeć się pokusie udramatyzowania sytuacji, dodał jeszcze: — No to na śmierć i życie!

Ale jego głos w otaczającej kompletnej ciszy zabrzmiał śmiesznie, sam to od razu zrozumiał. Uświadomił sobie nagle, że to rzeczywiście walka na śmierć i życie. Nie będzie to tylko jego własna śmierć albo śmierć tego czerwonego stworzenia, które w myślach nazywał Kulistym, lecz śmierć całego gatunku, reprezentowanego przez jednego z nich. Zagłada rodzaju ludzkiego, jeżeli on, Carson, nie zdoła odnieść zwycięstwa.

Myśl ta napełniła go wielką pokorą i wielkim przerażeniem. Nie, coś więcej niż myśl — przeświadczenie. W jakiś niewytłumaczony sposób, z uczuciem silniejszym nawet od wiary, miał już teraz pewność, że Jestestwo, które zaaranżowało ten pojedynek, powiedziało prawdę o swoich zamiarach i swojej mocy. To nie był żart.

Przyszłość ludzkości zależy od niego. Była to potworna świadomość, Carson postarał się czym prędzej odpędzić ją od siebie, by skupić wszystkie myśli na tym, co ma przedsięwziąć.

Musi być jakiś sposób na to, żeby przedostać się przez barierę albo zadać przez barierę śmiertelny cios.

Siłami psychicznymi? Spodziewał się, że nie tylko w tym rzecz, Kulisty bowiem ma bez wątpienia większe zdolności telepatyczne od prymitywnych, nierozwiniętych zdolności telepatycznych ludzi. A może te zdolności stanowią zarazem jego słabość?

On, Carson, zdołał wyrzucić z mózgu myśli Kulistego, ale czy Kulisty zdoła uporać się z jego myślami? Jeżeli Kulisty ma większą zdolność przekazu, może zarazem jego mechanizm odbiorczy jest bardziej wrażliwy i mniej odporny?

Carson wbił spojrzenie w Kulistego i postarał się ześrodkować na nim wszystkie swoje władze umysłowe.

— Umrzyj — myślał. — Zaraz umrzesz. Umierasz. Jesteś w agonii...

Próbował różnych wariantów, sięgnął nawet do wyobrażeń plastycznych. Pot wystąpił mu na czole, czuł, że dygocze cały z wysiłku. Ale Kulisty nadal badał krzak ze spokojem tak niezmaconym, jak gdyby Carson recytował tabliczkę mnożenia.

A więc ten sposób jest na nic.

Wysiłek psychiczny w połączeniu z upałem sprawił, że Carsonowi zakręciło się w głowie. Usiadł na błękitnym piasku, żeby odpocząć, i poświęcił całą uwagę obserwowaniu Kulistego. Być może obserwując go pilnie, zdoła ocenić jego siłę i odkryć jego słabości, słowem dowiedzieć się różnych cennych rzeczy, które przydadzą się, kiedy wreszcie dojdzie między nimi do starcia.

Kulisty odłamywał gałązki. Carson wytyczał wzrok, starając się ocenić, ile wysiłku Kulisty w to wkłada. Potem, myślał, znajdzie po swojej stronie podobny krzak, ułamie kilka gałązek podobnej grubości i będzie mógł porównać siłę fizyczną swoich rąk i ramion z siłą macek tamtego.

Gałązki nie poddawały się łatwo, Kulisty musiał się przy każdej dobrze natrudzić. Każda macka, zauważył Carson, rozdwajała się na końcu w dwa

palce, każdy palec zakończony był paznokciem czy też szponem. Szpony nie wydawały się szczególnie długie ani groźne. Nie bardziej niebezpieczne niż paznokcie Carsona, gdyby pozwolił im trochę odrosnąć.

Ogólnie rzecz biorąc Kulisty pod względem fizycznym nie wyglądał na zbyt groźnego przeciwnika. Chyba że ten krzak ma wyjątkowo twarde pędy. Carson rozejrzał się. Aha, owszem, tuż obok, w zasięgu jego ręki był inny krzak dokładnie tego samego typu.

Wyciągnął rękę i ułamał gałązkę. Była krucha, łamliwa. Zapewne, Kulisty mógł rozmyślnie udawać, że się wysila, ale Carson nie sądził, aby tak było.

Z drugiej strony jednak, gdzie się kryją słabe punkty Kulistego? W jaki sposób Carson ma go zabić, jeżeli się nadarzy sposobność? Zaczął znów obserwować Kulistego. Zewnętrzna powłoka czy też skóra sprawiała wrażenie grubej i twardej. Należałoby użyć jakiegoś ostrego narzędzia. Carson znów podniósł odłamek skały. Odłamek miał około trzydziestu centymetrów długości, był długi, wąski, z dość ostrym jednym końcem. Jeżeli się daje łupać jak krzemień, można będzie z niego zrobić nóż.

Kulisty nadal penetrował zarośla. Mała błękitna jaszczurka, wielonoga jak ta, którą Carson widział po swojej stronie bariery, wybiegła spod krzaka.

Jedna z macek Kulistego śmignęła do przodu, chwyciła jaszczurkę i podniosła ją do góry. Inna macka wysunęła się błyskawicznie i zaczęła obrywać jaszczurce łapki równie systematycznie i obojętnie, jak przed chwilą zrywała gałązki krzewu. Stworzonko szamotało się rozpaczliwie i wydawało przenikliwe piski — pierwsze dźwięki, które Carson usłyszał tutaj poza własnym głosem.

Carson wzdrygnął się i chciał odwrócić oczy, ale zmusił się do patrzenia: wszystko, czego dowie się o przeciwniku, może być cenne. Nawet ta infor-

macja o jego zbędnym okrucieństwie. Zwłaszcza — pomyślał w nagłym przypiływie wściekłości — zwłaszcza ta informacja o jego zbędnym okrucieństwie. Rozkoszą będzie zabić tego potwora, kiedy się nadarzy okazja — i jeżeli się taka okazja nadarzy.

Z tego choćby powodu, pokonując odruch współczucia, patrzył, jak Kulisty znęca się nad jaszczurką.

Poczuł jednak ulgę, gdy jaszczurka straciwszy połowę łapek przestała szamotać się, piszczeć i zwiła nieżywa w mackach Kulistego.

Kulisty nie odrywał już reszty łapek. Pogardliwie odrzucił od siebie martwą jaszczurkę w kierunku przeciwnika. Nieżywe ciało zakreśliło łuk w powietrzu i upadło u stóp Carsona.

Przeszło przez barierę! A więc bariery już nie ma! Carson, ściskając kamień, w mgnieniu oka zerwał się na nogi i skoczył naprzód. Natychmiast zrobi koniec z potworem! Skoro bariery nie ma...

Ale bariera była. Przekonał się o tym ponad wszelką wątpliwość, gdy wyrznął w nią głową tak mocno, że pociemniało mu w oczach. Odbił się od bariery i upadł.

Kiedy usiadł, potrząsając głową, żeby oprzytomnieć, dostrzegł, że jakiś pocisk leci w jego kierunku. Padł na piasek i przekręcił się na bok. Zdążył usunąć ciało z drogi pocisku, ale poczuł ostry, przeszywający ból w lewej łydce.

Nie zważając na ból potoczył się do tyłu i dźwignął się z wysiłkiem. Kulisty podniósł właśnie następny kamień i kołysząc go w dwóch mackach szykował się do nowego rzutu.

Kamień wzleciał w powietrze, ale Carson bez trudu uniknął pocisku, usuwając się na bok. Kulisty najwidoczniej potrafił rzucać celnie, ale ani daleko, ani zbyt silnie. Pierwszy kamień zranił Carsona tylko dlatego, że ten siedział i za późno go dostrzegł.

Teraz, uchylając się przed słabym drugim rzutem, Carson jednocześnie mocnym zamachem prawego ramienia cisnął w Kulistego kamieniem, który wciąż ściskał w ręce. Jeżeli pociski, pomyślał z nagłym przypływem otuchy, mogą przebywać barierę, no to obaj możemy się zabawić w ich rzucanie. A mocna prawa ręka Ziemianina...

Nie mógł chybić metrowej kuli z odległości czterech metrów, toteż nie chybił. Kamień śmignął z szybkością kilkakrotnie większą od szybkości pocisków Kulistego, Trafił w sam środek, niestety jednak nie uderzył ostrzem, lecz płaskim bokiem.

Kulisty bez wątpienia poczuł uderzenie. Sięgał właśnie po następny kamień, ale zmienił zamiar i czym prędzej się wycofał. Zanim Carson zdążył podnieść i rzucić jeszcze jeden kamień, Kulisty był już o czterdzieści metrów od bariery, tocząc się coraz dalej.

Drugi pocisk Carsona chybił o kilkanaście centymetrów, trzeci rzut był za krótki. Kulisty znajdował się już poza zasięgiem pocisków — w każdym razie poza zasięgiem pocisków dość ciężkich, aby mogły być niebezpieczne.

Carson uśmiechnął się. Tę rundę wygrał. Tyle tylko, że... Przestał się uśmiechać, kiedy się nachylił, żeby obejrzeć swoją nogę. Ostry, nierówny brzeg kamienia głęboko przeciął łydkę, zadając dziesięciocentymetrową ranę, która obficie krwawiła. Carson miał jednak nadzieję, że żadna arteria nie jest przecięta. Jeżeli krwawienie ustanie samo przez się, to dobrze. Jeżeli nie, czekają go spore kłopoty.

Ale zanim mógł zająć się raną, musiał coś zbadać. Co to jest właściwie ta bariera?

Ruszył znów naprzód, tym razem wyciągając przed sobą ręce. Namacał barierę, potem nie odrywając od niej jednej ręki, rzucił garść piasku. Piasek przeleciał na drugą stronę. Ręka opierała się o gładką, twardą ścianę.



Materia organiczna przeciw materii nieorganicznej? Nie, bo martwa jaszczurka przeleciała na tę, stronę, a jaszczurka, żywa czy martwa, to przecież materia organiczna. A rośliny?... Carson ułamał gałązkę i dziabnął nią barierę. Gałązka przeszła na drugą stronę nie napotykając żadnego oporu, gdy jednak palce Carsona, trzymające gałązkę, dotarły do bariery, uderzyły o nią, nie mogąc posunąć się dalej.

A więc on nie może się przedostać, Kulisty też nie może. Ale kamienie, piasek i nieżywa jaszczurka...

A żywa jaszczurka? Rozpoczął polowanie pod krzakami, aż wreszcie znalazł jaszczurkę i złapał ją. Ostrożnym, delikatnym ruchem rzucił ją o barierę. Odbiła się od niej i uciekła po błękitnym piasku.

Z dotychczasowych doświadczeń wypływał tedy konkretny wniosek. Bariera jest nieprzebyta tylko dla istot żywych. Martwa lub nieorganiczna materia może ją przebyć.

Rozstrzygnąwszy to pytanie Carson znów obejrzał zranioną nogę. Krwawienie zmniejszyło się, oznaczało to, że można się nie troszczyć o opaskę zaciskającą. Ale trzeba zdobyć trochę wody, żeby obmyć ranę.

Woda! Na myśl o wodzie uświadomił sobie, że ma okropne pragnienie. Będzie musiał znaleźć wadę w wypadku, gdyby ten turniej miał się przeciągnąć.

Utykając lekko, rozpoczął inspekcję swojej połowy areny. Przesuwając jedną ręką po barierze ruszył na prawo, aż doszedł do wklęsłej ściany bocznej. Była widoczna. Z bliska jej matowo-niebieskoszara powierzchnia była w dotyku identyczna z powierzchnią poprzecznej bariery.

Zrobił doświadczenie rzucając w nią garść piasku. Piasek dosięgnął ściany i zniknął. Półkolista skorupa była więc również polem elektromagnetycznym. Tyle że w przeciwieństwie do bariery poprzecznej — polem nieprzezroczystym.

Obszedł ją dokoła, aż wrócił znów do bariery i wzdłuż niej do miejsca, z którego wyruszył.

Nigdzie ani śladu wody.

Coraz bardziej zaniepokojony, zaczął posuwać się zygzakami z powrotem między barierą a ścianą, badając starannie każdy centymetr płaszczyzny.

Wody nie było. Błękitny piasek, błękitne krzaki i nieznośne gorąco. Nic więcej.

To chyba imaginacja, że tak bardzo cierpi wskutek pragnienia... Jak długo tu jest? Oczywiście nie według rachuby czasu w jego wszechświecie i wymiarze. Jestestwo powiedziało, że czas będzie tam stał w miejscu, dopóki on tu pozostanie. Ale procesy chemiczne w jego ciele postępują mimo wszystko naprzód. Więc według odczuć cielesnych, jak długo tu jest? Jakieś trzy czy cztery godziny najwyżej. Z pewnością nie dość długo, żeby tak cierpieć z pragnienia.

Cierpiał jednak bardzo, w zaschniętym gardle piekło go nieznośnie. Przyczyną tego był upał. I to jaki upał! Chyba przeszło pięćdziesiąt stopni. Straszliwy suchy upał bez najłżejszego powiewu.

Kulał coraz bardziej i był ostatecznie wyczerpany, gdy zakończył wreszcie bezowocne badanie swego terytorium. Spojrzał na trwającego w bezruchu Kulistego, życząc mu, żeby czuł się tak samo okropnie. Zresztą to bardzo możliwe, że tamtemu też wcale nie jest za dobrze. Może Kulisty pochodzi z planety, na której normalną temperaturą jest dziewięćdziesiąt pięć, stopni powyżej zera. Może on zamarza, gdy Carson omdlewa ze spiekoty...

Może atmosfera jest dla tamtego zbyt zgęszczona w tym samym stopniu, w jakim dla Carsona jest zbyt rozrzedzona. Carson tak się zmęczył badaniem terenu, aż się zasapał. Atmosfera tutaj — zdał sobie teraz z tego sprawę — jest niewiele gęstsza od atmosfery na Marsie.

Brak wody.

Zakreśla to granice wytrzymałości, dla Carsona w każdym razie. Jeżeli nie znajdzie sposobu na to, żeby przekroczyć barierę albo zabić nieprzyjaciela nie przekraczając jej, umrze z pragnienia. Na tę myśl ogarnęła go rozpaczliwa determinacja. Musi się śpieszyć.

Ale siłą woli nakazał sobie usiąść na chwilę, odpocząć i zastanowić się.

Co tu można przedsięwziąć? Nic, a zarazem bardzo dużo. Na przykład te krzaki... Nie wyglądają obiecująco, ale trzeba zbadać kryjące się w nich możliwości. No i ta noga trzeba w jakiś sposób oczyścić ranę, choćby nawet bez wody. Poza tym trzeba zgromadzić amunicję w postaci kamieni. Znaleźć kamień, który posłuży jako nóż.

Noga bolała go coraz bardziej, uznał więc, że nią należy się zająć przede wszystkim. Jeden rodzaj krzaków miał liście — czy też coś podobnego do liści. Urwał całą garść, obejrzał je dokładnie i postanowił zaryzykować. Użył ich do oczyszczenia rany z piasku, brudu i skrzepłej krwi, a potem ze świeżych liści zrobił tampon, który przyłożył do rany, obwiązując opatrunek witekami tego samego krzewu.

Witki były nadspodziewanie mocne. Chociaż cienkie, miękkie i giętkie, nie dawały się wcale złamać. Musiał odpiłować je z krzewu ostrym brzegiem błękitnego krzemienia. Niektóre grubsze pędy miały przeszło pół metra długości, zanotował więc sobie w pamięci na wszelki wypadek, że jeżeli te grubsze zwiąże się ze sobą końcami, można z nich zrobić wcale niezłą linę. Może uda mu się wymyślić jakiś użytek dla liny.

Następnie zabrał się do robienia noża. Błękitny krzemień rzeczywiście nietrudno było rozłupać. Z odłamka trzydziestocentymetrowej długości sporządził niezbyt zgrabne, ale wystarczająco groźne narzędzie. Z witek krzewu splótł pas, za który mógł wsadzić kamienny nóż, aby się z nim nie rozstawać, a jednocześnie mieć wolne ręce.

Powrócił teraz do badania krzaków. Znalazł jeszcze trzy inne odmiany. Jedna była bezlistna, sucha, łamliwa, przypominała zeschnięte łodygi chwastów stepowych. Druga miała gałęzie miękkie, kruche, gąbczaste, prawie jak huba. Nadawałyby się doskonale na rozpałkę. Trzecia odmiana była najbardziej zbliżona do drzewa. Miała delikatne liście, które więdły przy dotknięciu, ale pędy, chociaż krótkie, były proste i mocne.

Upał był nadal potworny, nie do zniesienia.

Carson pokuśtykał do bariery, pomacał, żeby się, upewnić, że bariera wciąż jeszcze jest.

Stał przez chwilę obserwując Kulistego. Kulisty trzymał się w bezpiecznej odległości od bariery, poza zasięgiem skutecznego rzutu kamieniem. Snuł się tam w głębi i coś robił. Carson nie mógł się zorientować, co on robi.

Naraz Kulisty zatrzymał się, potoczył się bliżej bariery i jak gdyby skupił uwagę na Carsonie. Carson znów musiał pokonać falę mdłości. Cisnął w Kulistego kamieniem. Kulisty wycofał się szybko i powrócił do przerwanej roboty.

Carson potrafił już przynajmniej zmusić Kulistego, żeby się trzymał w przyzwoitej odległości.

„No i dużo z tego mam!” — pomyślał z goryczą. Mimo to następną godzinę czy dwie spędził na zbieraniu kamieni odpowiedniej wielkości i na układaniu ich w różne stosy po swojej stronie bariery.

W gardle paliło go teraz jak ogniem. Trudno mu było myśleć o czymkolwiek innym prócz wody.

Musiał jednak myśleć i o innych rzeczach. O tym, jak przedrzeć się przez tę przeklętą barierę — albo przedostać się nad nią czy pod nią — jak dotrzeć do tej czerwonej kuli i jak zabić ją, zanim to piekło skwaru i pragnienia zabije jego.

Bariera ciągnie się od ściany do ściany. Ale jak wysoko i jak głęboko sięga pod piaskiem?

Przez chwilę Carsonowi za bardzo mąciło się w głowie, żeby mógł się spokojnie zastanowić nad tym, jak ma to zbadać. Siedząc bez ruchu na rozpalonym piasku — choć wcale nie pamiętał, żeby siadał. — patrzył bezmyślnie na błękitną jaszczurkę, która spod jednego krzaka przebiegała pad drugi. Po chwili wyjrzała i zerknęła na Carsona.

Carson uśmiechnął się do niej. Może całkiem już w piętękę goni, bo przypomniało mu się naraz zasłyszane gdzieś opowiadanie o pierwszych kolonistach na pustyni marsjańskiej, zapożyczone ze starszych jeszcze opowieści o wędrowcach na pustyniach ziemskich: „Po pewnym czasie samotność tak człowiekowi doskwiera, że zaczyna gadać do jaszczurek, a wkrótce potem słyszy nawet, że jaszczurki mu odpowiadają...”

Powinien by oczywiście skupić wszystkie myśli na tym, jak zabić Kuli-stego, zamiast tego jednak uśmiechnął się do jaszczurki i powiedział:

— Halo, jak się masz!

Jaszczurka podbiegła trochę bliżej.

— Halo — powiedziała.

Carson w pierwszej chwili osłupiał, a potem ryknął wielkim śmiechem. Przy tym gardło wcale go od śmiechu nie zabolalo — widocznie pragnienie nie było jeszcze aż tak groźne.

Czemu nie? Czemu by Jestestwo, które wymyśliło to koszmarnie miejsce, nie mogło oprócz innych właściwości mieć również poczucia humoru? Gadające jaszczurki, które potrafią odpowiadać mi w moim własnym języku... Świetny kawał.

Raz jeszcze uśmiechnął się do jaszczurki i powiedział:

— Chodź no tu.

Ale jaszczurka zawróciła i uciekła, przebiegając od krzaka do krzaka, aż wreszcie znikła mu z oczu.

Znów poczuł pragnienie.

Ale musi przecież coś przedsięwziąć. Nie wygra tego turnieju, jeżeli będzie tak siedział, oblewając się potem i litując się nad sobą. Musi coś przedsięwziąć. Ale co?

Pokonać barierę. Ale nie może przedostać się przez nią ani nad nią. A czy na pewno nie można przedostać się pod nią? Na dodatek, jeżeli wykopie dość głęboki dół, może nawet dokopać się do wody... Złapałby dwie sroki za ogon...

Carson z najwyższym już wysiłkiem pokulał do bariery i zaczął kopać, wygarniając po dwie garście naraz. Praca była ciężka, mozolna, bo piasek osypywał się, im głębszy więc był dół, tym większą musiał mieć średnicę. Ile godzin mu to zajęło, nie wiedział, ale na głębokości metra dotarł do skalnego podłoża. Sucha skała, ani śladu wody.

Pole elektromagnetyczne bariery sięgało aż do podłoża skalnego. Żadnego przejścia. Ani kropli wody. Wszystko na próżno.

Wygramolił się z dołu i leżał oddychając z trudem... Potem podniósł głowę, żeby zobaczyć, co robi Kulisty. Bo przecież musi coś zrobić...

Owszem, robił. Budował coś z grubszych gałęzi, powiązanych cienkimi witkami. Jakąś dziwną konstrukcją, z grubsza biorąc czworokątną i mającą około metra wysokości. Żeby lepiej się przyjrzeć, Carson wdrapał się na górkę piasku, który wykopał z dołu, stanął na niej i patrzył.

Z tylnej części konstrukcji sterczały dwie długie dźwignie, jedna zakończona czymś na kształt czaszy. To mi wygląda na swego rodzaju katapultę, pomyślał Carson.

Rzeczywiście, Kulisty wziął właśnie okazałej wielkości kamień i włożył go do owej niby-czaszy. Za pomocą jednej z macek podnosił i opuszczał

przez chwilę drugą dźwignię w górę i w dół, potem obrócił nieco machinę, jak gdyby nastawiając ją na cel, a dźwignia z kamieniem podniosła się raptownie w górę i do przodu.

Kamień zatoczył łuk kilka metrów nad głową Carsona, tak daleko, że nie trzeba było przed nim się uchylać. Carson ocenił jednak dystans przebyty przez kamień i cicho gwizdnął. On, Carson, nie zdołałby rzucić takiego kamienia dalej niż na połowę tej odległości. Co gorsza, nawet wycofując się w głąb swego terytorium, będzie wciąż pozostawał w zasięgu maszyny, jeżeli Kulisty przesunie ją naprzód, prawie pod barierę.

Jeszcze jeden kamień świsnął mu nad głową. Tym razem upadł już nie tak daleko.

Machina może być niebezpieczna, stwierdził Carson. Chyba lepiej będzie jakoś temu zaradzić.

Przesuwając się to w jedną, to w drugą stronę wzdłuż bariery, żeby utrudnić nastawianie katapulty, zaczął ciskać w nią kamieniami. Ale przekonał się niebawem, że to na nic. Kamienie musiały być lekkie, w przeciwnym razie nie mógł rzucać ich tak daleko. Jeżeli trafiały w konstrukcję, odbijały się od niej nie wyrządzając najmniejszej szkody. A przy tej odległości Kulisty bez trudu usuwał się przed tymi, które padały blisko niego.

Poza tym Carson już się zmęczył i wszystkie mięśnie bolały go z wyczerpania. Gdyby mógł chwilę odpocząć, gdyby nie musiał wciąż uskakiwać przed kamieniami, wyrzucanymi przez katapultę w regularnych odstępach mniej więcej trzydziestu sekund...

Potykając się odszedł w głąb areny. Zaraz się jednak przekonał, że to też na nic. Kamienie dolatywały także i tutaj, tyle że w dłuższych odstępach, jak gdyby potrzeba było więcej czasu na nakręcenie zagadkowego mechanizmu katapulty.

Powlókł się znów pod barierę. Padał kilka razy i z najwyższym trudem przesuwał nogi. Czuł, że jest u kresu wytrzymałości. Nie śmiał się jednak zatrzymać, dopóki nie uda mu się unieruchomić katapulty. Jeżeli zaśnie, nigdy się już nie obudzi.

Jeden z pocisków katapulty podsunął mu zaczątek pomysłu, Pocisk ten uderzył w stos kamieni, które Carson zgromadził przy barierze jako amunicję — i wzniecił iskry.

Iskry. Ogień. Człowiek pierwotny rozniecał ogień krzesząc iskry, a jeśli użyć tych suchych, gąbczastych pędów w charakterze hubki...

Na szczęście miał w pobliżu i krzak tej odmiany. Nałamał gałęzi, położył je przy stosie zamieni, potem zaczął cierpliwie uderzać kamieniem o kamień, aż wreszcie iskra padła na gąbczaste pędy. Zająły się ogniem tak szybko, że osmały Carsonowi brwi i spaliły się na popiół w ciągu paru sekund.

Ale Carson wiedział już teraz, do czego dąży, po kilku minutach rozniecił małe ognisko, płonące pod osłoną górki piasku, którą usypał, gdy przed godziną czy dwiema kopał dół. Rozpalił je za pomocą niby-hubki, a dorzucając pędy innych krzaków, palące się wolniej, utrzymywał równy płomień.

Mocne cienkie witki, przypominające drut, nie paliły się łatwo, dzięki temu mógł sporządzać i rzucać bomby zapalające. Bombę taką stanowiła po prostu wiązka suchych patyków z małym kamieniem w środku, żeby dodać jej wagi, zakończona pętlą z witki, żeby można było ją rozkołysać i rzucić.

Carson przygotował cały tuzin tych bomb, zanim zapalił i rzucił pierwszą. Chybiła celu, ale Kulisty rozpoczął szybki odwrót, ciągnąc za sobą katapultę. Carson miał jednak następne pociski w pogotowiu i rzucał je błyskawicznie, jeden po drugim. Czwarty utkwiał w ramie katapulty i zrobił swoje. Kulisty rozpaczliwie usiłował zagasić szerzący się ogień, Posypując go pia-



skiem, lecz jego szponiaste macki mogły nabrać co najwyżej łyżkę piasku naraz, toteż wszystkie te usiłowania spełzły na niczym. Katapulta płonęła.

Kulisty potoczył się na bezpieczną odległość od ognia i znów skupił uwagę na Carsonie. Carson znów poczuł falę nienawiści i towarzyszące jej mdłości. Ale tym razem odczuł je słabiej: albo Kulisty zaczynał tracić siły, albo też Carson wyrobił już w sobie odporność na jego psychiczne ataki.

Zagrał Kulistemu na nosie, a następnie zmusił go do ucieczki, ciskając w niego kamieniem. Kulisty wycofał się w głąb swojej połowy areny i zaczął znów łamać gałęzie. Przypuszczalnie chciał zrobić nową katapultę.

Carson sprawdził — po raz setny — że bariera wciąż działa, gdy wtem spostrzegł, że siedzi przy niej na piasku. Ogarnęła go naraz słabość tak wielka, że nie mógł ustać na nogach.

Ból w nodze pulsował ustawicznie, pragnienie stawało się coraz dokuczliwsze. Ale wszystko to bladło wobec skrajnego fizycznego wyczerpania, które owładnęło całym jego ciałem.

No i to gorąco!

Takie właśnie musi być piekło, pomyślał. Piekło, w które wierzyli starożytni. Zmagał się ze snem, zarazem jednak rozumiał, że czuwanie jest bezcelowe, on bowiem nic na razie nie może zrobić. Nie może nic zrobić, dopóki bariera pozostaje nieprzebyta, a Kulisty tkwi poza zasięgiem pocisków.

Ale przecież musi istnieć jakieś wyjście. Usiłował przypomnieć sobie wszystko, co czytał w podręcznikach archeologii o metodach walki, stosowanych w zamierzchłych czasach przed odkryciem metali i mas plastycznych. Najpierw były pociski kamienne, pomyślał. No cóż, to przecież już ma.

Jedynym ulepszeniem tego sposobu walki byłaby katapulta, taka, jaką zbudował Kulisty. Ale Carson nie zdołałby nigdy zbudować takiej maszyny, mając do dyspozycji tylko pędy tutejszych krzewów — ani jednego patyka, który by miał więcej niż pół metra długości. Owszem, potrafiłby obmyślić

podobny mechanizm, ale nie miał już sił na taką pracę, która musiałaby potrwać kilka dni.

Kilka dni? A przecież Kulisty zbudował maszynę. Czyżby tkwili tu już od kilku dni? Naraz przypomniał sobie, że Kulisty ma dużo macek, może więc wykonać taką pracę znacznie prędzej od niego.

Poza tym katapulta nie rozstrzygnie o wyniku walki. Trzeba wymyślić coś skuteczniejszego.

Łuk i strzały? Nie. Carson próbował kiedyś łucznictwa i wiedział, że nie ma w tym kierunku najmniejszych zdolności. Nie radził sobie nawet z nowoczesnym sportowym łukiem, gwarantującym dokładność, a cóż dopiero, gdyby miał niezdarny, powiązany z kawałków łuk, jaki by sobie tutaj mógł zмайstrować. Nie strzeliłby chyba nawet na taką odległość, na jaką rzucał kamieniem, a już z pewnością strzeliłby mniej celnie.

Włócznia? Owszem, włócznię potrafiłby zrobić. Byłaby wprawdzie bezużyteczna jako broń do rzucania na odległość, ale mogłaby się przydać w walce wręcz, jeżeli do takiej walki w ogóle dojdzie.

W dodatku będzie miał przynajmniej coś do roboty. Jak się zajmie pracą, może przestanie mu się męcić w głowie, bo teraz musiał się chwilami dobrze skupić, zanim zdołał sobie przypomnieć, dlaczego tu jest, dlaczego musi zabić Kulistego.

Na szczęście był wciąż przy jednym ze stosów kamieni. Zaczął je przebierać, aż trafił wreszcie na kamień z grubszą biorąc w kształcie grotu. Za pomocą mniejszego kamienia począł go szlifować, wycinając po bokach ostre zazębienia, żeby grot, jeżeli w czymś utkwi, nie dał się łatwo wyciągnąć.

Coś niby harpun? To jest myśl! Harpun lepszy jest może od włóczni, przynajmniej w tym obłądnym turnieju. Jeżeli będzie miał taki harpun na linie i zahaczy nim Kulistego, może uda się przyciągnąć go do bariery, a

wtedy kamienne ostrze noża przejdzie przez barierę, choćby nawet ręce nie przeszły.

Drzewce trudniej było zrobić niż głowicę. W końcu jednak rozszczepiając i łącząc ze sobą najgrubsze pędy czterech krzaków, a potem okręcając złącza mocnymi, licz cienkimi witkami, sporządził drzewce długości około półtora metra i zamocował kamienną głowicę w rowku, wyłobionym na końcu drzewca.

Niezgrabne to było, ale mocne.

Teraz lina. Z cienkich, giętkich witek splótł sześć metrów liny. Była lekka i nie sprawiała wrażenia mocnej, ale Carson wiedział, że utrzyma ona bez trudu ciężar jego ciała. Przywiązał jeden koniec do drzewca harpunu, drugim zaś obwiązał w przegubie kiść lewej ręki. Jeżeli teraz rzuci harpunem przez barierę i chybi, będzie mógł w każdym razie wciągnąć go z powrotem.

Ale kiedy zawiązał ostatni węzeł i nie pozostało mu już nic więcej do roboty, wszystko — gorąco, zmęczenie, ból w nodze i piekielne pragnienie — stało się naraz stokroć gorsze niż przedtem.

Próbował wstać, żeby zobaczyć, co teraz robi Kulisty, ale poczuł, że nie może się podnieść. Przy trzeciej próbie dźwignął się na klęczki, ale zaraz znów upadł.

— Muszę się przespać — pomyślał. — Gdyby teraz doszło do starcia, byłbym bezbronny. Dobrze, że on nie wie o tym, bo mógłby przytoczyć się tui mnie zabić. Muszę odzyskać choć trochę sił.

Wolno, zaciskając zęby z bólu, poczołgał się w głąb areny. Dziesięć metrów, dwadzieścia...

Wstrząs i uderzenie czegoś ciężkiego o piasek tuż przy nim wyrwało go z niesamowitego, okropnego snu, przywołując do jeszcze bardziej niesamowitej i okropnej rzeczywistości. Otworzył oczy i znów ujrzał błękitną poświatę nad błękitnym piaskiem.

Jak długo spał? Minutę? Cały dzień?

Następny kamień upadł jeszcze bliżej... Carson wsparł się na rękach i usiadł. Obejrzał się i zobaczył Kulistego w odległości dwudziestu metrów.

Gdy Carson usiadł, tamten natychmiast potoczył się i nie zatrzymał, aż znalazł się w jak największej od niego odległości.

Carson zdał sobie teraz sprawę, że musiał za wcześnie zasnąć, będąc jeszcze w zasięgu rzutów Kulistego. Tamten widząc, że przeciwnik leży bez ruchu, ośmielił się zbliżyć do bariery i rozpocząć bombardowanie. Całe szczęście, że się nie zorientował, jaki Carson jest słaby, bo byłby został i nadal ciskał kamieniami.

Jak długo Carson spał? Chyba niedługo, bo czuł się tak ceno jak przedtem. Nie był wcale wypoczęty, ani też nie odczuwał większego pragnienia. Przypuszczalnie spał zaledwie kilka minut.

Zaczął się znów czołgać, tym razem zmuszając się do ruchu, aż wreszcie tylko metr dzielił go od szaroniebieskiej, wklęsłej ściany areny.

I wtedy wszystko znikło mu sprzed oczu...

Kiedy się obudził, nic się wokół niego nie zmieniło, ale tym razem wiedział, że spał przez długi czas.

Przede wszystkim poczuł okropną suchość w spieczonych ustach. Język miał obrzmiały.

Coś jest niedobrze, pomyślał, wracając stopniowo do pełnej świadomości. Był mniej zmęczony, poczucie całkowitego wyczerpania minęło. Sen go pokrzepił.

Ale ten ból, przeszywający ból. Carson spróbował się poruszyć i wtedy dopiero zrozumiał, że siedliskiem bólu jest noga.

Uniósł się nieco, żeby obejrzeć nogę. Była potwornie spuchnięta pod kolanem, obrzęk sięgał aż do połowy uda. Witki, których użył do przywiązania tamponu z liści, wrzynały się teraz głęboko w obrzmiałe ciało.

O tym, żeby wsadzić nóż pod wrzynające się wiązadła, nie mogło być mowy. Na szczęście końcowy węzeł znajdował się na kości goleniowej, z przodu, tam gdzie witki nie wpijały się tak głęboko. Po kilku próbach, przy których Carsonowi robiło się słabo z bólu, udało mu się ten węzeł rozwiązać.

Jedno spojrzenie pod tampon z liści wystarczyło, aby stwierdzić najgorsze. Infekcja i daleko posunięte zakażenie krwi.

Bez leków, bez materiałów opatrunkowych, bez wody nic nie może na to poradzić.

Nic absolutnie. Będzie tylko mógł umrzeć, kiedy zakażenie ogarnie cały organizm.

Zrozumiał, że sprawa jest beznadziejna, że przegrał.

A wraz z nim cała ludzkość. Kiedy tu umrze, tam, we wszechświecie, który zna, wszyscy jego przyjaciele, wszyscy ludzie umrą również. A Ziemia i skolonizowane planety staną się domeną ohydnych kulistych istot, kreatur ze złego snu, potworów bez jakiegokolwiek cechy ludzkiej, które dla przyjemności obrywają łapki jaszczurkom.

Ta właśnie myśl sprawiła, że z odwagą rozpaczy, niemal oślepiiony bólem, zaczął się czołgać znów w kierunku bariery. Teraz nie czołgał się już na czworakach, lecz podciągał się tylko na ramionach.

Jedna szansa na milion, że kiedy dotrze do bariery, może będzie miał jeszcze dość siły, aby choć raz rzucić harpunem i zabić Kulistego, jeżeli ten — również jedna szansa na milion — zbliży się do bariery. Albo jeżeli bariera teraz już nie ma.

Trwało to chyba lata całe, zanim tam dotarł.

Bariera nie znikła. Była nieprzebyta tak samo jak wtedy, kiedy pierwszy raz jej dotknął.

A Kulistego nie było przy barierze. Wspierając się na łokciach Carson zobaczył go w głębi przeciwległej części areny; zajęty był kleceniem drewnianej konstrukcji, będącej nie ukończonym jeszcze duplikatem katapulty, którą Carson zniszczył.

Kolisty poruszał się teraz znacznie wolniej. Bez wątpienia on również tracił już siły.

Ale Carson nie sądził, aby katapulta była jeszcze Kulistemu potrzebna. On, Carson, umrze, zanim tamten ją skończy.

Gdyby udało mu się teraz, dopóki jeszcze żyje, zwabić Kulistego do bariery... Zaczął machać ręką i próbował krzyknąć, ale spierzchnięte gardło nie wydało żadnego dźwięku. Albo gdyby udało mu się przedostać przez barierę...

Musiał chyba na chwilę stracić świadomość, bo spostrzegł naraz, że w bezsilnej wściekłości wali pięściami w barierę.

Wysiłkiem woli pohamował swoje ruchy. Zamknął oczy, starając się uspokoić.

— Halo — odezwał się głos.

Był to cichutki, cieniutki głosik. Brzmiał jak...

Carson otworzył oczy i spojrzał. Tak, to była jaszczurka. — Wynoś się — chciał powiedzieć Carson. — Wynoś się. To nieprawda, że tu jesteś albo może jesteś, ale to nieprawda, że mówisz. Znów mi się coś roi.

Ale nie mógł wyrzec ani słowa — gardło i język zbyt miał wyschnięte. Zamknął znów oczy.

— Boli — powiedział głosik. — Zabij. Boli, zabij. Chodź. Carson znów otworzył oczy. Błękitna dziesięcionoga jaszczurka wciąż stała przed nim. Odbiegła kawałek wzdłuż bariery, wróciła, odbiegła znowu, wróciła.

— Boli — powtórzyła. — Zabij. Chodź. Najwyraźniej chciała, żeby Carson podążył za nią. Zamknął znów oczy. Głosik nie ustawał. Wciąż te same

pozbawione sensu trzy słowa. Za każdym razem, gdy Carson otwierał oczy, jaszczurka odbiegała i wracała.

Carson jęknął. Nie będzie miał spokoju, dopóki nie usłucha tego nieznośnego stworzonka.

Poczołgał się za jaszczurką. Inny dźwięk, wysoki cienki krzyk, dobiegł jego uszu i stawał się coraz głośniejszy.

Coś leżało na piasku wijąc się, krzycząc. Coś małego, błękitnego, co przypominało jaszczurkę, a zarazem...

Wtem zobaczył, co to jest — jaszczurka, której łapki poobrywał Kulisty, tak dawno temu. Ale nie była martwa ożyła i teraz wiła się i krzyczała w męce.

— Boli — powtórzyła znów pierwsza jaszczurka. — Boli. Zabij. Zabij.

Carson zrozumiał. Wyjął zza pasa krzemienisty nóż i zabił udręczone stworzenie. Żywa jaszczurka uciekła szybko. Carson zwrócił się twarzą do bariery. Oparł o nią ręce i głowę i patrzył na Kulistego, który daleko w głębi budował drugą katapultę.

— Mógłbym się tam doczołgać — myślał — gdybym tylko przedostał się przez barierę. Gdybym się przedostał przez barierę, mógłbym jeszcze wygrać. Widać, że on także jest już słaby. Mógłbym...

Ogarnął go nowy atak beznadziejnej rozpacz. Ból brał górę nad wolą, torując drogę pragnieniu śmierci. Carson zazdrościł jaszczurce, którą przed chwilą zabił. Ona nie żyje już i nie cierpi. On wciąż jeszcze musi żyć. Upłynie wiele godzin, nim go zabije zakażenie krwi.

Gdyby tak przebić się tym nożem...

Wiedział, że tego nie zrobi. Dopóki żyje, istnieje ta szansa, jedna na milion...

Wparł się dłońmi w barierę i spojrzął przypadkiem na swoje ramiona — zrobiły się chude i kościste. A więc znajduje się tu od dawna, skoro tak wychudł.

Jak długo to jeszcze potrwa, zanim umrze? Ile jeszcze gorąca, pragnienia i bólu może znieść ludzkie ciało?

Przez krótką chwilę był znów bliski hysterii, potem jednak zstąpił na niego głęboki spokój i naraz olśniła go zdumiewająca myśl.

Ta jaszczurka, którą przed chwilą zabił... Jaszczurka przebyła barierę, kiedy jeszcze żyła. Była po stronie Kulistego, Kulisty oberwał jej łapki, potem z pogardą rzucił ją w kierunku Carsona, a ona przeleciała przez barierę. Carson sądził, że to dlatego, że jaszczurka jest martwa.

Ale nie była martwa, była nieprzytomna.

Żywa jaszczurka nie może przebyć bariery, ale nieprzytomna jaszczurka może ją przebyć. Bariera nie jest więc barierą dla istot żywych, lecz dla istot mających świadomość. Jest to zaporę psychiczną.

Ta myśl podziałała na Carsona jak ostroga. Poczłgał się wzdłuż bariery, aby postawić na kartę ostatnią desperacką stawkę. Zaświtała mu nadzieja tak nikła, że tylko człowiek konający mógł się ważyć na podobne ryzyko.

Nie warto obliczać szans powodzenia. Jeżeli nie zaryzykuje, szanse i tak są równe zeru.

Dotarł do górki piasku mającej około metra wysokości. Górkę tę usypał, kiedy próbował — ile dni temu to było? — podkopać się pod barierę albo dokopać się wody.

Wzgórek wznosił się przy barierze, połowa stoku była po jednej stronie bariery, połowa po drugiej.

Carson wziął kamień z pobliskiego stosu, wspiął się na szczyt wzgórek, zsunął się na drugą jego stronę i przywarł do bariery, opierając się na niej



całym ciężarem ciała, aby mieć pewność, że stoczy się na terytorium wroga, jeżeli bariera zniknie.

Upewnił się jeszcze, że nóż tkwi za pasem, że harpun leży w zgięciu lewego ramienia, a sześciometrowa lina przywiązana jest mocno jednym końcem do przegubu lewej ręki, drugim do drzewca.

Następnie prawą ręką podniósł kamień, którym zamierzał uderzyć się w głowę. Musi mu dopisać szczęście przy tym uderzeniu — cios ma być dość silny, żeby go zamrozić, ale nie tak silny, żeby pozbawić go przytomności na długo.

Miał uczucie, że Kulisty go obserwuje, na pewno więc zobaczy, jak przeciwnik stacza się na dół poprzez barierę i zbliży się, aby zbadać sprawę. Pomyśli chyba, że on nie żyje — Carson sądził, że Kulisty doszedł przypuszczalnie do tego samego wniosku co i on, jeśli chodzi o charakter bariery. Ale zbliży się ostrożnie. On, Carson będzie miał trochę czasu...

Uderzył. Ból przywrócił mu świadomość. Nagły ostry ból w biodrze, zupełnie inny niż pulsujący ból pod czaszką i pulsujący ból w nodze.

Ale obmyślając z góry cały plan, nim zadał sobie uderzenie, Carson przewidział podobny ból, pragnął go nawet i nakazał nerwom czujność w chwili odzyskania przytomności. Nie wolno mu najlżejszym drgnieniem zdradzić się z tym, że się ocknął.

Leżał bez ruchu, ale rozchylił odrobinę powieki i przez ich szparki stwierdził, że jego rozumowanie było słuszne. Kulisty zbliżał się. Był już tylko o pięć metrów. Rzucił widocznie kamieniem, żeby się przekonać, czy Carson żyje, czy też umarł, i to właśnie ból uderzenia przywrócił Carsonowi świadomość.

Carson wciąż leżał bez ruchu. Kulisty zbliżył się na odległość czterech metrów i znów się zatrzymał. Carson wstrzymał oddech.

Starał się o niczym nie myśleć, aby Kulisty drogą telepatii nie wykrył, że przeciwnik jest przytomny. Umysł Carsona tym samym stracił wyrobioną już odporność, toteż nagły atak myśli Kulistego wstrząsnął nim do głębi.

Nieopisanym przerażeniem i odrazą napełniła Carsona całkowita obcość, absolutna odmienność tych myśli. Wyczuwał ich treść, ale nie potrafił jej zrozumieć i nie zdołałby ująć jej w słowa, gdyż żaden język ziemski nie miał stosownych słów, żaden umysł ludzki nie miał odpowiednich wyobrażeń. Umysł pająka, pomyślał, albo umysł modliszki czy też marsjańskiego węża pustynnego, wzniesiony na wysoki szczebel inteligencji i pozostający w kontakcie telepatycznym z umysłem człowieka, byłby w porównaniu z tą ohydą czymś swojskim i dobrze znanym.

Zrozumiał teraz, że Jestestwo miało słuszość: Człowiek albo Kulisty, bo w całym wszechświecie nie ma miejsca dla nich obu. Dzieli ich od siebie większa przepaść niż boga od szatana i nigdy nie może być między nimi zgody.

Kulisty zbliżał się. Carson czekał, aż tamten będzie zaledwie o krok, aż szponiaste macki wysuną się do przodu... Zapominając o bólu usiadł, podniósł w górę harpun i rzucił nim, wkładając w ten rzut wszystkie siły, jakie mu jeszcze pozostały. Mylił się zresztą, nie były to wszystkie siły, bo poczuł nagle przyływ świeżej energii, a jednocześnie ból ustąpił całkowicie, niczym przy sztucznej blokadzie nerwów.

Gdy Kulisty, głęboko ugodzony harpunem, potoczył się w bok, Carson spróbował wstać, żeby pobiec za nim. Nie zdołał jednak i upadł. Po chwili znów ponowił próbę.

Lina napięła się, szarpnęła go do przodu. Wlokła go tak przez kilka metrów, potem napięcie osłabło. Carson posuwał się wciąż naprzód, dłoń za dłonią podciągając się na linie.

Kulisty zatrzymał się w końcu, wijące się macki na próżno usiłowały wyciągnąć harpun. Drżał i dygotał, a potem zrozumiał widocznie, że nie ucieknie, bo potoczył się ku Carsonowi, wysuwając szpony.

Carson z nożem kamiennym w garści przyjął walkę. Dźgał na oślep, raz po raz, czując jak ostre szpony zdzierają mu skórę z ciała, szarpią mięśnie i ścięgna.

Dźgał i rąbał w zapamiętaniu, aż wreszcie tamten znieruchomiał.

Usłyszał dzwonek i otworzył oczy, ale dopiero po chwili zorientował się, gdzie jest i co to za dźwięk.

Przymocowany był pasami do siedzenia swego statku zwiadowczego, a ekran przed nim ukazywał jedynie pustą przestrzeń. Żadnego nieprzyjacielskiego statku, żadnej nieistniejącej planety.

Dzwonek był sygnałem ekranu łączności; ktoś żądał włączenia odbiornika. Carson odruchowo wyciągnął rękę i nacisnął guzik.

Na ekranie ukazała się natychmiast twarz Brandera, kapitana „Magellana”, statku macierzystego jednostek rozpoznawczych. Brander był blady, jego czarne oczy płonęły podnieceniem.

— „Magellan” wzywa Carsona — mówił szybko Brander. — Wracaj. Już po wszystkim. Zwyciężyliśmy!

Twarz znikła z ekranu — Brander pewnie wzywał pozostałe statki rozpoznawcze, należące do jego załogi.

Carson wolno nastawił przyrządy na powrót. Powoli, z niedowierzaniem rozpiął pasy, wstał i poszedł w głąb kabiny do zbiornika z wodą. Z jakiegoś powodu miał niewiarygodne pragnienie. Wypił sześć szklanek.

Oparł się o ścianę, usiłując zebrać myśli.

Czy tamto wszystko zdarzyło się naprawdę? Był zdrów, cały, nietknięty. Pragnienie, które ugasił, miało charakter raczej psychiczny niż fizyczny — nie czuł suchości w gardle. Noga...

Podciągnął nogawkę spodni i obejrzał łydkę. Przecinała ją długa biała blizna, ale blizna zupełnie zagojona. Nie miał jej przedtem. Pociągnął na dół zamek błyskawiczny, rozchylił koszulę i zobaczył, że cały tors i brzuch pokrywa siatka cienkich, prawie niedostrzegalnych, idealnie zagojonych blizn.

Wszystko zdarzyło się naprawdę.

Jego statek rozpoznawczy, kierowany przez pilota automatycznego, wchodził już do luku statku macierzystego. Chwytały go do komory indywidualnej, a w chwilę później brzęczyk zasygnalizował, że komora jest już napełniona powietrzem. Carson otworzył wąż, wysiadł, przeszedł przez podwójne drzwi komory.

Udał się prosto do gabinetu Brandera, wszedł do środka i zasalutował.

Brander wciąż jeszcze miał minę człowieka oszołomionego. — Cześć, Carson — powiedział. — Żałuj, chłopie, że cię nie było! Co za widowisko!

— Co się stało, kapitanie?

— Sam nie wiem dokładnie. Daliśmy jedną salwę i cała ich flota rozsypała się w proch! Jakiś błysk zaczął przeskakiwać ze statku na statek, nawet na te, do których wcale nie celowaliśmy i które były poza zasięgiem naszych pocisków! Cała flota w naszych oczach zamieniła się w popiół, a żaden z naszych statków nie ma najmniejszego uszkodzenia! Na dobitkę trudno nawet powiedzieć, że to nasza zasługa. W stopie, którego używali, musiał być jakiś szczególny składnik i nasza próbna salwa po prostu wywołała reakcję łańcuchową. Mówię ci, chłopie, szkoda, że cię ominęły wszystkie te emocje!

Carson zdobył się na uśmiech. Był to nikły cień uśmiechu, miało bowiem upłynąć wiele dni, nim odzyskał równowagę psychiczną po niedawnych przeżyciach, ale kapitan nie patrzył na niego i nic nie zauważył.

— Tak jest, kapitanie — odrzekł Carson. Rozsądek raczej, niż skromność, podpowiedział mu, że zostanie napiętnowany raz na zawsze jako naj-

większy blagier w Kosmosie, jeżeli szepnie choć słowo ponad to. — Tak jest, kapitanie, wielka szkoda, że ominęły mnie te wszystkie emocje.

*przekład: Wacława Komarnicka*

## Frownzowe florgele

(The Frownzly Florgels)

Och to miał być rzeczywiście wspaniały frownz. Wszyscy o tym wiedzieli; Nax wysłał myśl, a ona powędrowała od gwiazdy do gwiazdy, po całej gromadzie. Rywalizacja o to, kto będzie mógł wziąć w nim udział, była straszliwa. Wszyscy zazdrościli Naxowi Agorafobowi, ponieważ był on jedynym, który nie musiał walczyć z tysiącami, czy nawet milionami rywali o możliwość uczestnictwa. Było do tego jednak całe mnóstwo powodów.

Teppo był pierwszym z uczestników – oprócz, oczywiście samego Naxa, który pojawił się na miejscu. Nax żył we wnętrzu planetoidy Naxo, która kiedyś nazywała się inaczej, ale od kilku milionów lat, odkąd zamieszkał tam Nax, nazywano ją Naxo i jej poprzednia nazwa dawno już została zapomniana. Nax był zmutowanym Raganem i, jak to było w zwyczaju, został teleportowany na jałowy świat oraz pozostawiony tam, by zginął. Ale on przeżył – a tak prawdę mówiąc, okazał się być praktycznie nieśmiertelny – i

obecnie, pomimo swoich dziwactw, był najstarszy i najmądrzejszy. Przez jakiś tysiąc pierwszych lat głodował, aż w końcu zdołał przystosować swój metabolizm do jedzenia substancji, z której zbudowana była Naxo. Kiedy już wyjadł sobie drogę do jej środka, rozwinęła się w nim tak straszna agorafobia, że nie był w stanie wystawić nawet nosa na zewnątrz; umarłby, gdyby to zrobił. Och, wszyscy wiedzieli, że Nax nie będzie mógł żyć wiecznie, ponieważ wcześniej czy później zje całe wnętrze planetoidy i jej skorupa się załamie, odsłaniając go, a wtedy z pewnością umrze. Ale czas ten odległy był o co najmniej dziesięć milionów lat i Nax przyjmował tę perspektywę całkiem radośnie.

— A kto chciałby żyć wiecznie — wieszczył ze szczęśliwym śmiechem. Nikt dokładnie nie wiedział, co Nax planuje na ten konkretny frownz, ale to musiało być coś zabawnego; zawsze tak było.

Teppo teleportował się w kuli płynnego szkła, która stanowiła jego nieodłączną część. Zdawał sobie sprawę z tego, że będzie miał kłopoty z utrzymaniem temperatury szkła i miał zamiar użyć fragmentu swego umysłu do nieustannego podtrzymywania drgań cząsteczkowych. Ciągle jeszcze pozostawały mu jednak do dyspozycji wystarczająco duże zasoby umysłowe, aby w pełni cieszyć się frownzem.

Przybył jako pierwszy, nie chciał więc budzić Naxa, gdyby Nax spał, unosił się więc tylko w pobliżu, zaglądając przez otwory w planetoidzie, czy gigant się porusza. Otwory te wyglądały jak kratery, ale tak naprawdę były to dziury, które Nax wypchnął od środka aby nimi wyglądać i sięgać przez nie na zewnątrz, oraz aby metan z wnętrza i otoczenia planetoidy mógł się swobodnie mieszać. Nax ciągle spał, ale Teppo będzie w stanie wyczuć kiedy zacznie się poruszać. Teppo chwilowo podwibował, aby zmienić zewnętrzną warstwę swojej kuli w powierzchnię odbijającą; w ten sposób będzie mógł wypełnić czas oczekiwania na innych, podziwiając odbicie swych

smukłych, pięknych, płetwiastych kształtów. Wykręcił ogon i aż westchnął z ekstazy i podziwu.

Kiedy nadwibował i ponownie uczynił powierzchnię swej kuli przezroczystą, nie był już sam. W międzyczasie przybyły dwa inne stworzenia. Obok niego unosił się dumnie cylindroid z Karebranthal, a w strumieniu metanu wypływającym przez jeden z otworów Naxo, wiła się jedna z istot z Thal o amorficznych kształtach podobnych do chmury dymu. Teppo przyglądał się jak chmura dymu wpłynęła przez otwór do środka, żeby sprawdzić, czy Nax jest już gotów.

Inni także powoli przybywali. Tuż przed jego oczyma teleportował się grok, oczywiście, siedząc w swym jaju. Grokowie teleportując się poza Hanra, zawsze wracali do swoich jaj; po dotarciu na miejsce przeznaczenia, robili w jaju dziurę od środka i wystawiali na zewnątrz swe ohydne łby. Woleli pozostawać tak, aż do czasu kiedy mogli już wracać. Wtedy wciągali łby do środka i nadwibowali, dopóki jajo ponownie się nie zacopowało. Nikt jeszcze nie widział groka, który by poza ich ojczystą planetą Hanra, całkiem wyszedł z jaja. Teppo popatrzył na łeb groka i poczuł zadowolenie, że on sam jest taki piękny.

Dyskokształtne stworzenie z Amron i sferyczna istota z Eli, razem teleportowały się w zasięgu wzroku, zaś wysoko na fioletowym niebie można było dostrzec ślady rakiet statków z Zatto i Rang. Obie planety należały do zacofanych, i jeszcze nie rozwinęły teleportacji oraz zdolności adaptacji do dowolnego środowiska. Do podróży międzygwiazdnych nadal wykorzystywały toporne rakiety. Ponieważ rakiety mogły być bardzo irytującymi rzeczami, dlatego miały one – i oczywiście ich pasażerowie – tak niewielkie rozmiary.

Chmurzasta istota właśnie wychynęła z planetoidy, transgłosując ze szczęściem, że Nax jest już niemal gotów. Cylindroid promieniał zadowole-

niem, a obie rakiety zaczęły wywijać ekstatyczne figury akrobatyczne; ta z Zatto wykonywała żwawe koła, na przemian nurkując w otwory planetoidy i wyskakując z nich, zaś ta z Rang pyszniła się swym nowym napędem bezi-nercyjnym, wycinając niesamowicie ostre skręty i niepokojąc wszystkich pozostałych oczekujących.

Następna była Gera, dziwacznie ukształtowane stworzenie z Garn. Teppo odwrócił wzrok od jej ciała, z tymi paskudnymi wypukłościami; potrzebne było jeszcze kilka kolejnych spojrzeń, aby oswoić się z nią na tyle mocno by zapomnieć o jej potwornym wyglądzie. Pochodziła z rasy Raganów, z której wymutował Nax, ale jego mutacja bez wątpienia była znacznym ulepszeniem, a poza tym nikt nigdy nie musiał patrzeć na Naxa...

Raganka Gera baraszkowała wesoło w metanie, szczęśliwa jak nigdy. To prawda, jej naturalnym pierwiastkiem był argon, ale dostosowanie się nie było specjalnie trudne, a antygrawitacyjne pseudomyśli Naxa zmieniały takie baraszkowanie w niesamowitą przyjemność. Pochwyciła rybnie spojrzenie Teppo i roześmiała się radośnie. Co Nax wymyślił na ten frownz? Oczywiście, poza florgelami. Cieszyła się z tego, że nie miała takich gigantycznych rozmiarów jak Nax, uwięziony przez to w planetoidzie, oraz że nie musiała żyć w środowisku roztopionego szkła, jak Teppo. Cieszyła się ze wszystkiego, ale szczególnie z tego że została wybrana aby reprezentować Ragan i mogła być tutaj.

Kogo brakowało? Rozejrzała się wokół siebie i policzyła – no cóż, niezupełnie głowy, ponieważ była jedyną, która tak naprawdę miała głowę, ale policzyła. Byli już wszyscy, poza dwoma, a jeden z nich – podłużny jednokomórkowiec z Gelf, pojawił się dokładnie w chwili kiedy się za nim rozglądała. Ten jednokomórkowiec to głupie stworzenie; po teleportacji, musiał się materializować stopniowo. Ale przynajmniej potrafił się teleportować i dalece wyprzedzał większość pozostałych w glifowaniu.



Dokładnie w tym momencie pojawił się ten drugi – asteświat z roju, ma-  
lutka planetoida, która sama w sobie, była żywa.

Byli więc już wszyscy, a Nax transgłosował słowa powitania, oczywiście  
musiał zragować pojawienie się asteświata, już w mikrosekundę po jego  
przybyciu. Byli wszyscy i wszyscy wręcz tryskali radością. Nax transgłoso-  
wał im ożywione powitanie, i frownz się rozpoczął. Na miejscu znaleźli się  
reprezentanci całej gwiazdnej gromady.

Wszyscy czekali na florgele, ale najpierw Nax wystawił przez otwór rękę  
z księgą, a każdy cisnął w nią myślą, która została zapisana przez księgę – to  
znaczy, oczywiście, każdy poza biednymi małymi pasażerami statków ko-  
smicznych z Zatto i Rang. Byli oni zbyt prymitywni i musieli w celu zapisu  
przekazać swoje myśli przez innych. Gera uśmiechnęła się nad nimi tole-  
rancyjnie; te biedne stworzenia nie potrafiły nawet glifować.

Potem Nax wciągnął księgę z powrotem i frownz naprawdę się rozpo-  
czął.

Na początku, oczywiście, gry. Grali w ranzela i Gera wygrała. Zagrali  
jeszcze w dziesięć innych gier, wszystkie bardziej zabawne niż ostatnio, a  
ponieważ mieli tak różnorodne postaci fizyczne i zdolności umysłowe, każ-  
de z nich miało okazję w czymś się wyróżnić.

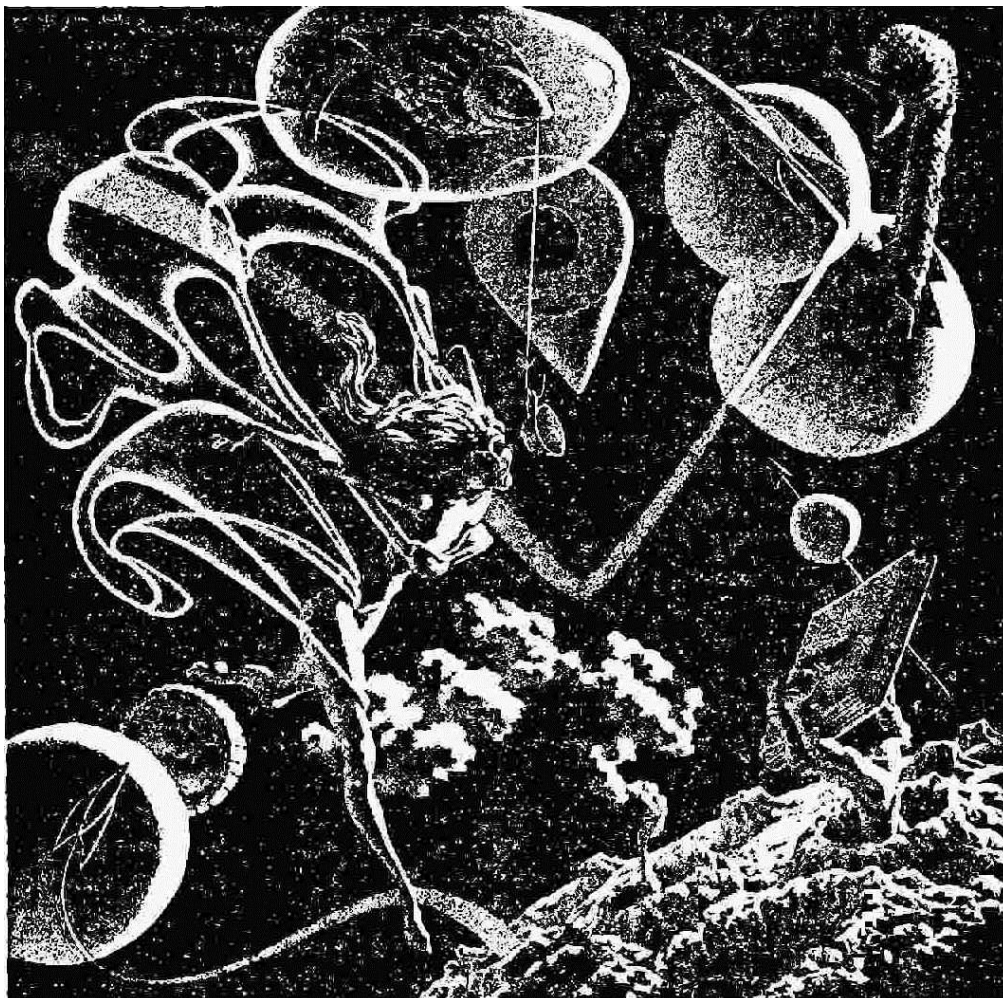
Zakończyli grą w murl, najlepszą ze wszystkich gier, w opinii Teppo. Być  
może jednak było tak tylko z tego powodu, że niemal zawsze w nią wygry-  
wał. Tak też stało się również i tym razem. Oczywiście miał w murl przewa-  
gę, ponieważ grało się nią przy pomocy sznurów i haczyków, które jego rasa  
wykorzystywała na swojej planecie do łapania ptaków. Glyfowali haczyk w  
powietrze, w którym zanęcili wcześniej corro i ściągali ptaki w roztopione  
szkło, kiedy tylko chwyciły przynętę. A więc to właśnie Teppo udało się za-  
haczyć hoga (przedmiot o kształcie podobnym do filiżanki, ale używany na  
planecie Gery do wyciągania whingów z flugu), który był po kolei materializ-

zowany i dematerializowany przez Naxa w różnych miejscach w metanie. Teppo z powodu zwycięstwa w murł, był tak dumny z siebie, że pozostawił haczyk, sznur i hoga zmaterializowane przez wszystkie florgele po grach.

Kilka pierwszych florgeli, były to te dobrze znane, a później Nax transgłosował, że ma dla nich coś zupełnie nowego do spróbowania.

— Naszym zadaniem — transgłosował, — jest próba skontaktowania się z innym umysłem, gdzieś we wszechświecie.

— Och, wspaniale, Nax! — transgłosował jednokomórkowiec. — Jak? Indywidualnie, czy łącząc umysły?



Ilustracja Hannes Bok

— Łącząc umysły. Skupimy wszyscy nasze myśli przez Księgę Florgeli.  
— I wystawił ponownie księgę na zewnątrz, aby mogli się przez nią skupić. Transgłosował swój plan; wszyscy mieli skoncentrować na księdze myśli całej grupy, tak jak to sobie zaplanowali; on zaś zgramuje połączoną myśl, dwukierunkowo, na najbardziej odległej galaktyce jaką znali, i dostroi ją do jednego ze znajdujących się w niej umysłów, jeśli okaże się, że jakiś tam w ogóle istnieje. W tym umyśle – jeżeli takowy istniał – powinien pojawić się ich obraz w czasie florgelu. Natomiast w ich myślach, gdyby plan zakończył się sukcesem, miał pojawić się obraz tego, o czym akurat będzie myślał obcy umysł, z którym nawiązany zostanie kontakt.

Nax dał wszystkim sygnał, połączyli myśli razem i skupili je na księdze, on zaś aż jęknął z wysiłku, gramując je na odległość tak wielu miliardów parseków.

Ale był to chyba najgorszy florgel, jakiego kiedykolwiek próbowali – nie dlatego, że się nie udał, ale właśnie z powodu swojego sukcesu. Obraz, który otrzymali w odpowiedzi od tego obcego umysłu z odległej galaktyki, był po prostu okropny. Gera zasłoniła sobie oczy, jakby to mogło pomóc jej zamknąć się na ten straszny widok, cylindroid na skutek przeżytego wstrząsu zwinął się w kłębek, a grok schował głowę głęboko do jajka.

Stopniowo jednak wszyscy doszli do siebie i żaden z nich nie chciał transgłosować na ten temat; widzieli to wszyscy, tak więc nie było nawet o czym transgłosować. Aby pomóc im szybko o tym zapomnieć, Nax ogłosił kolejny florgel, z rodzaju takich, do których bardziej byli przyzwyczajeni, dotyczący nowej i zmiennej cefeidy...

\*\*\*\*\*

Fragmenty listu od Hannesa Boka, malarza i ilustratora z Nowego Jorku, do pisarza Fredrica Browna z Taos w Nowym Meksyku:

Lieber Friedrich

Czy pamiętasz te zawody, które sobie wymyśliliśmy, kiedy byłeś w Nowym Jorku ostatniej jesieni – że potrafisz napisać opowiadanie na kanwie każdego rysunku, który jestem w stanie narysować, bez względu na jego temat? Reguły tej konkurencji miały polegać na tym, że narysowana scenka przedstawia jakąś faktycznie istniejącą sytuację i nie można jej objaśnić jako snu, dowcipu, iluzji optycznej, czy też szaleńczej wizji obserwatora. No dobrze, oto mój rysunek. Tak zupełnie niespodziewanie, przyszedł mi do głowy następujący pomysł.

Czy to mogłyby być satelity – jajo, gigantyczna moneta, unosząca się swobodnie kropla wody z rybą w środku? A jeśli byłyby to satelity (choć może masz jakieś lepsze wytłumaczenie), to czy może tam być obecna atmosfera? Skoro jej tam nie ma, to jak w pozbawionej powietrza próżni może sobie baraszkować dziewczyna i to bez żadnego stroju izolującego ani hełmu tlenowego? Usiany kraterami księżyc, wokół którego krążą te dziwaczne satelity wygląda na zupełnie bezludny i jałowy. Skąd więc ta wielka ręka wystająca z krateru i trzymająca książkę? Czy jego wnętrze mogłoby być gorące, skoro z innego krateru wydobywa się dym? Może to dym z jakiegoś komina, ale jak w takim razie z kolejnego krateru może wylatywać rakietą?

No i, jak brzmi tytuł tej książki? Dlaczego ta ryba ciągnie haczyk na linie, z założoną na nim pustą filiżanką? Pamiętaj, że reguły każdego z tych wymienionych punktów, muszą zostać objaśnione!

*Z frownzowymi florgelami*

*Hannes*

List od Fredrica Browna z Taos w Nowym Meksyku, do Hannesa Boka z Nowego Jorku.

Drogi Hannesie

Grasz nie fair. Rysunek jest zupełnie niemożliwy. Każdy, kto by nawet tylko spróbował napisać opowiadanie na jego kanwie, musiałby być szalony.

*Frownzowe florgele dla ciebie!*

*Fred.*

Mack Reynolds, Fredric Brown

## Sześcionogi telepata

(Six-Legged Svengali)

*Wszystko, co musiał zrobić, to pokazać, że jest sprytniejszy od błotnego zółwia  
– ale na Wenus nie jest to takie proste!*

Baza z pewnością była przyjemnym miejscem, zwłaszcza po wielu godzinach samotnej wędrówki przez odwieczne gęste mgły i rzadką mżawkę, stanowiące samą istotę Wenus. Nigdy nie widzi się tu dalej, niż na kilka jardów przed sobą, ale to specjalnie nie szkodzi; na Wenus i tak nie ma niczego wartego oglądania.

Oczywiście, za wyjątkiem, ale tylko w trakcie pobytu tutaj naszej ekspedycji, Dixie Everton. To właśnie z powodu Dixie przyłączyłem się do Ekspedycji Zoologicznej Evertona, prowadzonej przez jej ojca, doktora Evertona z Pozaziemskiego Zoo w New Albuquerque. Płaciłem także sam za własne wydatki; doktor Everton nie uważał, abym był wartościowym dodatkiem do wyprawy. Co gorsze, nie uważał również abym był wartościowym mężem dla Dixie. A w tym punkcie, nie zgadzałem się z nim zupełnie.

Tak czy inaczej, ode mnie zależało, aby w trakcie tej niewielkiej ekspedycji, przekonać go, że nie jestem tak do końca *non campos mentos*, jak myślał. Być może brzmi to nieco banalnie, ale tak właśnie było. A sądząc po moim szczęściu, jak do tej pory, na przekonanie go do siebie miałem mniej więcej takie szanse, jak lody na patyku na słonecznej stronie Merkurego.

Tak prawdę mówiąc, ta wyprawa nie budziła specjalnie moich ciepłych uczuć. Nigdy nie myślałem zbyt dobrze o ludziach pakujących zwierzęta do klatek, po to by banda gamoni mogła się na nie gapić. Do dzisiaj, na Wenus,

z i tak rzadkiej fauny, wyginęły już dwa gatunki: piękna wenusjańska czapla, wybita dla piór na kapelusze, w efekcie idiotycznej rewitalizacji modystycznych styli z 19 wieku, i kieter, którego mięso było nie do uwierzenia wspaniałe i stało się ozdobą stołów bogatych smakoszy.

Dixie usłyszała, jak wracam do obozowiska. Wysunęła swoją piękną głowę spomiędzy klap namiotu i uśmiechnęła się do mnie. To bardzo pomogło. Spytała:

— Masz coś, Rod?

Odparłem:

— Tylko to. Czy to się na coś przyda?

Otworzyłem wyłożone mchem pudło, które służyło mi jako klatka na zdobycz, i wyjąłem z niego jedyne zwierzę, jakie udało mi się złapać, jeżeli to w ogóle *było* zwierzę. Stworzenie miało skrzela jak ryba, osiem odnóży i koguci grzebień, tyle że większy i z niebieskiego futra.

Dixie przyjrzała się mojej zdobyczy:

— To jest weezen, Rod. Już mamy dwa takie w zoo, tak że, nie jest to nowy gatunek. — Musiała zauważyć rozczarowanie na mojej twarzy, ponieważ szybko dodała: — Ale to piękny okaz, Rod. Nie wypuszczaj go jeszcze. Tata prawdopodobnie będzie chciał mu się przyjrzeć, w wolnym czasie.

Taka jest moja Dixie.

Doktor Everton wyszedł z głównego namiotu bazy i popatrzył na mnie z niesmakiem.

— Cześć, Spenser. Pójdę wyłączyć sygnał. Crane też już wrócił.

Poszedł wyłączyć urządzenie radiowe, które transmitowało sygnał kierunkowy, umożliwiający Crane'owi i mnie powrót do obozowiska. Na Wenus, bez tego nadajnika i odpowiednio dostrojonego kieszonkowego odbiornika, można się beznadziejnie zgubić już kilkanaście metrów od swojej bazy.

— Crane coś złapał? — spytałem.

— Żadnych okazów — odparł doktor Everton, — ale coś czego warto skosztować. Upolował bagienną kurę i teraz ją dla nas gotuje.

— Nie pozwolił mi się do niej zbliżyć — powiedziała Dixie. — Twierdzi, że kobiety nie potrafią gotować. Chyba musi już być prawie dobra, siedzi nad nią niemal od godziny. Jesteś głodny, Rod?

— Niemal na tyle głodny, aby zjeść to — oświadczyłem, pokazując na weezena, którego ciągle trzymałem w ręku. Dixie roześmiała się i zabrała go ode mnie, aby włożyć do jednego z pudeł na zdobycz.

Weszliśmy do głównego namiotu. Bagienna kura była już gotowa i Crane z dumą podał ją do stołu. Była naprawdę dobrze przyrządzona i miał prawo czuć się dumny. Właściwie zrobiona wenusjańska bagienna kura, jest o tyle lepsza od pieczonego kurczaka, o ile pieczone kurczę jest lepsze od gotowanego gołębia. Po prostu, jest nie z tej ziemi, czy w ogóle z jakiegokolwiek ziemi.

A w dodatku ma cztery nogi, tak więc dla każdego z nas była pałeczka.

Podczas jedzenia nie rozmawialiśmy zbyt wiele. Ale po wypiciu kawy, Dixie powiedziała do mnie coś, co w ogóle nie miało dla mnie sensu – coś o jakimś żółwiu.

— Słucham — spytałem. — Jaki żółw?

Dixie spojrzała na mnie, jakby chciała się zorientować, czy żartuję, czy nie, a następnie powiodła wzrokiem od swojego ojca do Johna Crane. Potem zapadło niezręczne milczenie.

Zmarszczyłem brwi i spytałem, o co chodzi.

Crane westchnął. Powiedział:

— Wenusjański żółw błotny, Rod. To właśnie on jest głównym celem tej ekspedycji. I najwyraźniej dzisiaj rano udało ci się znaleźć jakiegoś osobnika.



— Nie wiem, o czym wy w ogóle mówicie — oznajmiłem cierpliwie. — Nie tylko, że nie znalazłem żadnego wenusjańskiego żółwia, ale nawet nigdy o czymś takim nie *słyszałem*. Czy to ma być jakiś żart?

Doktor Everton ze smutkiem pokręcił głową.

— Spenser, pozwoliliśmy ci lecieć z nami tylko dlatego, że zarzekałeś się, iż wiesz jak go złapać.

— *Ja* coś takiego mówiłem? — popatrzyłem na Dixie błagalnym wzrokiem. — Czy to jakiś spisek, żeby sobie ze mnie zakpić?

Dixie wbiła nieszczęśliwe spojrzenie w znajdujący się przed nią talerz.

Doktor Everton powiedział:

— Tak, zdecydowanie znalazłeś żółwia, albo byłeś w jego pobliżu. Pozwól, że ci wyjaśnię.

— Widzisz, Spenser, wiele stworzeń posiada zdumiewające mechanizmy ochronne, które może wykorzystać przeciwko swoim wrogom. Istnieją owady, mogące przetrwać, dzięki podobieństwu do gałęzi krzewów; nieszkodliwe węże, posiadające wzory na skórze identyczne jak u śmiertelnie jadowitych; niewielkie ryby, potrafiące tak się nadać, że te większe nie są w stanie ich połknąć; kameleony, które...

Przerwałem mu:

— Przyznaję, że tego rodzaju mechanizmy ochronne istnieją, panie doktorze. Ale co to ma wspólnego, z tematem naszej rozmowy?

Wycelował we mnie palec.

— Dobrze, że chociaż jesteś świadom występowania mechanizmów obronnych. A teraz, przejdźmy do mechanizmów obronnych wenusjańskiego żółwia błotnego. Podobne jak inne żywe stworzenia na Wenus, posiada on ograniczone zdolności telepatyczne. W tym przypadku, mówimy o specyficznej adaptacji telepatii. Potrafią one, w umyśle każdego stworzenia, które znajdzie się w określonej odległości od nich, wzbudzać czasową

amnezję na temat samych siebie – na temat swojego istnienia. Innymi słowy, jeśli ktoś poluje na wenusjańskiego żółwia błotnego i znajdzie któregoś z nich – nie tylko zapomina, że na nie poluje, ale że kiedykolwiek je widział, albo nawet o nich słyszał!

Prawdopodobnie moje usta lekko się otworzyły. Spytałem:

— Czy chce pan powiedzieć, że ja polowałem na...

— Dokładnie — stwierdził doktor Everton, z nieco bardziej zadowoloną miną.

Popatrzyłem na Dixie, która tym razem odpowiedziała mi spojrzeniem. Dodała:

— To prawda, Rod. Znalezienie sposobu złapania żółwia, było głównym celem tej ekspedycji. I częściowo powodem, dla którego Tata pozwolił ci lecieć z nami, był fakt, że twierdziłeś, iż wiesz jak to zrobić.

— Naprawdę?

— Chwileczkę, Rod. Coś ci pokażę. Wiem, że uznasz to za trudne do uwierzenia, teraz kiedy tego nie pamiętasz.

Wyszła na chwilę z namiotu i wróciła z listem. Stwierdziłem, że to moje własne pismo. Dała mi list i przeczytałem go, i uszy zaczęły mi płonąć.

Oddałem go Dixie i zapadła długa cisza.

W końcu przerwałem ją.

— I na pewno nie dałem nikomu z was żadnej wskazówki — spytałem, — na temat tego jak przechytrzyć żółwia błotnego?

Doktor Everton rozłożył ręce.

— Nie chciałeś nam powiedzieć.

— Jak długo będzie trwać ta amnezja? Czy ma ona trwały charakter?

— Nie, minie po kilku godzinach – może pięciu, czy sześciu. Ale następnym razem, kiedy napotkasz któreś z tych zwierząt, wszystko to powtórzy się od początku.

Przemyślałem to wszystko gruntownie i nie byłem w stanie dostrzec żadnego rozwiązania tej sytuacji. Ale, nagle, coś mnie zastanowiło. Spytałem więc:

— Jeżeli każdy kto je zobaczy, zapomina o tym, to skąd wiadomo, że one istnieją?

— Żółwie zostały kilka razy sfografowane, ale badacze nie pamiętali, że zrobili te zdjęcia, dopóki nie zostały one wywołane, kilka godzin później. Wyglądają dosyć podobnie do ziemskich żółwi; tylko, mają sześć nóg zamiast czterech i są raczej okrągłe, niż owalne. Przyglądałeś się tym zdjęciom dosyć uważnie.

Crane wstał od stołu i wyciągnął kilka fotografii, z małego, przenośnego biurka, które przycupnęło w jednym z rogów pomieszczenia.

— Oto przedmiot twoich poszukiwań, Rod. — W jego oczach widać było rozbawienie.

Wpatrywałem się w zdjęcia, nadal nie do końca w to wszystko wierząc.

— To sprytne, małe potworki — wymamrotałem. — Wielkie oczy. To smutne spojrzenie.

— Są raczej rzadkie, nawet jak na gatunek wenusjański — powiedział mi Crane. — Ten obszar o rozmiarach jakichś dwudziestu, czy trzydziestu mil kwadratowych, jest jedynym miejscem, z którego donoszono o ich występowaniu.

— Rzadkie, zgadza się — chrząknął doktor Everton. — A przy szybkości, z jaką toczą się rzeczy, wyginą do końca, zanim uda nam się zdobyć nasz okaz.

Zmarszczyłem na to brwi.

— Co pan chciał przez to powiedzieć?

Crane wzruszył ramionami.

— Niektóre z prób ich schwytania, skończyły się dla błotnych żółwi raczej źle. Jedna z wypraw biologicznych próbowała zastosować trujący gaz, spodziewając się, że zabiją kilka z nich i przynajmniej zdobędą jakieś martwe okazy. Jednak, jak się oczywiście należało spodziewać, po śmierci tonęły one gdzieś głęboko w mule. Inna z ekspedycji użyła narkotyków, w nadziei pozyskania ich, pozbawionych świadomości. Jednak...

Wtrącił się doktor Everton:

— No cóż, było jak było, ale jeśli ta ekspedycja zakończy się niepowodzeniem, prawdopodobnie będzie ostatnią. Próby schwytania żółwi błotnych, okazały się zdecydowanie zbyt kosztowne.

Przesunąłem ręką po twarzy. To wszystko było jak kac po sześciordniowej hulance. Gdybym nie miał tego listu, ewidentnie napisanego moją własną ręką, ciągle bym podejrzewał, że spiskują przeciwko mnie, aby zrobić mi głupi dowcip.

Stwierdziłem żałośnie:

— Jakikolwiek miałem pomysł, najwidoczniej okazał się on kiepski. Spotkałem się z naszym przeciwnikiem i zostałem pokonany. A teraz, jeżeli nic nie macie przeciwko temu...

— Co masz zamiar zrobić, Rod? — spytała Dixie.

— Wyjść, aby trochę pomyśleć. — Zwróciłem się do doktora Evertona.  
— Chyba, że potrzebuje mnie pan do czegoś.

— Nie, idź, Spenser. Wkrótce wyruszymy ponownie na polowanie, być może to będzie ostatnia próba, zanim stąd odleciemy. Ale... — Nie powiedział tego wyraźnie, że raczej nie okazałem się zbyt wartościowym dodatkiem do wyprawy łowieckiej, ale ewidentnie tak myślał. I raczej go za to nie winiłem.

Poszedłem do swojego namiotu – cała nasza czwórka miała małe prywatne namioty rozstawione dookoła tego dużego – i usiadłem na łóżku po-

lowym. Próbowałem sobie przypomnieć coś, absolutnie cokolwiek, na temat żółwi, czy też żółwia. Ale poza tym, czego właśnie się dowiedziałem, nie mogłem nawet zadrapać ściany w moim umyśle.

Jaki mogłem mieć pomysł? No cóż, na czymkolwiek by on nie polegał, raczej nie był zbyt dobry. Czułem, że od główkowania zaraz pęknie mi łepetyna.

Koło wejścia do namiotu rozległo się dyskretne kasznięcie.

— Czy mogę wejść? — To był głos doktora Evertona.

— Oczywiście — odparłem.

Wszedł, i skinieniem ręki zaprosiłem go aby usiadł, ale on pokręcił przecząco głową. Powiedział:

— Bardzo mi przykro, że muszę ci o tym przypomnieć, Spenser – w takiej chwili, kiedy i tak jesteś mocno przybity – ale byłoby z mojej strony nieuczciwością, gdybym tego nie zrobił. A ty ewidentnie zapomniałeś o wszystkim, co jest związane z żółwiami.

Uniosłem wzrok i spojrzałem na niego, zaintrygowany. Mówił dalej:

— Nie pamiętasz naszej umowy?

Pokręciłem głową.

— Brzmiała ona po prostu tak: Obiecałem ci, że jeśli uda ci się zrealizować to co obiecałeś, wycofam swój sprzeciw odnośnie waszego ślubu z Dixie. Z drugiej strony zobowiązałeś się, że jeśli przegrasz...

— O, nie.

— To twoje słowa, Spenser. Byłeś tak pewny siebie, że zdawałeś się sądzić, iż nie podejmujesz w ogóle żadnego ryzyka. I dałeś słowo, że jeśli ci się nie uda, to zaakceptujesz mój werdykt i przestaniesz widywać się z Dixie.

Wydawało się niemożliwe, że mógłbym złożyć taką obietnicę – ale wiedziałem, że doktor Everton jest uczciwym człowiekiem.

Dodał jeszcze:

— Z przykrością ci o tym przypominam. I szczerze mówiąc, pewnie podchodzę do tej sprawy trochę tak jak ty, czyli osobiście. Nadal jednak nie wydaje mi się, żebyś był dobrym kandydatem na męża dla mojej córki. Ona jest wspaniałą dziewczyną. Zasluguje na kogoś, kto... hmmmm...

— Kto jest sprytniejszy od błotnego żółwia — podsunąłem mu ponuro.

Stwierdził:

— No cóż... — i uprzejmie spróbował podbudować moje morale, ale nie za bardzo mu wyszło. Niedługo potem wyszedł, a ja zostałem sam, siedząc na łóżku.

I siedziałem na łóżku.

Wiedziałem, że musiałem mieć jakiś pomysł, skoro byłem na tyle pewny siebie, aby zawrzeć taką umowę z doktorem Evertonem. Ale na czym ten pomysł mógł polegać? Na co komu taki pomysł, którego się nie pamięta? *Czy możliwe było, abym był tak sprytny, że zostawiłem dla siebie jakąś wiadomość?*

Szybko podszedłem do swojej szafki, w której trzymałem ubrania oraz wyposażenie i uniosłem jej pokrywę. W porządku, na wewnętrznej stronie pokrywy wypisana była kredą wiadomość, moim pismem. Trzy zdania. Wisiały tuż przed moimi oczyma. „MUSIAŁEŚ TO ZROBIĆ. CZY KTOŚ KTO MA AMNEZJĘ MOŻE STRACIĆ PAMIĘĆ? ODPOWIEDŹ TKWI W FAZIE.”

Wpatrywałem się w tę wiadomość i jęknąłem w duchu. Ale przecież, musiała być utajniona. Nie mogłem wyłożyć jej kawa na ławę, tak bym od razu wiedział o co chodzi. Prawdopodobnie kombinowałem, że jeśli napiszę ją w sposób otwarty, Crane lub Everton mogą ją przeczytać i ukraść mi mój pomysł. Ale, o co mogło mi chodzić?

MUSIAŁEŚ TO ZROBIĆ. CZY KTOŚ KTO MA AMNEZJĘ MOŻE STRACIĆ PAMIĘĆ? ODPOWIEDŹ TKWI W FAZIE...

Brednie. To musiało coś dla mnie znaczyć, kiedy to tutaj pisałem, ale teraz te słowa nie znaczyły dla mnie absolutnie nic.

MUSIAŁEŚ TO ZROBIĆ. Czy to miało znaczyć, że celowo pozwoliłem się pochwyć błotnemu żółwiowi, tak bym teraz mógł *odwrócić kartę i złapać jego*? Czy ktoś, kto ma amnezję, może stracić pamięć? Czy byłem teraz uodporniony? Być może, ale o co mi chodziło z tą fazą, stanowiącą odpowiedź?

Usłyszałem jak pozostali wyruszają z obozu i szybko złapałem swój ekwipunek, razem z wyłożoną mchem klatką na okazy, i pośpieszyłem za nimi. Byli już poza zasięgiem wzroku – sądząc po odgłosach ich rozmów, jakieś dwadzieścia jardów przede mną – ale odpowiedzieli, kiedy ich zawołałem i chwilę zaczekali, kiedy przedzierałem się przez błoto, aby ich dogonić.

Doktor Everton stał jako ostatni i doszedłem do niego. Wyjaśniłem:

— Panie doktorze, proszę posłuchać. Niemal chwyciłem ideę, na czym polegał mój pomysł. Wydaje mi się, że celowo pozwoliłem żółwiowi, aby mnie dopadł. Myślę, że celowo wyruszyłem sam, tak bym mógł się do któregoś z nich zbliżyć.

— Tak? A dlaczego? — Mówił, jakby go to zainteresowało.

— Widzi pan, ponieważ kiedy już zostałem złapany w pułapkę, to na następne mniej więcej cztery godziny stałem się ofiarą tej amnezji. I z tego powodu, jak sędzę, jestem odporny. Myślę, że gdybym *teraz* zobaczył żółwia, nie zapomniałbym co to za stwór oraz tego, że chcę go złapać.

Odwrócił się do mnie i uważnie się mi przypatrzył.

— Spenser, być może coś w tym jest. Ale to marna szansa.

— Dlaczego?

— Chodzi o tę widoczność – albo raczej jej brak. Według zdjęć, jakie mamy, one stapiają się doskonale z błotem. Poruszają się po powierzchni

bagniska, ale są tego samego koloru. Nie znajdziesz żadnego, chyba że niemal na niego wejdziesz.

Rozejrzałem się wokół siebie i w duchu przyznałem mu rację.

*Odpowiedź tkwi w fazie*, pomyślałem, a potem próbowałem wymyślić o co mi mogło chodzić. Donikąd to mnie nie doprowadziło.

Razem przedzieraliśmy się przez błoto, a ja główkowałem tak mocno, że bałem się zwichnięcia zwojów mózgowych. O co mogło mi chodzić z tą *fazą*? Dlaczego musiałem być aż tak bardzo tajemniczy? A ta sprawa, to moja ostatnia szansa...

W trakcie marszu, wyteżalem oczy we mgle.

— Panie doktorze, jak by pan ocenił, jak duże są te żółwie?

— Na podstawie zdjęć, powiedziałbym, że mają jakieś sześć cali średnicy.

Nie, żeby miało to jakieś istotne znaczenie. W tej mgle, z odległości paru jardów, nie dałoby się dostrzec słonia. Dixie i Crane byli tylko dwa kroki przed nami, i już ledwie ich widziałem.

— I są one dokładnie takiego koloru, jak błoto?

— Słucham?

— Żółwie — wyjaśniłem. — Czy one są dokładnie tego samego koloru, co to błoto?

Odwrócił się i spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem.

— Żółwie? Spenser, czy ty oszalałeś? Na Wenus nie ma żadnych żółwi.

Zatrzymałem się tak gwałtownie, że pojechałem na błocie i niemal się wywróciłem. Doktor Everton ponownie spojrzał na mnie, do tyłu.

— Spenser, coś się stało?

— Idźcie dalej — powiedziałem. — Dołączę do was za chwilę. Później wszystko wyjaśnię.



Zawahał się, tak jakby chciał mi zadać więcej pytań, a potem, ewidentnie uświadamiając sobie, że jeśli się nie pośpieszy, to straci z oczu Crane'a i Dixie, rzucił tylko:

— No dobrze. Jeśli się rozdzielimy, spotkamy się w obozie.

Natychmiast, kiedy tylko zniknął we mgle, postawiłem na ziemi swoją klatkę na okazy jako znacznik orientacyjny, wyznaczający dokładne miejsce, w którym stałem. Zacząłem szukać wokół niego po spirali.

Odpowiedź tkwi w fazie! Pomimo wszystko, to nie była taka tajemnicza zagadka. Po prostu pozwoliłem się złapać jednemu z żółwi – kiedy byłem sam – po to, żeby nie być w fazie z pozostałymi. Przez krótki czas byłem odporny, a oni nie. Tak więc żółw „złapał” Evertona, i to była wskazówka dla mnie.

Robiłem właśnie piąte kółko wokół klatki na okazy, jakieś sześć czy siedem stóp od niej, kiedy niemal wszedłem na coś nieruchomego i niemal niewidocznego na powierzchni błota. Był to sześcionogi żółw. Podniosłem go do góry i zawołałem: „Tu jesteś, mój ty śliczny! Nie rób drugiemu, co tobie niemiłe, a odpowiedź rzeczywiście tkwi w fazie!

Spojrzał na mnie wielkimi, uduchowionymi oczyma i oznajmił ze smutkiem:

— Yeep?

Poczułem wyrzuty sumienia. Przecież dobrze wiedziałem, że teraz, kiedy metoda polowania została już wymyślona, inne ogrody zoologiczne, inne muzea także będą chciały zdobyć swoje okazy i...

Zdusiłem w sobie te myśli i stanowczo umieściłem żółwia w mojej klatce. To oznaczało Dixie, a Dixie znaczyła dla mnie wszystko. Korzystając z sygnału kierunkowego jako przewodnika, z chlupotem ruszyłem do obozu.

Kiedy tamci wrócili kilka godzin później, chichotałem sam do siebie pod nosem. Znowu będę mógł odpłacić komuś pięknym za nadobne, tak więc

przygotowałem się do tego, aby ich przekonać. Kiedy pogrzebałem w swojej szafce, znalazłem mnóstwo amunicji, jaka była mi potrzebna – czasopisma naukowe z artykułami na temat wenusjańskich żółwi błotnych, wycinki prasowe o wylocie ekspedycji zoologicznej oraz jej głównym celu. No i oczywiście Okaz A, czyli żywy wenusjański żółw błotny w doskonałym stanie.

Poprosiłem na bok doktora Evertona i równie dyplomatycznie, jak on wcześniej przypomniał mi o umowie między nami, przypomniałem mu teraz ja.

Westchnął.

— W porządku, Rod — stwierdził. — Nie pamiętam tego, ale wierzę ci na słowo. Wydaje mi się – przynajmniej tak sędzę teraz – że i tak bym się zgodził, niezależnie od tego, czy jest między nami jakaś umowa dotycząca tej sprawy czy jej nie ma.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i wtedy nagle się uśmiechnął.

— Czy ustaliliście z Dixie już jakąś datę?

— Muszę porozmawiać o tym z Dixie — odparłem, — ale wiem jaki dzień ja bym wybrał. A pan, z technicznego punktu widzenia, jest kapitanem statku kosmicznego i może pan dokonać tej ceremonii, zanim stąd odleciemy. — Uśmiechnąłem się do niego. — Prawdę mówiąc, wolałbym załatwić tę sprawę, zanim znowu dostanę amnezji i zapomnę, że taka umowa istnieje.

— Znowu dostaniesz amnezji? Myślisz, że tak się stanie?

— Jeżeli przypadkiem nie jest ten sam żółw na którego wpadłem za pierwszym razem, to myślę, że tak. Kiedy tylko skończy się okres ochronny, który załatwił mi ten pierwszy żółw, ten tutaj dopadnie mnie i znowu zapomnę o wszystkim na parę godzin. I to powinno stać się mniej więcej niebawem, jeżeli w ogóle się stanie.

Znalazłem Dixie w głównym namiocie i dokładne słowa, których wtedy użyłem oraz których użyła ona, są tylko naszą sprawą. Pół godziny później, doktor Everton udzielił nam ślubu, a potem, ponieważ chcieliśmy się spakować i odlecieć jeszcze przez zbliżającym się końcem wenusjańskiego dnia, zabraliśmy się z zapałem do roboty.

Większość pracy, jaką miałem do zrobienia, odbywała się na statku i związana była z jego przygotowaniem, tak więc jako ostatni spakowałem swój worek marynarski i zaniósłem go na pokład. Naturalnie pozbyłem się wszystkiego, co było mi niepotrzebne – tak jak robią to wszyscy przed lotem w kosmos — włączając w to wyrzucenie mchu z mojej klatki na okazy i wypuszczenie dziwaczego, podobnego do żółwia stworzenia, które nie miało żadnej wartości jako zdobycz. Musiało ono znaleźć otwartą klatkę i samo do niej wleźć, ponieważ ja nigdy bym czegoś takiego nie złapał. Stworzek wyglądał jakoś odrażająco; cieszyłem się że nie ma żadnego powodu, aby zatrzymywać go w niewoli.

Być może powinienem wcześniej zapytać o niego doktora Evertona, ale tak mi się śpieszyło do startu w drogę powrotną na Ziemię – oraz do oczekującego mnie miesiąca miodowego.

---

## Ostatni Marsjanin

## The Last Martian

Był to wieczór jak każdy inny, tyle że nudniejszy. Wróciłem do redakcji z oficjalnego bankietu. Wyzerka była tak marna, że czułem się oszukany, chociaż była za darmo. Z braku lepszego zajęcia rąbnąłem długie i błyskotliwe sprawozdanie z tego bankietu. Sekretarz redakcji i tak zostawi z tego jeden czy dwa beznamiętne akapity.

Slepper siedział z nogami na biurku, ostentacyjnie nic nie robiąc, a Johnny Hale zakładał nową taśmę na maszyny. Reszta chłopców pracowała gdzieś na mieście. Cargan, szef działu miejskiego, wyszedł ze swojego pokoju.

— Czy któryś z was zna Barneya Welcha? — zapytał.

Głupie pytanie. Barney jest właścicielem baru po przeciwległej stronie ulicy. Nie ma w Trybunie reportera, który by nie znał Barneya i nie pijał u niego na kredyt, więc wszyscy kiwnęli głowami.

— Właśnie dzwonił — powiedział Cargan. — Ma tam u siebie faceta, który twierdzi, że jest z Marsa.

— Pijany czy wariat? — chciał wiedzieć Slepper.

— Barney nie wie, ale powiedział, że może to być materiał na śmieszna historię, gdyby ktoś tam poszedł i pogadał z facetem. A ponieważ to jest na przeciwko, a wy trzej i tak siedzicie na tyłkach, to jeden z was tam skoczy. Za alkohol nie zwracam.

Slepper wyraził chęć pójścia, ale Cargan spojrział na mnie.

— Jesteś wolny, Bill? — spytał. — To ma być śmieszna historia, a ty masz lekkie pióro.

— Wiadomo — mruknąłem. — Pójdę.

— Może to tylko jakiś pijak się wygłupia, ale jeżeli facet ma rzeczywiście szmergla, dzwoń po policję, chyba że będziesz widział w tym coś zabawnego. Jak go zaaresztują, to też będzie materiał.

— Cargan to by kazał aresztować rodzoną babcię, żeby zdobyć materiał — stwierdził Sleppe. — Czy mogę pójść z nim, dla towarzystwa?

— Nie, ty i Johnny zostańcie. Nie przenosimy redakcji do Barneya — powiedział Cargan i wrócił do siebie.

Podpisałem swoje sprawozdanie z bankietu i posłałem je pocztą pneumatyczną.

Wziąłem płaszcz i kapelusz.

— Wypij za moje zdrowie, Bill — powiedział Sleppe. — Tylko nie za dużo, żebyś nie przepił swojego lekkiego pióra.

— Dobra, dobra — mruknąłem i opuściłem pokój.

Wszedłem do Barneya i rozejrzałem się po sali. Nie była nikogo z Trybuny i tylko przy jednym ze stolików kilku facetów z drukarni grało w karty. Oprócz samego Barneya, który stał za ladą, w lokalu znajdował się jeszcze tylko jeden człowiek. Wysoki mężczyzna, chudy i blady, siedział samotnie przy stoliku wpatrując się tępo w pustą szklankę po piwie.

Pomyślałem, że lepiej będzie zasięgnąć najpierw opinii Barneya, podszedłem więc do lady.

— Jedna mała. Woda oddzielnie. Czy ten długi to jest Marsjanin, o którym mówiłeś Carganowi?

Kiwnął głową i nalał mi whisky.

— Co mam robić? Czy powiedziałeś mu, że będzie z nim rozmawiał reporter? Może postawić mu piwo i wyciągnąć z niego, co się da! Czy on jest bardzo nie tego...?

— Niewąsko. Mówi, że przyjechał z Marsa dwie godziny temu i próbuje teraz wszystko zrozumieć. Mówi, że jest ostatnim żywym Marsjaninem. Nie wie, że jesteś reporterem, ale przygotowałem go do rozmowy.

— W jaki sposób?

— Powiedziałem mu, że mam bardzo inteligentnego przyjaciela, który potrafi mu coś poradzić. Nie wymieniałem nazwiska, bo nie wiedziałem, kogo Cargan przyśle. W każdym razie facet jest gotów wypłakać ci się w kamizelkę.

— Wiesz, jak on się nazywa?

Barney skrzywił się. — Mówi, że Jangan Dal. Tylko proszę ostrożnie. Nie chcę tutaj żadnych awantur. Wypiłem whisky i popiłem wodą sodową.

— Okay, Barney — powiedziałem. — Proszę mi dać dwa piwa i pójdę do niego.

Barney nalał dwa piwa i zgarnął pianę. Wziąłem z lady resztę i zaniołem szklanki do stolika.

— Pan Dal? — spytałem. — Jestem Bill Everett. Barney powiedział mi, że ma pan jakieś kłopoty i że potrzebuje pan pomocy.

Spojrzał na mnie.

— To on do pana dzwonił? Proszę usiąść. Bardzo dziękuję za piwo.

Usiadłem obok niego. Facet dopił resztkę swojego piwa i nerwowym ruchem objął szklankę, którą przed nim postawiłem.

— Pan pewnie pomyśli, że zwariowałem — powiedział. — I możliwe, że tak jest rzeczywiście, ale... ja sam tego nie rozumiem. Barman zdaje się uważa mnie za wariata. Przepraszam, czy pan jest lekarzem?

— Niezupełnie. Może pan naszą rozmowę uważać za konsultację psychologiczną.

— Czy pan uważa mnie za wariata?

— Większość ludzi chorych umyślowo uważa się za zupełnie normalnych. Na razie jednak nic mi pan o sobie nie opowiedział.

Pociągnął łyk piwa i odstawił szklanę, nie wypuszczał jej jednak z rąk, być może, aby ukryć ich drzenie.

Po chwili powiedział.

— Jestem Marsjaninem. Ostatnim Marsjaninem. Wszyscy inni nie żyją. Widziałem ich trupy zaledwie dwie godziny temu.

— Był pan na Marsie dwie godziny temu? Jak się pan dostał z powrotem?

— Nie wiem. To jest najokropniejsze. Nie wiem. Wiem tylko, że inni byli nieżywi, ich ciała zaczynały gnić. To było straszne. Było nas sto milionów, a teraz jestem sam.

— Sto milionów. Tylu jest mieszkańców Marsa?

— Około tego. Może trochę więcej. Tylu było mieszkańców. Teraz wszyscy nie żyją, z wyjątkiem mnie. Sprawdzałem w trzech miastach, w trzech największych miastach. Byłem w Skarze i kiedy zobaczyłem, że wszyscy tam umarli, wzięłem targan — nikt nie mógł mi w tym przeszkodzić — i poleciałem do Undanelu. Nigdy przedtem nie latałem, ale okazało się, że to zupełnie łatwe. W Undanelu też wszyscy byli martwi. Uzupełniłem paliwo i ruszyłem dalej. Leciłem nisko i rozglądałem się — nigdzie żywej duszy. Dotarłem do Zandaru, naszego największego miasta, gdzie mieszkało przeszło trzy miliony ludzi. Wszyscy byli nieżywi i zaczęli się rozkładać. To było okropne, powiadam panu, okropne. Wciąż jeszcze nie mogę przyjść do siebie.

— Wyobrażam sobie — powiedziałem.

— To przekracza ludzkie wyobrażenie. Oczywiście to był i tak umierający świat; zostało nam może ze dwadzieścia pokoleń. Dwieście lat temu było nas trzy miliardy — większość z nich głodowała. Potem wiatry z pustyni

przyniosły kryl — chorobę, której nasi uczeni nie potrafili pokonać. W ciągu dwóch stuleci zmniejszył on liczbę ludności do jednej trzydziestej i szalał nadal.

— Więc wasi ludzie umarli na ten... kryl?

— Nie. Marsjanin umierając na kryl wysycha. Ciała, które widziałem, nie były wyschnięte.

Wstrząsnął się i wypił resztę piwa. Zauważyłem, że zaniedbałem swoją szklankę i też wypilem. Podniosłem dwa palce w stronę Barneya, który spoglądał na nas z zafrasowaną miną.

Mój Marsjanin mówił dalej:

— Usiłowaliśmy opanować technikę lotów kosmicznych, ale bez rezultatu.

Sądziliśmy, że chociaż niektórzy z nas uciekną przed krylem, jeśli uda im się ująć na Ziemię lub na inne światy. Jednakże wszystkie próby skończyły się niepowodzeniem. Nie potrafiliśmy nawet dotrzeć do naszych księżyców, Dejmosa i Fobosa.

— Nie opanowaliście podróży kosmicznych? Więc w jaki sposób...

— Nie wiem. Nie wiem i powiadam panu, że to doprowadza mnie do szału. Nie wiem, jak się tutaj dostałem. Jestem Jangan Dal, Marsjanin. I jestem tutaj, w tym ciele. To wszystko doprowadza mnie do szału.

Barney przyniósł piwa. Wyglądał na bardzo przejętego, więc zaczekałem, aż się oddali, i spytałem:

— Jak to w tym ciele? Chce pan powiedzieć...

— Oczywiście. To nie jest moje ciało. Nie sądzi pan chyba, że Marsjanie wyglądają identycznie jak ludzie? Mam dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i ważyłbym tu na Ziemi około dwunastu kilo. Mam cztery ręce, po sześć palców na każdej. To ciało, w którym się znalazłem, napawa mnie odrazą. Nie rozumiem go, podobnie jak nie rozumiem, skąd się tu wziąłem.



— A skąd pan zna angielski? Czy potrafi i pan to wytłumaczyć?

— Owszem, w pewnym stopniu. To ciało nazywa się Howard Wilcox. Jest buchalterem. Jest ożenione z samicą swojego gatunku. Pracuje w przedsiębiorstwie Humbert Lamp Gompany. Rozporządzam wszystkimi jego wspomnieniami i wiem wszystko to, co on wie, czy raczej wiedział. W pewnym sensie jestem Howardem Wilcoxem. Posiadam na poparcie tego dowody w swoich kieszeniach. Ale to wszystko nic nie znaczy, ponieważ naprawdę jestem Jangan Dal, Marsjanin. Odziedziczyłem nawet upodobania tego ciała. Lubię piwo. I kiedy pomyślę o jego żonie... to... ja ją kocham.

Popatrzyłem na niego, wyjąłem papierosy i poczęstowałem go.

— Zapali pan?

— To ciało, Howard Wilcox, nie pali. Dziękuję. Pozwoli pan, że teraz ja zamówię piwo. W kieszeniach tego ubrania są pieniądze.

Kiwnąłem na Barneya.

— Kiedy to się zdarzyło? Mówi pan, że zaledwie dwie godziny temu. Czy kiedykolwiek przedtem wydawało się panu, że jest pan Marsjaninem?

— Nic mi się nie wydawało. Ja byłem Marsjaninem. Która jest teraz godzina?

Spojrzałem na zegarek.

— Pięć po dziewiątej.

— Więc jest nieco później, niż myślałem. Trzy i pół godziny. Musiało być wpół do szóstej, kiedy znalazłem się w tym ciele, ponieważ było ono w drodze z pracy do domu, a z jego pamięci wiem, że kończy pracę o piątej.

— I czy pan... to ciało... wróciło do domu?

— Nie, byłem zbyt zdenerwowany. Zresztą to nie jest mój dom. Ja jestem Marsjaninem. Czy pan tego nie rozumie?

Zresztą nie mogę mieć do pana pretensji, bo sam też tego nie rozumiem. Ale szedłem... I ja... to znaczy Howard Wilcox poczuł pragnienie i wszedł... to jest, ja wszedłem...

Utknął i zaczął od nowa:

— To ciało poczuło pragnienie i wszedłem tutaj, żeby się napić. Po dwóch czy trzech piwach pomyślałem sobie, że może barman potrafi mi coś poradzić, i zacząłem z nim rozmowę.

Pochyliłem się do niego przez stół.

— Niech mnie pan posłucha — zacząłem. — Miał pan przyjść do domu na obiad i teraz żona zamartwia się o pana. Czy dzwonił pan do domu?

— Nie, skąd. Przecież nie jestem Howardem Wilcoxem.

Widać jednak było, że moje słowa trafiły do niego.

— Lepiej zadzwonić do domu — powiedziałem. — Co ma pan do stracenia? Niezależnie od tego, czy jest pan Janganem Dalem, czy Howardem Wilcoxem, tam w domu siedzi kobieta i martwi się o pana. Proszę do niej zadzwonić. Chyba pamięta pan numer?

— Oczywiście. Przecież to mój własny... to jest Wilcoxa.

— Niech pan przestanie wikłać się w sieciach gramatyki i niech pan idzie do telefonu. I proszę nie próbować niczego wyjaśniać żonie, jest pan zbyt zdenerwowany. Niech pan jej powie, że jest zdrow i cały i że porozmawiacie w domu.

Wstał jak lunatyk i skierował się w stronę automatu telefonicznego.

Podszedłem do lady i wypłem jeszcze jedną whisky.

Barney nachylił się do mnie.

— Czy on jest...

— Jeszcze nie wiem — powiedziałem. — Jest coś, czego jeszcze nie rozumiem.

Wróciłem do stolika. Mój facet uśmiechał się blado.

— Była wściekła jak diabli. Kiedy ja... Kiedy Wilcox wróci do domu, musi mieć w pogotowiu jakąś prawdopodobną historię. — Pociągnął łyk piwa. — W każdym razie bardziej prawdopodobną niż moja.

Powoli jakby stawał się bardziej ludzki. Jednak po chwili wrócił do swojej opowieści.

Popatrzył na mnie.

— Zapewne powinienem panu opowiedzieć, jak się to wszystko zaczęło. Tam na Marsie byłem zamknięty w pokoju. W mieście Skar. Nie wiem, dlaczego mnie zamknięto, ale tak było. A potem przestali mi przynosić jedzenie i głód tak mi dokuczał, że wyrwałem kamień z podłogi i zacząłem nim rozbijać drzwi. Osłabłem z głodu i zajęło mi to trzy dni — marsjańskie, to jest około sześciu ziemskich. Resztkami sił dotarłem do miejsca, gdzie było jedzenie. Nie było tam nikogo.

Najadłem się i potem...

— Niech pan mówi, słucham.

— Wyszedłem z budynku i wszyscy leżeli na ulicach martwi. Rozkładali się. — Zasłonił rękami oczy. — Zaglądałem do niektórych domów. Nie wiem, czego tam szukałem, ale zobaczyłem, że nikt nie umarł w domu. Wszyscy leżeli na otwartej przestrzeni i nie było ciał wyschniętych — więc to nie krył ich zabił.

— Potem, jak już mówiłem, ukradłem targan. Właściwie nie można powiedzieć, że ukradłem, bo nie miał on już właściciela i poleciałem na poszukiwanie innych ludzi. Za miastem było tak samo: wszyscy leżeli na otwartej przestrzeni w pobliżu domów — martwi. W Undanelu i Zandarze — to samo. Wspominałem panu, że Zandar to największe miasto, stolica. W środku Zandaru jest wielkie gładkie pole, stadion sportowy. Cała ludność Zandaru tam się zbiegła, tak to przynajmniej wyglądało. Trzy miliony ciał leżało obok siebie, jakby się tam zeszli, aby umrzeć. Jakby wiedzieli. Leżeli na otwar-

tej przestrzeni, tak jak wszędzie, ale tutaj zgromadziła się w jednym miejscu cała ludność stolicy. Zobaczyłem to z góry, kiedy przelatywałem nad miastem. Było tam coś pośrodku boiska, na podwyższeniu. Zniżyłem się i zatrzymałem targan w miejscu (zapomniałem powiedzieć, że przypomina on wasze helikoptery), żeby się temu przyjrzeć. Stało tam coś w rodzaju kolumny z czystej miedzi. Miedź na Marsie to tak jak złoto na Ziemi. U stóp kolumny znajdowała się tablica rozdzielcza ozdobiona drogimi kamieniami. Obok niej leżał Marsjanin w błękitnej szacie. Tak jakby nacisnął guzik i padł martwy. I wszyscy inni razem z nim. Cała ludność Marsa z wyjątkiem mnie.

Wylądowałem na podwyższeniu, wysiadłem i nacisnąłem guzik. Chciałem umrzeć; wszyscy umarli i ja też chciałem umrzeć. Ale nie umarłem. Ocknąłem się na Ziemi, w autobusie, w drodze z pracy do domu i nazywałem się... Dałem znak Barneyowi.

— Niech pan mnie posłucha, Howardzie — powiedziałem. — Wypijemy jeszcze po jednym piwie i proszę wracać do domu, do żony. I tak czeka pana awantura, a im dłużej pan zwleka, tym będzie gorzej. I jeśli ma pan olej w głowie, to niech pan kupi po drodze pudełko czekoladek i kwiaty i wymyśli jakąś historię. Tylko nie tę, którą mnie pan opowiedział.

— Zastanawiam się...

— Nie ma się co zastanawiać. Nazywa się pan Howard Wilcox i musi pan wracać do domu, do żony. Powiem panu, co mogło się zdarzyć. Wiemy bardzo mało o ludzkiej psychice i dzieją się z nią czasem dziwne rzeczy. Być może w średniowieczu mieli trochę racji, kiedy mówili o opętaniu. Chce pan wiedzieć, co sędzę o pańskim przypadku?

— Na litość boską, jeśli może mi pan dać jakiegokolwiek wyjaśnienie z wyjątkiem tego, że zwariowałem...

— Myślę, że grozi to panu, jeśli nadal będzie pan się nad tym zastanawiał.

Założmy, że jest jakieś naturalne wyjaśnienie całej tej sprawy, i nie myślmymy o niej. Mogę spróbować jednej z wielu możliwych hipotez. Barney przyniósł nam piwo i zaczekałem, aż odejdzie.

— Wyobraźmy sobie — powiedziałem — że człowiek... to jest Marsjanin nazwiskiem Jangan Dal rzeczywiście umarł dzisiaj na Marsie. Może był on naprawdę ostatnim Marsjaninem. I być może w chwili śmierci jego psychika w jakiś sposób zmieszała się z pańską. Nie twierdzę, że tak właśnie było, ale nie jest to rzecz całkowicie nieprawdopodobna. Niech pan przyjmie to wyjaśnienie i weźmie się w garść. Niech pan robi wszystko tak, jakby był pan Howardem Wilcoxem — i jeśli będzie pan miał co do tego wątpliwości, to niech pan spojrzy w lusterko. A teraz proszę iść do domu i udobruchać żonę, tak żeby jutro mógł pan pójść do pracy i zapomnieć o wszystkim. Czy nie sądzi pan, że to jest najlepsze wyjście?

— Możliwe, że ma pan rację. Jeśli mam wierzyć swoim zmysłom...

— Trzeba im wierzyć. Przynajmniej do czasu znalezienia lepszego wyjaśnienia sprawy.

Skończyliśmy nasze piwa i wsadziłem go do taksówki. Przypomniałem mu, żeby kupił coś dla żony i żeby wymyślił sobie dobre i prawdopodobne alibi zamiast tej historii, której ja wysłuchałem.

\* \* \*

Wróciłem do Trybuny, wszedłem do pokoju Cargana i zamknąłem za sobą drzwi.

— Wszystko w porządku — powiedziałem. — Załatwiłem go.

— Co to było?

— To był rzeczywiście Marsjanin — ostatni, który pozostał na Marsie. Nie wiedział, że przenieśliśmy się tutaj, i myślał, że wszyscy umarli.

— Jak to się mogło stać, że go przeoczono? Jak mógł nie wiedzieć?

— To jest imbecyl. Przebywał w szpitalu dla umysłowo chorych w Skarze i przez niedopatrzenie pozostawiono go w zamkniętym pomieszczeniu, kiedy naciśnięto guzik... Dlatego nie dotarło do niego promieniowanie, które przeniosło nasze psychiki na Ziemię. Potem udało mu się wydostać, odnalazł miejsce w Zandarze, gdzie odbyła się ceremonia, i sam nacisnął guzik. Widocznie pozostało dosyć energii, żeby go przesłać w ślad za nami.

Cargan gwizdnął cicho.

— Czy powiedziałeś mu prawdę? Czy jest na tyle inteligentny, żeby trzymać twarz na kłódkę.

Potrząsnąłem głową.

— Nie. Jego współczynnik inteligencji nie przekracza piętnastu. Ale jest to mniej więcej tyle, co u przeciętnego Ziemianina, więc da sobie jakoś radę.

Wmówiłem w niego, że naprawdę jest tym Ziemianinem, którego psychikę opanował.

— Całe szczęście, że trafił na Barneya. Zaraz do niego zadzwonię i powiem, że wszystko w porządku. Jestem zdziwiony, że go nie wyrzucił na zbity twarz.

— Barney jest jednym z nas. Nie wypuściłby faceta od siebie.

— Ale ty go wypuściłeś. Czy jesteś pewien, że to bezpieczne? Czy nie powinieneś...

— Wszystko będzie dobrze — powiedziałem. — Zobowiązuję się mieć go na oku do czasu opanowania sytuacji. Myślę, że potem trzeba będzie znowu go zamknąć. Cieszę się jednak, że nie musiałem go zabić. Mimo wszystko jest jednak jednym z nas, imbecyl czy nie. A gdy się dowie, że nie jest ostatnim Marsjaninem, to na pewno tak się ucieszy, że nie będzie miał nic przeciwko temu, że się go zamknie.

Wszedłem do pokoju redakcyjnego i usiadłem przy swoim biurku. Slepper gdzieś wyszedł. Johnny Hale podniósł wzrok znad gazety.

— No i jak? Masz materiał?

— Nie — odpowiedziałem. — Jakiś pijak chciał być za wszelką cenę dużą towarzystwa. Nie wiem, po co Bamey dzwonił.

*Przełożył Lech Jęczmyk*

---

## Gabinet luster

(Hall of Mirrors)

*To trudna decyzja do podjęcia – czy powinieneś oddać swoje życie, tak byś mógł przeżyć je ponownie!.*

Przez chwilę myślisz, że to jest tymczasowa ślepotą, taka nagła ciemność, która zapadła w środku jasnego popołudnia.

To *musi* być ślepotą, myślisz sobie. Przecież czy słońce, które przed chwilą cię opalało, mogłoby zniknąć w jednej chwili, pozostawiając cię w zupełnej ciemności?

Wtedy nerwy twojego ciała mówią ci, że stoisz, podczas gdy zaledwie sekundę wcześniej, wygodnie sobie siedziałeś, niemal rozkładając się w płóciennym krzeselku. Na patio, w domu przyjaciela, w Beverly Hills. Roz-

mawiając z Barbarą, twoją narzeczoną. Przyglądając się Barbarze -- Barbarze w stroju kąpielowym -- jej opalonej na złoto skórze w jasnych promieniach słońca, pięknej.

Miałeś na sobie spodenki kąpielowe. Teraz w ogóle ich nie czujesz. Lekki nacisk elastycznej gumki w pasie, nie opina już twojej talii. Dotykasz rękoma bioder. Jesteś nagi. I stoisz.

Cokolwiek się z tobą stało, jest to coś więcej, niż tylko przejście do nagłej ciemności, czy też do nagłej ślepoty.

Unosisz ręce i macasz nimi przed sobą w ciemności. Dotykają równej, gładkiej powierzchni, ściany. Rozkładasz je szeroko, i każda z nich dosięga narożnika. Powoli się obracasz. Druga ściana, potem trzecia, a następnie drzwi. Jesteś w szafie o powierzchni mniej więcej czterech stóp na cztery.

Twoja ręka znajduje gałkę u drzwi. Przekręca się i popychasz drzwi, otwierając je.

Nareszcie jest światło. Drzwi otworzyły się na oświetlony pokój... Pokój w którym nigdy wcześniej nie byłeś.

---

Nie jest duży, ale ładnie umeblowany -- aczkolwiek te meble są dla ciebie w nieco dziwnym stylu. Skromność powoduje, że otwierasz ostrożnie drzwi, na resztę pokoju. Ale jest on pusty, nie ma w nim ludzi.

Wychodzisz do pokoju, odwracasz się, aby popatrzeć do tyłu, do szafy, która obecnie oświetlona jest światłem z pokoju. Szafa jest i nie jest szafą. Ma odpowiednie rozmiary i kształty, ale w środku nie ma nawet jednego haczyka, ani żadnego pręta do wieszania ubrań, nie ma półek. To po prostu pusta przestrzeń, cztery stopy na cztery, o gładkich ścianach.

Zamykasz prowadzące do niej drzwi, i stoisz, rozglądając się po pokoju. Pomieszczenie ma z grubsza dwanaście na czternaście stóp powierzchni.



Prowadzą do niego jedne drzwi, ale są one zamknięte. Nie ma żadnych okien. Pięć mebli. Cztery z nich rozpoznajesz... mniej więcej. Jeden z nich wygląda jak funkcjonalne biurko. Drugi ewidentnie musi być krzesłem... wyglądającym całkiem wygodnie. Jest również stół, aczkolwiek jego blat podzielony jest na kilka poziomów, zamiast mieć jeden. Kolejny to łóżko, albo leżanka. Rozłożone na niej, leży coś błyszczącego, podchodzisz więc, podnosisz to błyszczące coś do góry i przyglądasz mu się dokładniej. To ubranie.

Jesteś nagi, a więc zakładasz je na siebie. Pantofle wystają spod łóżka (albo leżanki), tak więc wsuwasz w nie stopy. Pasują, a tobie momentalnie robi się ciepło i czujesz się w nich tak wygodnie, jak nie czułeś się w niczym innym, co kiedykolwiek miałeś na nogach. Jakby były z jagnięcej wełny, ale jeszcze bardziej miękkie.

Teraz jesteś ubrany. Spoglądasz na drzwi -- jedyne drzwi w tym pokoju, poza tymi do szafy (szafy?) z której do niego wyszedłeś. Podchodzisz do drzwi i zanim spróbujesz przekręcić gałkę, zauważasz tuż ponad nią małą, napisaną drukowanymi literami wiadomość, w której możesz przeczytać:

*Te drzwi zamknięte są na zamek czasowy, ustawiony na otwarcie się po jednej godzinie. Z powodów, które wkrótce zrozumiesz, lepiej będzie żebyś przed tym czasem nie wychodził z pokoju. Na biurku leży list do ciebie. Proszę, przeczytaj go.*

Nie jest podpisana. Spoglądasz na biurko, i widzisz, że leży na nim jakaś koperta.

Jednak nie idziesz jeszcze do biurka, żeby otworzyć tę kopertę i przeczytać list, który musi być w środku.

Dlaczego nie? Ponieważ jesteś wystraszony.

Dostrzegasz inne rzeczy dotyczące pokoju. Światło nie ma żadnego źródła, które byłbyś w stanie wykryć. Pochodzi po prostu znikąd. Nie jest to przy tym światło pośrednie. Ani sufit, ani ściany w ogóle go nie odbijają.

Nie dają w ogóle żadnego odbicia, jak tam skąd pochodzisz. Co chciałeś przez to powiedzieć, mówiąc: *tam skąd pochodzisz?*

Zamykasz oczy. Powtarzasz sobie: *Nazywam się Norman Hastings. Jestem profesorem matematyki, na University of Southern California. Mam dwadzieścia pięć lat, a obecnie jest rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty czwarty.*

Otwierasz oczy i ponownie rozglądasz się wokoło.

---

Nie używali tutaj mebli w stylu podobnym do tych z Los Angeles – ani z jakiegokolwiek innego znanego mu miejsca – z roku 1954. To coś, tam w rogu – nie możesz nawet się domyślić, co to może być. Podobnie czułby się twój dziadek, w twojej epoce, patrząc na odbiornik telewizyjny.

Spoglądasz w dół, po sobie, na lśniące ubranie, które znalazłeś, czekające na ciebie. Kciukiem oraz palcem wskazującym gładzisz je, usiłując wy-czuć jego powierzchnię.

Jest zupełnie odmienna od wszystkiego, czego w życiu dotykałeś.

*Nazywam się Norman Hastings. To jest rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty czwarty.*

Nagle musisz się dowiedzieć co się dzieje, i to natychmiast.

Podchodzisz do biurka, aby podnieść leżącą na nim kopertę. Na jej zewnętrznej stronie napisane jest twoje imię i nazwisko: *Norman Hastings.*

Kiedy ją otwierasz, twoje ręce lekko się trzęsą. Czy możesz je za to winić?

W środku jest kilka kartek, drukowanego tekstu. „Drogi Normanie”, jak zaczyna się list. Odwracasz go szybko na koniec, żeby spojrzeć na podpis. List jest niepodpisany.

Odwracasz go z powrotem i zaczynasz go czytać.

„Nie bój się. Nie ma tu niczego czego musiałbyś się obawiać, ale jest wiele do wyjaśnienia. Większość z tego, co musisz zrozumieć, zanim zamek czasowy otworzy te drzwi. Większość z tego, co musisz zaakceptować -- i wykonać.

Jak się zapewne już wcześniej domyśliłeś, jesteś w przyszłości -- w miejscu, które dla ciebie, wydaje się być przyszłością. To ubranie i pokój, musiały ci już to powiedzieć. Zaplanowałem to w taki sposób, aby szok nie był zbyt raptowny, tak więc powinieneś pojąć ten fakt stopniowo, w trakcie kilku poprzednich minut, zamiast wyczytać tutaj -- i, całkiem prawdopodobnie, nie uwierzyć w to, co czytasz.

Jak już zapewne do tej pory zdałeś sobie sprawę, „szafa”, z której niedawno wyszedłeś, jest maszyną czasu. Przy jej pomocy, przeszedłeś w rok 2004. Dzisiejsza data, to 7 kwietnia, dokładnie pięćdziesiąt lat później, od chwili, którą zapamiętałeś jako ostatnią.

Nie możesz wrócić.

To ja ci to zrobiłem, i możesz mnie za to nienawidzić. Nie wiem. Decyzja należy do ciebie, ale to nie ma znaczenia. To co się liczy, i to nie tylko osobiście dla ciebie, to kolejna decyzja, którą będziesz musiał podjąć. Ja nie jestem w stanie tego zrobić.

Kto to do ciebie napisał? Wolałbym raczej jeszcze tego ci nie mówić. Do czasu, kiedy zakończysz czytanie tego listu, nawet pomimo tego, że jest niepodpisany (z tego co wiem, pierwsze co zrobiłeś, to spojrzałeś na podpis), nie będę musiał mówić ci, kim jestem. Sam się domyślisz.



Mam siedemdziesiąt pięć lat. Do tego roku, to jest 2004, trzydzie-

ści z tych lat spędziłem, studiując „czas”. Zbudowałem pierwszą maszynę czasu, jaką kiedykolwiek stworzono -- i do tej pory sposób jej konstrukcji, a nawet fakt, że została ona skonstruowana, jest wyłącznie moją tajemnicą.

Właśnie wzięłeś udział w pierwszym wielkim eksperymencie z jej wykorzystaniem. To od ciebie zależy decyzja, czy przy jej pomocy wykonane zostaną jakiegokolwiek kolejne eksperymenty, czy powinna ona zostać przekazana światu, albo czy należy ją zniszczyć, tak by nigdy więcej nie została ponownie użyta”.

---

Koniec pierwszej strony. Ma chwilę podnosisz wzrok, wahając się, czy odwrócić następną stronę. Już podejrzewasz, co się dzieje.

Odwracasz stronę.

„Pierwszą maszynę czasu zbudowałem tydzień temu. Moje obliczenia mówiły mi, że powinna działać, ale nie to, jak będzie działać. Oczekiwałem, że będzie wysyłać obiekty z powrotem w czasie -- działa wyłączenie do tyłu w czasie, a nie do przodu -- fizycznie niezmiennione i nietknięte.

Mój pierwszy eksperyment, ujawnił mi błąd w moim rozumowaniu. Umieściłem w maszynie metalowy sześcian -- była to miniaturowa wersja tej, z której ty wyszedłeś -- i ustawiłem maszynę, na pokonanie dziesięciu lat wstecz. Nacisnąłem przełącznik i otworzyłem drzwiczki, oczekując, że sześcian zniknął. Zamiast tego zobaczyłem, że został rozkruszony na proszek.

Włożyłem kolejny sześcian i wysłałem go tylko dwa lata wstecz. Drugi sześcian powrócił niezmienniony, poza tym, że był nowszy i bardziej błyszczący.

To dało mi szukaną odpowiedź. Spodziewałem się, że szczęściany będą po prostu wracać w czasie, i tak też było, ale nie w takim sensie, jakiego oczekiwałem. Te metalowe szczęściany zostały wyprodukowane mniej więcej trzy lata wcześniej. Pierwszy z nich wysłałem wstecz, w lata zanim jeszcze zaistniał w wytworzonej postaci. Dziesięć lat wcześniej był po prostu rudą. Maszyna przywróciła go do tego stanu.

Czy rozumiesz już, dlaczego nasze poprzednie teorie dotyczące podróży w czasie były błędne? Oczekiwaliśmy, że będzie można wejść do maszyny czasu, powiedzmy w roku 2004, ustawić ją na pięćdziesiąt lat wstecz, a następnie wyjść z niej w roku 1954... ale to nie działa w ten sposób. Maszyna nie przesuwa się w czasie. Jedynie to, co jest w środku maszyny, podlega jej oddziaływaniu, i to wyłącznie w odniesieniu do samego siebie, a nie reszty Wszechświata.

Potwierdziłem to na świnkach morskich, wysyłając taką, która miała sześć tygodni, pięć tygodni wstecz, i wróciła ona jako młode.

Nie muszę tutaj zdawać ci całego sprawozdania ze wszystkich moich eksperymentów. Znajdziesz ich zapis w biurku i możesz później przestudiować.

Normanie, czy teraz już rozumiesz, co ci się przydarzyło?"

---

Zaczynasz rozumieć. Zaczynasz również się pocić.

Ten *Ja*, który napisał czytany teraz przez ciebie list, jest *tobą*. Tobą samym w wieku siedemdziesięciu pięciu lat, w bieżącym roku 2004. Jesteś tym siedemdziesięciopięcioletnim starym człowiekiem, tylko twoje ciało

wróciło do takiego stadium jak pięćdziesiąt lat temu, z zatartymi wszystkimi wspomnieniami pięćdziesięciu lat życia.

*To ty wymyśliłeś maszynę czasu.*

I zanim użyłeś jej na sobie samym, poczyniłeś te wszystkie przygotowania, aby pomóc ci zorientować się w sytuacji. Napisałeś do siebie list, który właśnie czytasz.

Ale jeżeli te pięćdziesiąt lat zniknęło -- dla ciebie -- bez śladu, co stało się z twoimi przyjaciółmi, ze wszystkimi których kochałeś? Co się stało z twoimi rodzicami? Co z dziewczyną, z którą masz zamiar -- miałeś zamiar -- się ożenić?

Czytasz dalej:

*„Tak, będziesz chciał się dowiedzieć, co się wydarzyło w międzyczasie. Mama umarła w 1963. Tata w 1968. Ożeniłeś się z Barbarą w 1956. Z przykrością muszę ci powiedzieć, że zginęła zaledwie trzy lata później, w katastrofie samolotowej. Mieliście jednego syna. Nadal żyje. Ma na imię Walter, obecnie ma czterdzieści sześć lat i jest księgowym w Kansas City.”*

Łzy napłynęły ci do oczu i przez chwilę nie jesteś w stanie już dłużej czytać. A przecież zaledwie parę minut temu, twojego subiektywnego czasu, siedziałeś tuż koło niej, odpoczywając na patio, w jasnym słońcu Beverly Hills...

Zmuszasz się do dalszego czytania.

*„Wróćmy jednak do sprawy odkrycia. Zaczynasz rozumieć niektóre z jego konsekwencji. Będziesz jednak potrzebował czasu, żeby*

*to wszystko sobie dokładnie przemyśleć, i zrozumieć wszystkie z nich.*

*Mój wynalazek nie umożliwia podróży w czasie, tak jak zwykle rozumie się podróż w czasie, ale daje nam pewną formę nieśmiertelności. Nieśmiertelności takiego rodzaju, jaka chwilowo stała się naszym udziałem.*

*Czy to jest coś dobrego? Czy warto jest utracić wspomnienia pięćdziesięciu lat życia człowieka, w celu powrotu do swojego ciała z okresu względnej młodości? Jedyнным sposobem w jaki mogę się tego dowiedzieć, to spróbować tego, zaraz jak tylko skończę pisać ten list i dokonam innych przygotowań.*

*Będziesz znał odpowiedź na to pytanie.*

*Zanim jednak zdecydujesz, pamiętaj że istnieje pewien inny problem, dużo ważniejszy niż tylko kwestie psychologiczne. Chodzi mi o przeludnienie.*

*Jeżeli nasze odkrycie zostanie ogłoszone światu, jeżeli wszyscy ci, którzy obecnie są starzy lub umierający, będą mogli ponownie uczynić siebie młodymi, liczba ludzi zacznie się niemal podwajać z każdym pokoleniem. Świat również -- nawet nasz własny, względnie oświecony kraj -- nie będzie skłonny zaakceptować wprowadzenia przymusowej kontroli urodzeń, jako rozwiązania tego problemu.*

*Jeżeli ogłosisz je światu, światu takiemu jak obecny, w roku 2004, to w ciągu jednego pokolenia zapanują głód, cierpienia, wojna. Być może nawet kompletny upadek cywilizacji.*

*Tak, dotarliśmy do innych planet, ale nie nadają się one do kolonizacji. Odpowiedzią na nasz problem, mogą być gwiazdy, ale czeka nas jeszcze bardzo długa droga, zanim do nich dotrzemy. Kiedy tego*



*dokonamy, pewnego dnia, miliardy nadających się do życia planet, jakie muszą znajdować się w kosmosie, będą naszym rozwiązaniem... naszą przestrzenią życiową. Ale do tej chwili, co można zrobić?*

*Zniszczyć maszynę? Pomyśl jednak o niezliczonej liczbie istnień, jakie mogłaby ona uratować, o cierpieniach którym mogłaby zapobiec. Pomyśl tylko, co mogłaby ona oznaczać dla człowieka umierającego na raka. Pomyśl..."*

---

Pomyśl. Kończysz list i okładasz go.

Myślisz o Barbarze, która nie żyje już od czterdziestu pięciu lat. Oraz o fakcie, że przez trzy lata byłeś jej mężem, i że teraz te lata są dla ciebie utracone.

Pięćdziesiąt utraconych lat. Przeklinasz tego starego, siedemdziesięcioletniego człowieka, jakim się stałeś, który ci to wszystko zrobił... który zostawił ci do podjęcia tę decyzję.

Gorzko uświadamiasz sobie już, jaka musi być twoja decyzja. Myślisz, że on również to wiedział i zdawał sobie sprawę, że może bezpiecznie pozostawić tę sprawę w twoich rękach. Do diabła z nim, *powinien* to wiedzieć.

Zbyt cenne, żeby je zniszczyć, zbyt niebezpieczne, by ofiarować innym.

Kolejne odpowiedzi, stają się boleśnie oczywiste.

Musisz stać się stróżem tego wynalazku, utrzymać go w tajemnicy, dopóki ludzkość nie rozprzestrzeni się do gwiazd i nie będzie miała nowych planet do zaludnienia, albo, jeżeli nigdy się to nie stanie, dopóki nie osiągnie ona takiego stanu cywilizacji, który pozwoli na uniknięcie przeludnienia, poprzez racjonowanie urodzeń, w stosunku do liczby przypadkowych -- lub dobrowolnych -- zgonów.

Jeżeli żadna z tych rzeczy nie wydarzy się w ciągu kolejnych pięćdziesięciu lat (a czy jest to możliwe tak szybko?), wtedy ty, w wieku siedemdziesięciu pięciu lat, napiszesz kolejny list, podobny do leżącego przed tobą. Następnie będziesz musiał przejść przez kolejne doświadczenia, podobne do przeżywanych obecnie. I oczywiście, podejmiesz tę samą decyzję.

Dlaczego nie? Przecież będziesz znowu tą samą osobą.

Potem jeszcze raz, i znowu, tak by przechować tę tajemnicę, do chwili kiedy Ludzkość będzie na nią gotowa.

Ile razy będziesz musiał ponownie siadać przy biurku podobnym do tego, bijąc się z tymi samymi myślami, które chodzą ci po głowie w tej chwili, czując ten sam smutek?

Od strony drzwi doleciało kliknięcie i wiesz, że właśnie otworzył się zamek czasowy, tak więc jeśli chcesz, możesz swobodnie wyjść z pokoju, aby rozpocząć nowe życie, w miejsce tego, które przeżyłeś wcześniej i utraciłeś.

Teraz jednak nie czujesz już żadnego pragnienia, aby natychmiast wyjść przez te drzwi.

Siedzisz tylko, wpatrując się ślepych wzrokiem prosto przed siebie, widząc oczyma umysłu, dwa ustawione przodem do siebie lustra, takie jak te, wiszące w staromodnym zakładzie fryzjerskim, odbijające w kółko ten sam widok, coraz mniejszy i znikający gdzieś w oddali.

## Ręce precz

(Keep Out)

*W sytuacji, gdy na Ziemi nie zostało już ani trochę miejsca, mając wiszącego nad głowami pozbawionego istot żywych Marsa, ktoś wpadł na pomysł uruchomienia kolonii na Czerwonej Planecie. Oznaczało to konieczność zmiany przyzwyczajień i fizycznej budowy imigrantów, ale działało całkiem nieźle. Prawdę mówiąc, uwzględniono wszystkie możliwe fakty... poza jedną skazą*



*na ludzkiej naturze...*

Sekretem, który stał za tym wszystkim była daptyna. Początkowo nazywano ją adaptyną; potem zostało to skrócone do daptyny. Pozwalała ona nam na adaptację.

Wyjaśnili nam to wszystko, kiedy mieliśmy dziesięć lat. Jak myślę, wcześniej wydawało im się, że jesteśmy za młodzi, żeby to zrozumieć, chociaż

sporo wtedy już o tych sprawach wiedzieliśmy. Powiedzieli nam tuż po tym, kiedy wylądowaliśmy na Marsie.

– Jesteście w domu, dzieci – powiedział nam Główny Nauczyciel, kiedy weszliśmy do glasytowej kopuły, którą tam dla nas zbudowali. Poinformował nas również, że wieczorem odbędzie się specjalny wykład, bardzo ważny, na którym musimy wszyscy być obecni.

Tego wieczora opowiedział nam całą historię, wszystkie „dlaczego” i „z jakiego powodu”. Stał tuż przed nami. Oczywiście, musiał mieć na sobie ogrzewany skafander kosmiczny wraz z hełmem, ponieważ temperatura pod kopułą, która dla nas była całkiem przyjemna, dla niego była lodowato zimna, zaś powietrze było zbyt rzadkie, aby mógł nim oddychać. Głos nauczyciela dobiegał do nas przez radio, z wnętrza hełmu.

– Dzieci – powtórzył, – jesteście w domu. To jest Mars, planeta na której spędzicie resztę waszego życia. Jesteście Marsjanami, pierwszymi Marsjanami. Żyliście przez pięć lat na Ziemi, a następnie kolejne pięć w kosmosie. Teraz spędzicie dziesięć w tej kopule, do czasu kiedy nie dorośniecie, chociaż pod koniec tego okresu, będzie wam wolno przebywać przez coraz dłuższy czas na zewnątrz. Potem zrobicie kolejny krok, zbudujecie sobie domy, i będziecie żyć jako Marsjanie. Pożenicie się między sobą i wasze dzieci odziedziczą wasze zdolności. One również będą Marsjanami. Nadzedł czas, aby zapoznać was z historią wielkiego eksperymentu, którego każde z was jest uczestnikiem.

Potem opowiedział nam o wszystkim.

Ludzie, jak powiedział, wylądowali na Marsie w 1985 roku. Nie było na nim żadnych stworzeń inteligentnych (istnieje na nim bujne życie roślinne i kilka rodzajów bezskrzydłych owadów), i stwierdzili, że zgodnie z ziemskimi standardami, nie nadaje się on do zamieszkania. Ludzie mogli przetrwać na Marsie jedynie żyjąc pod glasytowymi kopułami i zakładając ska-

fandry kosmiczne, kiedy z nich wychodzili. Poza pojedynczymi dniami w cieplejszych porach roku, było tam dla nich zdecydowanie za zimno. Powietrze było za rzadkie do oddychania, a długotrwałe wystawianie się na światło słoneczne -- słabiej odfiltrowane ze szkodliwych składników promieniowania niż na Ziemi, z powodu mniejszej ilości powietrza -- mogło ich zabić. Rośliny były obce pod względem chemicznym, i nie mogły być jedzone przez ludzi. Całą żywność musieliby więc przywozić z Ziemi lub hodować w zbiornikach hydroponicznych.

---

Próbowali kolonizować Marsa przez pięćdziesiąt lat, i wszystkie ich wysiłki zakończyły się niepowodzeniem. Poza tą kopułą, którą zbudowali dla nas, istniała tylko jeszcze jedna placówka, inna glasytowa kopuła, dużo mniejsza, położona w odległości niecałej mili stąd.

Wyglądało, jakby ludzkość nigdy nie miała rozprzestrzenić się na pozostałe planety układu słonecznego, poza Ziemią, ponieważ Mars był najmniej niegościnnie z nich wszystkich. Jeżeli nie byli w stanie żyć tutaj, to podejmowanie próby kolonizacji innych planet, nie miało nawet sensu.

Wtedy właśnie, w 2034 roku, trzydzieści lat temu, znakomity biochemik, nazwiskiem Waymoth, odkrył daptynę. Cudowny lek, który działał nie tylko na zwierzętach czy też ludziach, którym go podano, ale również na ich potomstwie poczętym w ograniczonym czasie po jego wstrzyknięciu.

Dawało to potomkom tego rodzaju istot, niemal nieograniczone możliwości adaptacyjne, pozwalające na przystosowanie się do zmieniających się warunków, pod warunkiem, że zmiany te następować będą stopniowo.

Doktor Waymoth zaszczepił, a następnie rozmnożył parę świnek morskich. Urodziło się pięć młodych. Umieszczając każde z miotu w innych, stopniowo zmieniających się warunkach, uzyskał on zdumiewające wyniki.

Po osiągnięciu dojrzałości, jedna z tych świnek swobodnie żyła w temperaturze czterdziestu stopni Fahrenheita poniżej zera. Druga była zupełnie szczęśliwa w stu pięćdziesięciu stopniach powyżej. Trzecia doskonale się rozwijała na diecie, która stanowiłaby śmiertelną trucizną dla zwykłego zwierzęcia, zaś czwarta z zadowoleniem pławiła się w powodzi nieustannego strumienia promieniowania X, które zabiłoby każde z jej rodziców, w ciągu kilku minut.

Następne eksperymenty, z kolejnymi miotami, pokazały że zwierzęta, które zaadaptowały się do podobnych warunków, rozmnażały się dalej, a ich potomstwo już od urodzenia było przystosowane do życia w tych warunkach.

– Dziesięć lat później, czyli dziesięć lat temu – powiedział nam Główny Nauczyciel, – urodziłyście się wy, dzieci. Urodziłyście się w starannie wybranych rodzinach, a wasi rodzice zgłosili się na ochotnika do udziału w tym eksperymencie. A po urodzeniu rosłyście w starannie kontrolowanych i stopniowo zmieniających się warunkach. Od chwili waszego urodzenia, powietrze którym oddychałyście było stopniowo rozrzedzane, a zawartość tlenu zredukowana. Wasze płuca skompensowały to poprzez znaczne zwiększenie pojemności. To właśnie z tego powodu wasze klatki piersiowe są dużo większe, niż w przypadku nauczycieli i osób z obsługi. Kiedy w pełni dorośnięcie i będziecie oddychać powietrzem takim jak na Marsie, ta różnica stanie się nawet jeszcze bardziej znacząca. Wasze ciała porasta futro, pozwalające wam wytrzymać coraz silniejsze ziemno. Obecnie czujecie się zupełnie dobrze w warunkach, które szybko zabiłyby normalnego człowieka. Od czasu kiedy skończyłyście cztery lata, wasze pielęgniarki i nauczyciele, muszą nosić specjalne ubrania ochronne, aby przeżyć w warunkach, wydających się wam normalnymi.

Po chwili przerwy zaczął mówić dalej.

– Za kolejne dziesięć lat, kiedy staniecie się dorośli, będziecie w pełni zaaklimatyzowane na Marsie. Powietrze jakie tutaj macie, będzie waszym powietrzem, rośliny na nim rosnące staną się waszym pożywieniem. Ekstremalne wartości temperatur na tej planecie, będą dla was łatwe do zniesienia, a jej średnie temperatury odczuwać będziecie jako przyjemne. Już obecnie, na skutek pięciu lat spędzonych w kosmosie, przy stopniowo zmniejszonym przyciąganiu grawitacyjnym, siła ciężkości na Marsie wydaje się wam zupełnie normalna.

Rozłożył ręce.

– To będzie wasza planeta, na której będziecie żyć i którą zaludnicie. Jesteście dziećmi Ziemi, ale jesteście również pierwszymi Marsjanami.

Oczywiście o wielu z tych rzeczy, wiedzieliśmy już wcześniej.

---

Ubiegły rok był najlepszy. Do tego czasu ciśnienie powietrza w kopule – poza częściami utrzymywanymi pod wysokim ciśnieniem, w których mieszkali nasi nauczyciele i obsługa -- było już niemal takie jak na zewnątrz, i pozwolono nam zostawać tam na coraz dłuższe okresy czasu. Przyjemnie przebywać na otwartej przestrzeni.

W czasie ostatnich kilku miesięcy złagodzili segregację płci, tak że mogliśmy zacząć wybierać sobie partnerki i partnerów, chociaż oznajmili nam że nie wolno zawierać żadnych małżeństw, aż do ostatniego dnia, kiedy uzyskamy pełną swobodę. W moim przypadku, wybór nie był trudny. Dokonałem go już dawno temu i byłem pewien, że ona czuje to samo. Miałem rację.

Jutro nadejdzie dzień naszej wolności. Od jutra staniemy się Marsjanami, Marsjanami przez duże M. Jutro przejmemy władzę nad planetą.

Niektórzy spośród nas są niecierpliwi, szczególnie widać było to w okresie kilku ostatnich tygodni. Ale rozsądniejsza opinia przeważyła, i poczekamy. Czekaliśmy dwadzieścia lat, możemy więc poczekać do ostatniego dnia.

A właśnie jutro jest ten ostatni dzień.

Jutro, zanim stąd odejdziemy, na dany sygnał zabijemy naszych nauczycieli i innych Ziemian znajdujących się między nami. Oni niczego nie podejrzewają, tak więc będzie to łatwe.

Udawaliśmy od wielu lat, tak że oni w ogóle nie zdają sobie sprawy, z tego jak ich nienawidzimy. Nie wiedzą, za jak wstrętnych i obrzydliwych ich uważamy, z tymi ich brzydkimi, pokracznymi ciałami, o szczupłych ramionach i skarłałych klatkach piersiowych. Ich słabe syczące głosy potrzebują wzmocnienia, by mogły rozchodzić się w naszym marsjańskim powietrzu. A przede wszystkim ta ich biała, ciastowata, pozbawiona włosów skóra...

Zabijemy ich wszystkich, a potem pójdziemy i zniszczymy drugą kopułę, tak by wszyscy Ziemianie stamtąd również zginęli.

Jeżeli przybędą tutaj kolejni Ziemianie, aby nas ukarać, będziemy mogli żyć i ukrywać się na wzgórzach, gdzie nigdy nas nie znajdą. A jeżeli spróbują zbudować kolejne kopuły, je również zniszczymy. Nie chcemy mieć więcej do czynienia z Ziemią.

To jest nasza planeta i nie chcemy na niej żadnych obcych. Ręce precz!



## WREDNY

Nasty

Walter Beauregard był spełnionym, entuzjastycznym rozpustnikiem przez prawie półwiecze. Teraz, w wieku sześćdziesięciu pięciu lat, stanął przed groźbą utraty kwalifikacji zapewniających mu miejsce w lidze lubieżników. Stanął przed groźbą? Nazwijmy rzecz po imieniu: on te kwalifikacje utracił. Od trzech lat peregrynował od lekarza do lekarza, od znachora do znachora, próbował jednego panaceum po drugim. Bez skutku.

W końcu przypomniał sobie książki o magii i nekromancji. Takie książki z upodobaniem czytywał i kolekcjonował, jako część swoich obszernych zbiorów bibliotecznych, ale nigdy nie traktował ich poważnie. Aż do tej chwili. Cóż miał do stracenia?

W lekko zbutwiałym, zalatującym siłą nieczystą, ale bardzo cennym białym krukem znalazł to, czego potrzebował. Zgodnie z instrukcją narysował pentagram, przerysował kabalistyczne znaki, zapalił świecę i na głos odczytał zaklęcie.

Błysnęło, zadymiło i pojawił się demon. Nie będę go opisywać, poprzestanę jedynie na zapewnieniu, że by się wam nie spodobał.

- Jak się nazywasz? - zapytał Beauregard. Starał się mówić spokojnie, ale głos mu lekko drżał.

Demon wydał dźwięk pomiędzy świstem a krzykiem grozy, z domieszką nuty, jaką można by wydobyć z basetli za pomocą piły.

- I tak nie będziesz w stanie tego wymówić - dodał. - Na twój bezbarwny język tłumaczy się jako „Wredny”. Zwracaj się do mnie w ten sposób. Chcesz tego co wszyscy, jak przypuszczam?

- To znaczy?

- Spełnienia życzenia, oczywiście. Mogę to załatwić. Ale nie trzech, gadki o trzech życzeniach to zwykle przesady. Jedno to wszystko, co możesz dostać. I nie będziesz zachwycony.

- Jedno życzenie mi wystarczy, niczego więcej nie pragnę. I nie rozumiem, jak mógłbym nie być zachwycony.

- To zrozumiesz. Dobra, twoje życzenie. A tu jest na nie odpowiedź. - Wredny sięgnął w próżnię, jego dłoń znikła, a po chwili pojawiła się znowu, trzymając parę połyskujących srebrzyście kąpielówek. Demon podał je Beaugardowi. - Noś je na zdrowie - powiedział.

- Co to takiego?

- Nie widać? Kąpielówki. Ale nie są to zwyczajne kąpielówki. Materiał pochodzi z przyszłości, odległej od dzisiejszego dnia o kilka tysięcy lat. Jest niezniszczalny, te spodenki nigdy się nie przetną, nie podrażnią, nie przedziurawią. Dobra robota. Ale zaklęcie na tych kąpielówkach jest stare jak świat. Przymierz i przekonaj się sam.

Demon znikł.

Walter Beaugard rozebrał się szybko i włożył piękne srebrne kąpielówki.

Natychmiast poczuł się wspaniale. Męskość przeniknęła go na wskroś. Czuł się, jakby znów był młody, dopiero na progu swojej kariery uwodził ją.

Co prędzej narzucił szlafrok i wsunął stopy w pantofle. (Czy wspominałem już, że był bogatym człowiekiem, a jego apartament znajdował się na

najwyższym piętrze najelegantszego hotelu w Adantic City? No więc tak było). Beauregard zjechał na dół swoją prywatną windą i wyszedł nad luksusowy hotelowy basen. Jak zwykle zabójcze ślicznotki w bikini prezentowały tu swoje wdzięki pod pretekstem opalania, a w rzeczywistości czekały na propozycje ze strony bogatych mężczyzn takich jak on.

Beauregard zastanawiał się przez chwilę nad wyborem. Ale niezbyt długą chwilę.

Dwie godziny później, wciąż ubrany we wspaniałe, czarodziejskie kąpielówki, siedział na brzegu swojego łóżka i wpatrywał się, wzdychając, w piękną blondynkę wyciągniętą obok niego. Dziewczyna nie miała na sobie bikini i spała w najlepsze.

Wredny miał całkowitą rację. I bardzo dobrze dobrane imię. Czarodziejskie kąpielówki, niezniszczalne i nie do zdarcia, działały bezbłędnie. Ale kiedy Beauregard je zdjął, czy choćby tylko zsunął...

przełożyła Małgorzata Dobrowolska

## Przedstawienie kukielkowe

Puppet Show

Strach zjawił się w Cherrybell w samo południe pewnego potwornie upalnego sierpniowego dnia.

Ta ostatnia informacja jest zresztą zbyteczna — w Cherrybell (stan Arizona) wszystkie sierpniowe dni są potworni a upalne. Miejscowość ta znajduje się przy autostradzie nr 89 około 40 mil na południe od Tucson i około 30 mil na północ od granicy meksykańskiej. Składa się ona z dwóch stacji benzynowych (po jednej z każdej strony autostrady, tak aby złapać auto idące w obu kierunkach), sklepu, jedyne go baru z wyszynkiem, sklepiku z pamiątkami dla turystów, którzy nie mogą się doczekać granicy i już tutaj gotowi są zacząć kupować ludowe wyroby meksykańskie, nieczynnego kiosku oraz kilku domów z wypalanej na słońcu cegły, zamieszkałych przez Meksykańczyków, którzy pracując w pogranicznym miasteczku Nogales, Bóg jedyny wie dlaczego wolą mieszkać tutaj w Cherrybell i dojeżdżać do pracy swoimi przedpotopowymi Fordami. Napis przy autostradzie głosi CHERRYBELL ludn. 42, jest to jednak lekka przesada, gdyż w zeszłym roku umarł właściciel bezpieczeństwa obecnie kiosku i prawidłowa liczba mieszkańców wynosi 41.

Strach przybył do Cherrybell wierzchem na osiołku, którego prowadził stary, brudny i zarośnięty wyga pustynny, poszukiwacz złota. Sam strach miał chyba blisko trzy metry wzrostu i był tak chudy, że ważył chyba niewiele ponad pięćdziesiąt kilo. Osiołek dźwigał go bez trudu, mimo że nogi jeźdźca wlokły się po piasku. Dziwne, że nie pozostawiło to żadnego widocznego śladu na butach niesamowitego przybysza, które nawiasem mówiąc, stanowiły jego jedyny strój, jeśli nie liczyć czegoś w rodzaju kąpielówek koloru chabrowego. Jednak to nie jego wymiary napawały strachem i odrazą, lecz jego skóra. Była czerwona jak surowe mięso. Wyglądał, jakby

go ktoś żywcem obdarł ze skóry i następnie założył mu tę skórę na lewą stronę. Jego głowa i twarz były równie wąskie i wydłużone jak reszta ciała. Poza tym wyglądał jak człowiek, a w każdym razie istota człekopodobna. Jeśli oczywiście nie liczyć takich drobnych szczegółów, jak to, że włosy i oczy miały ten sam chabrowy odcień co kąpielówki i buty. Cały był krwawo-czerwony i jasnobłękitny.

Pierwszy zobaczył ich Casey, właściciel baru. Wyszedł właśnie na chwilę, aby zaczerpnąć świeżego, choć gorącego powietrza. Byli wówczas w odległości mniej więcej stu metrów, zbliżając się od strony łańcucha wzgórz. Od razu rzuciła mu się w oczy wyraźna obcość postaci na osiołku. Początkowo była to tylko obcość, strach zjawiał się, kiedy podjechali bliżej. Casey otworzył usta ze zdumienia i stał tak przez dłuższą chwilę, wpatrując się w dziwną trójkę, a następnie powoli ruszył im naprzeciw. Są ludzie, którzy na widok nieznanego rzucają się do ucieczki, inni wychodzą mu na spotkanie. Casey, chociaż powoli, ruszył jednak do przodu.

Spotkanie nastąpiło na otwartej przestrzeni, w odległości około dwudziestu metrów do baru. Poszukiwacz zatrzymał się i wypuścił z ręki sznur, na którym prowadził osła. Osioł stanął w miejscu i opuścił głowę. Głodomór nie musiał zsiadać z osiołka, stanął po prostu nad nim okrakiem. Następnie przeniósł jedną nogę ponad osiołkiem, stał przez chwilę opierając się o jego grzbiet i osunął się na piasek.

— Duża grawitacja — powiedział — trudno ustać.

— Dostanę wody dla osła? — spytał poszukiwacz. — Musi być cholernie spragniony. Zostawiłem worki z wodą i trochę innych rzeczy, żeby móc zabrać toto — i wskazał kciukiem na czerwono-błękitnego stracha.

Casey właśnie zaczął zdawać sobie sprawę ze swego strachu. Z daleka dziwne połączenie kolorów wywoływało tylko łagodne obrzydzenie. Z bliska jednak skóra była chropowata, z żyłami na powierzchni i sprawiała

wrażenie wilgotnej (choć nie była) i niech to diabli, jeśli przybysz nie wyglądał, jakby z niego ściągnięto skórę i założono na lewą stronę. Albo jakby tylko ściągnięto skórę i na tym poprzestano. Casey nigdy w życiu nie widział czegoś takiego i miał nadzieję, że nigdy więcej nie będzie musiał oglądać.

Nagle Casey coś poczuł, czy usłyszał i obejrzał się za siebie. Poza jego plecami zaczęli się zbierać gapie, ale najbliżsi z nich — dwaj mali chłopcy — utrzymywali odległość dziesięciu metrów.

— Muchachos — zawołał Casey. — Agua por el burro. Un pozal. Pronto. — I zwrócił się w stronę przybyszów z pytającym spojrzeniem.

— Jestem Dade Grant — powiedział poszukiwacz wyciągając na powitanie rękę, którą oszołomiony Casey uścisnął. Następnie wskazał kciukiem na to, co siedziało na ziemi poza jego plecami.

— On mówi, że nazywa się Garvane. Jest cudzoziemcem i podobno jakimś tam ministrem.

Casey skinął głową głodomorowi i był zadowolony, że ten odpowiedział podobnie, nie wyciągając ręki do powitania.

— Nazywam się Manuel Casey — przedstawił się. — On mówi, że pan jest cudzoziemcem...

— Jestem niezemcem. Jestem także ministrem pełnomocnym i nadzwyczajnym — odezwał się głodomór głosem niespodziewanie głębokim i wi-brującym.

Na szczęście Casey był stosunkowo nieźle odczytanym człowiekiem i on jeden w całym Cherrybell mógł zrozumieć, z kim ma do czynienia. Wygląd przybysza sprawiał, że nie wątpiło się w prawdziwość jego słów.

— Czym mogę panu służyć? — spytał Casey. — Czy nie zechciałby pan schronić się w cieniu?

— Nie, dziękuję. Jest tutaj wprawdzie nieco chłodniej, niż się spodziewa-łem, lecz to mi nie przeszkadza. Taka pogoda odpowiada porze wiosennych

chłodów na mojej planecie. Zaś co do moich życzeń, to pragnąłbym, aby powiadomił pan władze o moim przybyciu. Sądzę, że je to zainteresuje.

„Szczęśliwym zbiegiem okoliczności jestem najbardziej do tego odpowiednim człowiekiem w promieniu co najmniej dwudziestu mil” — pomyślał Casey.

Przyrodni brat Manuela Caseya był pułkownikiem lotnictwa w bazie lotniczej w Tucson.

— Natychmiast zatelefonuję, gdzie trzeba — powiedział Casey. — A może pan, panie Grant, zechce wejść do domu.

— Mnie słońce nie przeszkadza. Przyzwyczyłem się. A ten facet prosił mnie, żebym się go trzymał, aż załatwi swoje sprawy. Obiecał, że da mi za to coś wartościowego.

— Elektronowy bateryjny wykrywacz rudy — wyjaśnił Garyane. — Prosty przyrząd wskazujący obecność rud różnych metali w promieniu dwóch mil, z zaznaczeniem stopnia koncentracji i głębokości zalegania.

Casey głośno przełknął ślinę z wrażenia, grzecznie przeprosił i przepchnął się przez krąg gapiów w stronę tawerny. Połączenie z pułkownikiem Caseyem uzyskał w ciągu niespełna minuty, nieco więcej czasu wymagało przekonanie go, że to nie żart ani pijacki wybryk.

W dwadzieścia pięć minut później rozległ się nad głowami narastający warkot i wkrótce czteromiejscowy helikopter wylądował w odległości dwudziestu metrów od przybysza, jego przewodnika i osiołka. Casey nadal był jedynym, który odważył się podejść do gości z pustyni — pozostali mieszkańcy Cherrybell gapili się z bezpiecznej odległości.

Pułkownik Casey, towarzyszący mu major i porucznik pilotujący helikopter podbiegli do centralnej grupy. Chudzielec na powitanie powstał. Widać było, że pokonanie ziemskiej siły przyciągania przychodzi mu z największym trudem. Następnie skłonił się i ponownie przedstawił się jako

minister pełnomocny i nadzwyczajny. Po tej ceremonii przeprosił, wyjaśnił, dlaczego nie może stać, i usiadł z powrotem.

Teraz z kolei pułkownik przedstawił siebie i swoich towarzyszy.

Chudzielec odpowiedział grymasem, który miał zapewne imitować uśmiech. Zęby miał równie jasnoniebieskie jak włosy i oczy.

— Wy, Ziemianie, macie takie powiedzenie: „Chcę rozmawiać z szefem”. Ja nie proszę, żebyście zaprowadzili mnie do swego szefa. Prawdę mówiąc nie mogę się stąd oddalać. Nie żądam również, żeby wasi przywódcy przybyli do mnie, gdyż byłoby to sprzeczne z etykietą. Zgadzam się, aby panowie reprezentowali swoją władzę i odbyli ze mną wstępne rozmowy. Mam tylko jedną prośbę.

Proszę, aby wszystko to, co powiem, zostało nagrane. Chcę mieć pewność, że to, co powiem, zostanie w sposób dokładny i pełny przekazane waszym przywódcom.

— Rozumiem — powiedział pułkownik i zwrócił się do pilota: Przekażcie do bazy moje polecenie, aby natychmiast dostarczyli nam tutaj magnetofon. Mogą go nam zrzucić na spado... Nie, pakowanie zajmie zbyt dużo czasu. Niech wyślą drugi śmigłowiec.

Porucznik ruszył biegiem w stronę helikoptera. Reszta siedziała przez chwilę pocąc się w milczeniu, które przerwał Casey:

— Mamy co najmniej pół godziny czasu i jeśli musimy siedzieć w słońcu, to może przyniosę z lodówki piwo. Dla pana również, panie Garyane?

— Przyznam się, że jest mi trochę chłodno. Może ma pan coś ciepłego?

— Zrobię kawę. Może przynieść panu coś do okrycia?

— Nie, dziękuję. To nie jest konieczne.

Casey odszedł i po chwili wrócił z tacą, na której stało kilka butelek piwa i filiżanka gorącej kawy. Postawił tacę na ziemi i najpierw padał filiżankę przybyszowi, który posmakował kawę i stwierdził, że jest znakomita.



Pułkownik Casey odchrząknął:

— Obsłuż teraz naszego przyjaciela — poszukiwacza złota. A co do nas — no cóż, wprawdzie nie wolno nam pić piwa na służbie, ale w Tucson było czterdzieści stopni w cieniu, a tu jest jeszcze więcej i na dodatek wcale nie w cieniu. Panowie, możecie uważać, że udzieliłem wam urlopu na czas potrzebny do wypicia jednej butelki piwa.

Piwo zostało wypite i prawie w tej samej chwili pojawił się helikopter. Casey spytał niezemskiego gościa, czy chce jeszcze kawy i spotkał się z grzeczną odmową. Następnie wymienił porozumiewawcze spojrzenie z poszukiwaczem i pobiegł po dalsze dwa piwa dla cywilnych uczestników konferencji.

Kiedy wrócił, załoga drugiego helikoptera dołączyła już do pierwszej grupy. Oprócz pilota był tam sierżant obsługujący magnetofon, podpułkownik i podoficer z intendentury, który był ciekaw, dlaczego trzeba było tak pilnie dostarczyć magnetofon do Cherrybell w Arizonie.

— Panowie — powiedział półgłosem pułkownik i wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę — proszę zająć miejsca wkoło mikrofonu. Sierżancie, czy będzie nas wszystkich słyszał?

— Tak jest, panie pułkowniku. Zaraz będę gotów do nagrywania.

Dziesięciu ludzi i jeden niezemieć usiedli wokół mikrofonu zawieszono na niskim trójnogu. Ludzie pocili się obficie, niezemieć drżał lekko z zimna. Na zewnątrz tego kręgu stał zapomniany osiołek z nisko zwieszoną głową. Nieco dalej, w odległości kilku metrów, tłoczyła się cała ludność Cherrybell: domy, sklep i stacja benzynowa wyludniły się.

Sierżant nacisnął klawisz i taśma zaczęła się przesuwac.

Po sprawdzeniu działania magnetofonu sierżant zameldował, że może przystąpić do nagrywania.

Pułkownik spojrział na gościa, który skinął głową, kiwnął więc na sierżanta. Sierżant uruchomił magnetofon.

— Nazywam się Garyane — zaczął nieziemiec wolno i wyraźnie. — Pochodzę z układu gwiazdowego, nie figurującego w waszych katalogach. Znajduje się on w odległości czterech tysięcy lat świetlnych, w kierunku środka galaktyki.

Nie przybywam tu jednak jako reprezentant swojej planety, lecz jako minister pełnomocny Związku Galaktycznego, federacji wysoce rozwiniętych cywilizacji galaktyki. Misja moja polega na tym, aby przekonać się tu na miejscu, czy Ziemia może stać się nowym członkiem naszego Związku.

Teraz, panowie, oczekuję pytań z waszej strony, zastrzegam sobie jednak prawo wstrzymania się od odpowiedzi na niektóre z nich, do czasu podjęcia ostatecznej decyzji. W przypadku decyzji przychylniej odpowiem na wszystkie pytania. Czy to panów zadowala?

— W zupełności — odpowiedział pułkownik. — Czy można wiedzieć, w jaki sposób przybył pan do nas? Czy przywiózł pana statek kosmiczny?

— Tak jest. Znajduje się on nad nami, na wysokości dwudziestu dwóch tysięcy mil. Jego szybkość równa jest szybkości obrotu Ziemi, tak więc utrzymuje się ona nad tym samym punktem powierzchni Ziemi. Znajduje się pod stałą obserwacją z pokładu statku i dlatego właśnie wolałem pozostać na otwartej przestrzeni. Na mój sygnał statek wylądował, aby mnie zabrać.

— Skąd zna pan tak dobrze nasz język? Czy posługuje się pan telepatią?

— Nie. I mogę powiedzieć, że w całej galaktyce nie ma rasy zdolnej do nawiązania telepatycznego kontaktu z przedstawicielami innej rasy. Nauczyłem się waszego języka przed przylotem tutaj. Nasi obserwatorzy żyli wśród was od wielu stuleci. Mówiąc nasi — mam na myśli Związek Galaktyczny. Oczywistym jest, że ja nie mógłbym żyć wśród was bez zwracania

uwagi, ale przedstawiciele niektórych innych ras mogą. Muszę z całą stanowczością podkreślić, że nie są oni agentami ani szpiegami — są tylko obserwatorami, którym nie wolno ingerować w wasze sprawy.

— Jakie korzyści da nam ewentualne przyłączenie się do waszego związku?

— Po pierwsze, przejście krótki kurs podstawowych nauk, co położy kres waszym skłonnościom do walki między sobą i pozwoli wam zapanować nad odruchami agresywnymi. Następnie zapoznamy was z nauką o lotach kosmicznych i z wieloma innymi rzeczami, w tempie uzależnionym wyłącznie od waszej zdolności do uczenia się.

— Brzmi to niemal zbyt pięknie, aby mogło być prawdziwe. Powiedział pan, że ma pan tu, na miejscu, zdecydować, czy zostaniemy zaproszeni do udziału w Związku Galaktycznym. Czy można wiedzieć, od jakich czynników uzależnia pan swoją decyzję?

— Jednym z czynników jest — a raczej był, ponieważ już go zbadałem — stopień ksenofobii u Ziemiaków. Słowo to oznacza u was obawę przed cudzoziemcami. My używamy słowa, które nie ma ścisłego odpowiednika w waszym języku: oznacza ono obawę i obrzydzenie w stosunku do istot z innych planet. Do nawiązania pierwszego kontaktu z wami zostałem wybrany ja, jako przedstawiciel rasy człekopodobnej i dlatego zapewne bardziej dla was odpychającej niż przedstawiciel rasy całkowicie odmiennej. Wydają się wam okropny, ponieważ widzicie we mnie jakby karykaturę człowieka.

Zapewne uważacie, że mój widok budzi w was obrzydzenie, ale zapewniam was, że ten egzamin zdaliście pomyślnie. Są w naszej galaktyce rasy, które niezależnie od stopnia swego rozwoju nigdy nie będą mogły zostać członkami naszego Związku, ponieważ ich ksenofobia jest nieuleczalna i ujawnia się w sposób gwałtowny. Nie są oni w stanie znieść widoku ani obecności przedstawiciela innego gatunku istot rozumnych — uciekają w

przerażeniu albo rzucają się na niego, aby zabić. Z obserwacji was i tych ludzi — tu wskazał swoją długą ręką w stronę mieszkańców Cherrybell — wiem, że czujecie na mój widok obrzydzenie, lecz wiercie mi, że jest ono stosunkowo łagodne i łatwo uleczalne. Ten egzamin zdaliście na celująco.

— Czy są jakieś inne egzaminy?

— Jest jeszcze jeden. Myślę jednak, że nadszedł już czas, aby... — i nie kończąc zdania chudzielec przewrócił się na plecy i zamknął oczy.

Pułkownik zerwał się na równe nogi, podszedł do leżącego jak długi nieziemca, przyklęknął i przytknął ucho do jego krwawej piersi.

Kiedy podnosił głowę, Dade Grant, stary poszukiwacz złota, roześmiał się.

— Serce nie bije, panie pułkowniku, gdyż on nie ma serca. Mogę go wam zostawić na pamiątkę i zapewniam was, że znajdziecie w jego wnętrzu dużo ciekawych rzeczy. Tak jest, panowie, to była tylko kukła, która spełniła swoją rolę i została wyłączona. Może pan wrócić na swoje miejsce, pułkowniku.

— Ale po co to wszystko? — spytał osłupiały pułkownik, siadając z powrotem.

Dade Grant zdierał właśnie brodę i wąsy. Potem przetarł twarz chustką usuwając resztę charakterystyki, spod której ukazał się przystojny młody człowiek.

— To co on powiedział, czy też raczej to, co ja wam powiedziałem przez niego, jest prawdą. Jest on tylko kukłą, lecz jest to dokładna kopia przedstawiciela jednej z rozumnych ras naszej galaktyki. Nasi psychologowie uznali, że ta właśnie rasa, jako wywołująca największe obrzydzenie, będzie najlepszym sprawdzianem waszej ksenofobii. Nie mogliśmy zabrać ze sobą autentycznego reprezentanta tej rasy, ponieważ oni z kolei cierpią na agorafobię, czyli lęk przestrzeni. Mają oni wysoce rozwiniętą cywilizację i są

cenionymi członkami Związku — nigdy jednak nie opuszczają swojej ojczy-  
stej planety.

Nasi obserwatorzy zapewniają nas, że Ziemianie nie mają lęku prze-  
strzeni — nie byli natomiast w stanie ocenić stopnia waszej ksenofobii, a  
najlepszym sprawdzianem jest zawsze bezpośredni kontakt.

Pułkownik westchnął z wyraźną ulgą.

— Muszę przyznać, że od razu poczułem się lepiej. Oczywiście będziemy  
musieli znieść obecność przedstawicieli innych ras człekopodobnych, kiedy  
zajdzie tego potrzeba. Odczułem jednak ulgę, dowiadując się, że panującą  
rasą w galaktyce są jednak ludzie. Na czym polega następny egzamin?

— Właśnie teraz go zdajecie. Możecie mnie uważać za drugą kukiełkę.  
Myślę, że nadszedł już czas...

Rzekomy poszukiwacz złota przewrócił się na piasek i zamknął oczy, tak  
jak poprzednio kolorowy głodomór.

Osiółek uniósł głowę i wsunął ją w krąg siedzących ludzi.

— Na tym kończy się przedstawienie kukiełkowe, pułkowniku — po-  
wiedział. — A teraz może zechce mi pan bliżej wyjaśnić, dlaczego cieszył się  
pan, że rasą panującą są ludzie i co to w ogóle znaczy „rasa panująca”.

*Przełożył Lech Jęczmyk*

## Mąż opatrzościowy

### Man of Distinction

Był sobie raz niejaki Hanley, Al Hanley, i na pewno nigdy nie przysłoby wam do głowy, że może to być jakaś ważna figura. I gdybyście nawet znali całą historię jego życia, aż do dnia wizyty Darian, to i tak nigdy nie domyślibyście się, jak bardzo będziecie mu kiedyś wdzięczni. A za co, przekonacie się po przeczytaniu tej opowieści.

Wówczas kiedy się to zdarzyło, Hanley był pijany. Nie był to bynajmniej przypadek — był pijany już od dawna i jego ambicją było utrzymać się w tym stanie jak najdłużej. Niestety, stawało się to ostatnio zadaniem coraz trudniejszym: najpierw skończyły się pieniądze, a wkrótce również i przyjaciele, których mógłby naciągać na pożyczki. Jego znajomości były coraz podrzędniejsze i doszedł do tego, że uważał się za szczęśliwca, jeśli udało mu się ustrzelić kogoś na dwa dolary.

W końcu stoczył się tak nisko, że musiał wałęsać się godzinami, aby spotkać jakiegoś znajomka, którego mógłby naciągnąć na dolara czy 25 centów. Długa wędrówka niszczyła efekt ostatniego kieliszka — no, może niezupełnie, ale w znacznym stopniu — tak, że znajdował się w sytuacji Alicji z Krainy Czarów, która musiała biec z całej siły, żeby pozostawać w tym samym miejscu.

Zaczepianie nieznanym odpadło, gdyż policjanci mieli na to oko, i gdyby tylko spróbował, skończyłoby się na nocy spędzonej o suchym gardle w komisariacie, co mu się wcale nie uśmiechało. Był teraz w takim stanie, że dwanaście godzin bez alkoholu przyprawiało go o piekielne męki, w porównaniu z którymi *delirium tremens* było dziecinną igraszką.

D.T. to ostatecznie tylko halucynacje. Jeśli jesteś sprytny, to wiesz, że to tylko przywidzenia. Czasem mogą one nawet spełniać rolę towarzystwa, jeśli komuś na tym zależy. Ale piekielne męki to zupełnie inna sprawa. Trzeba wypić więcej alkoholu, niż wam się wydaje, żeby dojść do tego stadium. Najgorzej, gdy człowiek, który już zapomniał, kiedy był trzeźwy, zostaje nagle całkowicie pozbawiony alkoholu na dłuższy okres. Na przykład w areszcie.

Sama myśl o tych mękach przyprawia Hanleya o drżenie, które zresztą wkrótce przeszło na widok jego starego przyjaciela, serdecznego druha, którego co prawda widział najwyżej kilka razy w życiu, i to w niezbyt miłych okolicznościach. Stary przyjaciel nazwiskiem Kid Eggleston był emerytowanym bokserem i ostatnio pracował jako wykidajło w barze, przez co siłą rzeczy zetknął się z Hanleyem.

Nie starajcie się jednak zapamiętać jego nazwiska ani jego historii, ponieważ i tak nie odgrywa on większej roli w tej opowieści. Prawdę mówiąc dokładnie za półtorej minuty wyda okrzyk przerażenia, a później zemdleje i nie będziemy już więcej o nim słyszeć.

Mimoходом warto jednak zauważyć, że gdyby Kid Eggleston nie krzyknął i nie zemdlał, wasz tryb życia mógłby ulec pewnej zamianie. Moglibyście na przykład pocić się w kopalni odkrywkowej glutyty, pod palącymi promieniami zielonego słońca gdzieś na krańcach naszej Galaktyki. Na pewno by wam to nie przypadło do gustu — więc pamiętajcie, że to Hanley uratował was (i wciąż jeszcze ratuje) przed tą ewentualnością. Nie sądzicie

go zbyt surowo. Gdyby Trójka i Dziewiątka zabrali Kida, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Trójka i Dziewiątka byli przybyszami z planety Dar, która jest jedną z dwu planet wyżej wspomnianego zielonego słońca na krańcu Galaktyki. Trójka i Dziewiątka to nie były oczywiście ich pełne nazwiska. Darianie zamiast nazwisk używają numerów i pełne nazwisko Trójki brzmiało 389,057,792,869,223, a w każdym razie tak by wyglądało w transkrypcji na system dziesiętny.

Mam nadzieję, że wybaczycie mi, iż będę w dalszym ciągu nazywał przybyszów w skrócie Trójką i Dziewiątką i że oni również będą się tak do siebie zwracali. Oni by mi tego nie wybaczyli. Darianie zawsze zwracają się do siebie pełną liczbą i każdy skrót jest uważany za obrazę. Jednak Darianie żyją znacznie dłużej niż my i w przeciwieństwie do mnie mają na to czas.

W chwili gdy Hanley dopadł Kida, Trójka i Dziewiątka byli jeszcze w odległości około mili ponad nimi. Nie znajdowali się bynajmniej w samolocie ani nawet na statku kosmicznym (ani tym bardziej w latającym talerzu. Jasne, że wiem, co to jest latający talerz, ale spytajcie mnie o to innym razem. Teraz chcę trzymać się Darian). Byli po prostu w sześcianie czasoprzestrzennym.

Zdaje się, że będę musiał to wyjaśnić. Darianie odkryli — do czego i my któregoś dnia zapewne dojdziemy — że Einstein miał rację. Materia nie może poruszać się z prędkością większą od prędkości światła nie przekształcając się w energię. Zapewne nie zależy wam na tym, żeby przekształcić się w energię, prawda? Darianom również nie zależało, kiedy rozpoczęli wyprawy w głąb Galaktyki. Odkryli oni, że można podróżować z prędkością większą od prędkości światła, jeśli poruszać się jednocześnie w czasie i przestrzeni, czyli w czasoprzestrzeni. Odległość, jaką musieli przebyć z Daru do Ziemi, wynosiła 163 tysiące lat świetlnych.



Ale ponieważ jednocześnie odbyli podróż w czasie na 1630 stuleci wstecz, więc czas ich podróży wyniósł 0 godzin 0 minut. W drodze powrotnej zrobili to samo i wrócili (w momencie swojego startu) do punktu wyjściowego w czasoprzestrzeni. Myślę, że to jest zrozumiałe.

W każdym razie ich niewidzialny dla ziemskich oczu sześcian znajdował się na wysokości mili nad Filadelfią i błagam, nie pytajcie minie, dlaczego oni wybrali akurat Filadelfię — nie rozumiem, jak w ogóle można wybrać Filadelfię do jakiegokolwiek celu. Wisieli tam nieruchomo przez cztery dni. W tym czasie Trójka i Dziewiątka słuchali audycji radiowych i nauczyli się posługiwać miejscowym językiem.

Nie, oczywiście nie dowiedzieli się niczego istotnego o naszej cywilizacji ani o naszych obyczajach. Wyobraźcie sobie, że macie wyrobić sobie pogląd na życie mieszkańców Ziemi, słuchając mieszanki złożonej z radioreklamy, westernu i quizu. Zresztą nie interesowało ich specjalnie, jaka jest ta nasza cywilizacja, byle tylko nie była na tyle rozwinięta, aby im zagrozić — pod tym względem uspokoili się zupełnie w ciągu swojej czterodniowej obserwacji. Nie można mieć do nich o to pretensji — zresztą mieli rację.

— Schodzimy? — spytał Trójka Dziewiątki.

— Tak — odpowiedział Dziewiątka. Trójka zwinął się wokół tablicy kontrolnej.

— ...jasne. Widziałem, jak walczyłeś — mówił Hanley. — Byłeś naprawdę dobry, Kid. Miałeś dryg do walki. Może byśmy wypili po jednym tu na rogu?

— A kto stawia?

— Właśnie dzisiaj jestem bez grosza. Ale potrzebny mi jest kieliszek. Za dawne czasy, Kid...

— Potrzebny ci jest kieliszek jak mnie dziura w głowie. Jesteś pijany i lepiej, żebyś wytrzeźwiał, zanim, cię złapie *delirium tremens*.

— Już mnie złapało. I nic sobie z tego nie robię. Spójrz, są za twoimi plecami.

Wbrew logice Kid Eggleston obejrzał się. Wtedy właśnie krzyknął i zemdlał. Trójka i Dziewiątka zblizali się. Za nimi widoczny był mglisty zarys wielkiego sześcianu. Ta jego dziwna, nierealna obecność mogła trochę przstraszyć. Pewnie dlatego Kid zemdlał.

Bo Trójka i Dziewiątka nie mieli w sobie nic przerażającego. Przypominali dżdżownice długości około 15 stóp (w stanie rozciągniętym) i o średnicy około stopy w środku. Byli przyjemnego jasnobłękitnego koloru i nie mieli żadnych widocznych organów zmysłu, tak że nie można było odgadnąć, który koniec jest który — co zresztą nie miało większego znaczenia, bo oba końce były i tak identyczne.

I chociaż teraz zblizali się do Hanleya i nieprzytomnego Kida, nie można było powiedzieć, gdzie jest przód, a gdzie tył, gdyż poruszali się w normalnej, to jest zwiniętej pozycji.

— Cześć, chłopcy — powiedział Hanley. — Przestraszyliście mojego przyjaciela, niech was cholera. A on miał mi postawić wódkę. Z tego wynika, że jesteście mi winni kolejkę.

— Reakcja nielogiczna — powiedział Trójka do Dziewiątki. — Podobnie zresztą jak u tamtego osobnika. Weźmiemy obu?

— Nie. Tamten drugi, chociaż większy, musi być słabowity. Zresztą jeden okaz wystarczy. Chodźmy.

Hanley cofnął się o krok.

— Jeśli mi postawicie, to w porządku. W przeciwnym razie chcę wiedzieć dokąd.

— Na Dar.

— Znaczy się, mamy zasuwać na Dar? Słuchaj, mistrzu, nie ruszę się na krok, dopóki mi nie postawicie kielicha.

— Rozumiesz, o co mu chodzi? — spytał Dziewiątka. Trójka przecząco pokręcił jednym końcem. — Bierzemy go siłą?

— Na razie nie ma potrzeby, może zgodzi się pójść dobrowolnie. Czy zgodzisz się wejść do sześcianu dobrowolnie, istoto?

— A macie tam alkohol?

— Tak. Wejdz, proszę.

Hanley zbliżył się do sześcianu i wszedł do środka. Nie dlatego, żeby wierzył, że on tam stoi naprawdę, ale co miał do stracenia? Zresztą kiedy się ma D.T., najgorzej się sprzeciwiać. Sześcian był zbudowany z materii stałej i od wewnątrz wcale nie był przezroczysty. Trójka owinał się wokół tablicy kontrolnej i przy pomocy obu swoich końców zręcznie manipulował delikatnymi mechanizmami.

— Znajdujemy się w międzyprzestrzeni — powiedział do Dziewiątki. — Proponuję, abyśmy zatrzymali się tutaj do czasu, aż przeprowadzimy studia nad tym okazem i ustalimy, czy nadaje się do naszych celów.

— Hej, chłopcy, a co z tą wódką? — zaniepokoił się Hanley. Ręce zaczęły mu się już trząść, a wzdłuż kręgosłupa od wewnątrz czuł biegające tam i z powrotem mrówki.

— Zdaje się, że on cierpi — powiedział Dziewiątka. — Zapewne z głodu albo pragnienia. Co te stwory piją? Może wodę utlenioną, tak jak my?

— Większa część ich planety jest pokryta wodnym roztworem chlorku sodu. Może mu przyrządzimy trochę?

Hanley ryknął:

— Nie, nie chcę wody, nawet bez soli! Ja chcę pić! Wody!

— Chyba przeprowadzę analizę jego systemu trawiennego — powiedział Trójka. — Przy pomocy introfluoroskopu zrobię to błyskawicznie.

Trójka odwinął się od tablicy kontrolnej i zbliżył się do jakiegoś dziwnego przyrządu. Po chwili zamigotały jakieś światełka i Trójka powiedział:

— Dziwne. Jego przemiana materii oparta jest na  $C_2H_5OH$ ?

—  $C_2H_5OH$ ?

— Tak, alkohol, w każdym razie jako składnik podstawowy. Jest jeszcze nieco wody, ale bez chlorku sodu, i nieznaczne ilości innych składników. Nie ma śladów żadnego innego pokarmu. Zawartość alkoholu we krwi i w mózgu wynosi 0,234 procenta. Cały jego metabolizm opiera się na tym.

— Chłopcy — błagał Hanley. — Ja muszę sobie golnąć. Może byście tak przestali gadać głupstwa i dali mi coś do wypicia?

— Zaczekaj chwilę — powiedział Dziewiątka — zaraz przyrządzę to, czego się domagasz. Sprawdzę tylko skale na introfluoroskopie i dodam wskazania psychometru. — Znowu błyskały światełka i Dziewiątka udał się w jeden z kątów sześcianu, gdzie widocznie było laboratorium. Majstrował tam przez niecałą minutę i przyniósł naczynie zawierające około pół litra klarownego bursztynowego płynu.

Hanley powąchał, potem spróbował i westchnął.

— Dobiliście mnie — powiedział. To jest *aqua vitae*, boski nektar. Takiego napoju nie ma na świecie. — Pociągnął wielki łyk i nawet nie poczuł parzenia w gardle.

— Coś ty mu przyrządził? — spytał Trójka.

— Dość skomplikowany zestaw, dostosowany dokładnie do jego potrzeb. Pięćdziesiąt procent alkoholu, czterdzieści pięć procent wody. Pozostałe pięć procent składa się z dużej ilości składników; wchodzi tu wszystkie niezbędne witaminy i sole mineralne we właściwych proporcjach oraz drobne ilości substancji smakowych. Oczywiście według jego gustu. Dla nas byłoby to coś okropnego, nawet gdybyśmy mogli pić alkohol albo wodę.

Hanley westchnął i znowu pociągnął potężnie.

Zaczynał się lekko zataczać. Spojrzał na Trójkę i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— I tak wiem, że nie istniejesz, że ciebie tam wcale nie ma — powiedział.

— O co mu chodzi? — spytał Dziewiątka Trójki.

— Wygląda na to, że jego procesy myślowe są całkowicie alogiczne. Obawiam się, że ten gatunek istot nie nada się na niewolników, ale oczywiście musimy się co do tego upewnić. Jak się nazywasz, istoto?

— Po co ci nazwisko? — powiedział Hanley. — Możesz mnie nazywać, jak ci się żywnie podoba. Jesteście przecież moimi najlepszymi kumplami. Pojadę z wami, gdzie chcecie, dajcie mi tylko znać, jak już dojedziemy.

Pociągnął spory łyk i zwałił się na podłogę, zaczął wydawać z siebie jakieś dziwne dźwięki, ale ani Trójka, ani Dziewiątka nie potrafili rozróżnić słów. Brzmiało to jak „Zzzzz–głup, zzzz–glup”. Próbowali go obudzić, ale im się to nie udawało, więc obserwowali go tylko i przeprowadzali niektóre próby. Obudził się dopiero po kilku godzinach. Usiadł i wpatrywał się w nich z przerażeniem.

— To nieprawda — powiedział. — Was tam nie ma. Na litość boską, szybko dajcie mi pić;

Wręczyli mu naczynie, które Dziewiątka ponownie napełnił tym samym płynem. Hanley pił przymykając oczy z błogości.

— Nie budźcie mnie — powiedział.

— Wcale teraz nie śpisz.

— No to nie kładźcie mnie spać. Wiem, co to jest. To ambrozja, napój bogów.

— Kto to są bogowie?

— Bogów nie ma. Ale to jest właśnie to, co oni piją. Na Olimpie.

— Procesy myślowe całkowicie alogiczne — zauważył Trójka.

Hanley uniósł naczynie.

— W ręce waszych miłości perswaduję — powiedział,

— Co to są waszemiłości? — spytał Trójka.

Hanley zastanowił się przez chwilę:

— To są takie zbobierzałe fąfle, które wywożą ludzi na Dar.

— Co wiesz o Darze?

— Jest to coś, czego nie ma. Wasze zdrowie, chłopcy — i pociągnął znowu.

— Za głupi, żeby się nadał do czegoś poza prostą pracą fizyczną — powiedział Trójka. — Ale jeśli jest wystarczająco silny, warto zrobić najazd na tę planetę. Liczy trzy do czterech miliardów mieszkańców. Przydadzą się nam choćby niewykwalifikowani robotnicy — trzy czy cztery miliardy to już jest coś.

— Hura! — krzyknął Hanley.

— Zdaje się, że on słabo kojarzy — powiedział Trójka w zamyśleniu. — Ale może za to jest silny fizycznie. Istoto, jak cię mam nazywać?

— Mówcie do mnie Al, chłopcy. — Hanley próbował się podnieść.

— Czy to jest nazwa twoja, czy całego gatunku? I czy to jest jej pełne brzmienie? Hanley oparł się o ścianę.

— Gatunku — powiedział po chwili namysłu. — To skrót od Albinosów. — Tak to sobie wymyślił.

— Chcemy sprawdzić twoją wytrzymałość. Biegaj tam i z powrotem po szeście, dopóki się nie zmęczysz. Daj, potrzynam ci naczynie z pożywieniem.

Wyjął naczynie z rąk Hanleya, który zaczął mu je z powrotem wyrywać.

— Jeszcze jeden łyk. Tylko mały łyeczek. Potem będę biegał dla was choćby do białego rana.

— Może mu to jest potrzebne — powiedział Trójka. — Oddaj mu naczynie.

Hanley nie wiedział, kiedy mu się dadzą napić ponownie, pociągnął więc na zapas. Potem pomachał wesoło do czterech Darian, którzy mu się przypatrywali.

— Do zobaczenia na wyścigach, chłopcy — powiedział, — Mam nadzieję, że przyjdziecie wszyscy czterej. Stawiajcie na mnie. Wygram w cuglach. Mogę jeszcze łyceczek przed startem?

Pociągnął jeszcze łyceczek, rzeczywiście mały tym razem — niecałą szklanekę.

— Wystarczy — powiedział Trójka. — Teraz biegaj.

Hanley zrobił kilka kroków i upadł na twarz. Przetoczył się na plecy i tak leżał z błogim uśmiechem na twarzy.

— Nieprawdopodobne — powiedział Trójka. — Może on nas chce oszukać. Sprawdź to, Dziewiątka.

Dziewiątka sprawdził.

— Nieprawdopodobne — powiedział. — Po tak niewielkim wysiłku stracił przytomność, i to do tego stopnia, że nie reaguje na ból. On nie udaje. Te istoty są dla naszych celów zupełnie nieprzydatne. Wyślij raport, że wracamy. Zabierzemy go jako okaz do ogrodu zoologicznego. Warto go tam pokazać. Fizycznie jest to najdziwniejszy okaz ze wszystkich, jakie napotkaliśmy na milionach planet.

Trójka owinął się wokół tablicy kontrolnej i zaczął manipulować mechanizmami przy pomocy obu końców. Minęło 163 tysiące lat świetlnych i 1630 stuleci, redukując się nawzajem tak całkowicie i dokładnie, jakby nie poruszali się w ogóle ani w czasie, ani w przestrzeni.

W stolicy planety Dar, która panuje nad tysiącami nadających się do kolonizacji planet i której przedstawiciele zbadali miliony innych, bezużytecznych, jak na przykład Ziemia, planet — Al Hanley zajmuje wielką, szklaną klatkę na honorowym miejscu, jako niezwykle ciekawy okaz.

Pośrodku klatki jest sadzawka, z której często popija. Widziano zresztą również, jak się w niej kąpał. Jest ona napełniona napojem, który tak się ma do najlepszej ziemskiej whisky, jak najlepsza ziemska whisky do bimbru pędzonego w brudnej wannie. Poza tym zawiera ona, bez szkody dla smaku, wszystkie niezbędne witaminy i sole mineralne.

Nie wywołuje też kaca ani żadnych innych przykrych następstw. Picie go sprawia Hanleyowi rozkosz, dającą się porównać chyba tylko z rozkoszami, jakich doznają bywalcy Zoo, którzy przypatrują mu się w niemym zachwycie, a potem czytają objaśnienie na jego klatce:

*Alcoholicus Anonymus*

Odżywia się wyłącznie  $C_2H_5OH$  z dodatkiem witamin i soli mineralnych. Miewa przebłyski inteligencji, ale nie posiada zdolności logicznego myślenia. Mało odporny na wysiłek — pada z wyczerpania już po kilku krokach. Nie przedstawia żadnej wartości handlowej, jest jednak jednym z ciekawych okazów odkrytych w Galaktyce. Zamieszkuje trzecią planetę w systemie słońca Jx 654746–908.

Jest on tak fascynującym okazem, że uczynili go, praktycznie rzecz biorąc, nieśmiertelnym. I całe szczęście, bo gdyby, nie daj Boże, coś mu się stało, mogliby zechcieć zastąpić go innym okazem Ziemiańcina i tym razem mogliby trafić na jakiegoś abstynenta, jak ja czy ktoś z was. Strach pomyśleć, co by nam wówczas groziło.

*Przełożył Lech Jęczmyk*



Mack Reynolds, Fredric Brown

## Szczęśliwy zakończenie

(Happy Ending)

*Wokół tego człowieka zawalił się świat – świat, który już nigdy nie miał wykrzykiwać sławiących go peanów. Wypalone miasta były ciche i martwe. Powykręcane ciała i powykręcane dusze wysyłały mu ostatnie pozdrowienia w śmierci. A teraz pozostał sam, otoczony przez wspomnienia, czekając w samotności...*

*Czasami dziwacznie ukształtowane wenusjańskie drzewa, zdawały się coś do niego mówić, ale ich głosy były delikatne. Były lojalnymi istotami.*

W szalupie ratunkowej, która wystartowała na dół, z krążownika kosmicznego, znajdowało się czterech mężczyzn. Trzech z nich nadal miało na sobie mundury Straży Galaktycznej.

Czwarty siedział na dziobie niewielkiego pojazdu, spoglądając na dół, na ich cel. Siedział przygarbiony i milczący, dokładnie opatulony w płaszcz, mający chronić go przed chłodem przestrzeni kosmicznej – płaszcz, którego po dzisiejszym poranku nigdy więcej już nie będzie potrzebował. Brzeg kapelusza nasunął sobie mocno na czoło i spoglądał na zbliżającą się ziemię przez okulary o przyciemnionych szklach. Większość dolnej części jego twarzy, pokrywały bandażę opatrunku, założonego tak jakby miał chronić złamaną szczękę.

Uświadomił sobie nagle, że teraz, kiedy odlecieli już z krążownika, ciemne okulary nie są mu już potrzebne. Zsunął je z twarzy. Po szarościach, jakie jego oczy już od tak dawna, oglądały przez te okulary, żywość jaskrawych kolorów, uderzyła go niemal jakby obuchem. Zamrugął powiekami i ponownie zaczął się przypatrywać.

Szybko obniżali swój lot w kierunku widocznej linii brzegowej, plaży. Piasek był tak oślepiająco, wręcz nieprawdopodobnie biały, jaki nigdy nie był na jego rodzinnej planecie. Do tego błękit nieba i wody, oraz zieleń krańców fantastycznej dżungli. Kiedy bardziej się zbliżyli, w zieleni lasu można było dostrzec czerwony rozbłysk, i nagle zdał sobie sprawę, że to musi być *marigee*, na wpół inteligentna wenusjańska papuga, kiedyś bardzo popularne zwierzę domowe w całym układzie słonecznym.

W całym układzie, krew i stal spadała z nieba, porywając ze sobą w pożogę planety, dzisiaj jednak to wszystko już się skończyło.

A teraz to. Tutaj, na ten zapomniany skrawek niemal kompletnie zniszczonego świata, wojna w ogóle nie dotarła.

Jedynie w jakimś miejscu podobnym do tego, mógł znaleźć bezpieczną przystań. Gdzie indziej -- a w zasadzie wszędzie -- groziło mu uwięzienie, albo, co bardziej prawdopodobne, śmierć. Nawet tutaj było niebezpiecznie. Trzech marynarzy z załogi krążownika, wiedziało kim jest. Być może, pew-

nego dnia, których z nich zacznie mówić. Wtedy przybędą po niego, nawet tutaj.

To jednak było ryzyko, którego nie był w stanie uniknąć. A szanse na sukces nie były takie złe, ponieważ jedynie trzech ludzi w całym układzie słonecznym, wiedziało gdzie jest. A cała trójka, byli to lojalni głupcy.

Szalupa ratunkowa łagodnie spoczęła na ziemi. Właz otworzył się, i pasażer wyszedł na zewnątrz, robiąc kilka kroków po plaży. Odwrócił się chwilę czekając, aż dwóch kosmonautów, którzy kierowali pojazdem podejdzie z jego skrzynią i zanieś ją przez plażę, do baraku z ocynkowanej blachy falistej, tuż na krawędzi drzew. Barak kiedyś był stacją przekaźnikową radaru kosmicznego. Obecnie, znajdujący się w nim sprzęt, dano temu został już zabrany, a maszt anteny zdjęty na ziemię. Ale szopa nadal stała. Na razie stanie się on jego domem. Na dłuższą chwilę. Dwóch mężczyzn wróciło do szalupy, przygotowując ją do odlotu.

Koło niego stał tylko kapitan, którego twarz zmieniła się w sztywną maskę. Wydawało się, że prawe ramię kapitana tylko z najwyższym wysiłkiem pozostaje nieruchomo, przy jego boku, ale ten wysiłek był wynikiem wyraźnych rozkazów. Żadnych salutów.

Głos kapitana również był sztywny i całkowicie wyprany z emocji.

– Numerze Jeden...

– Cisza! – A potem, mniej ostro: – Odejdźmy dalej od łodzi, zanim znowu zacznie pan chlapać językiem. Tutaj. – Podeszli do baraku.

– Ma pan rację, Numerze...

– Nie. Już nie jestem Numerem Jeden. Zanim podda pan pański statek, musi pan nadal myśleć o mnie jako o *panu* Smith, pańskim kuzynie, którego przywiózł pan tutaj, z powodów jakie podał pan swoim młodszym oficerom. Jeżeli będzie pan tak o mnie *myślał*, mniej prawdopodobne, że coś wysłizgnie się panu z ust.

– Czy jest jeszcze coś, co mógłbym dla pana zrobić... panie Smith?  
– Nic. Odlatujcie już.  
– Czy otrzymałem rozkaz poddania...  
– Nie otrzymał pan żadnych rozkazów. Wojna jest skończona, przegrana. Sugerowałbym zastanowić się, do którego z portów kosmicznych pan się uda. W niektórych z nich może pan uzyskać humanitarnie warunki kapitulacji. W innych...

Kapitan skinął głową.

– Inne wręcz kipią z nienawiści. Tak. Czy to wszystko?  
– To wszystko. I, panie kapitanie, pańskie przebicie się przez blokadę, zabezpieczenie zapasów paliwa *en route*, stanowi przykład najwyższych umiejętności i odwagi. W nagrodę mogę oferować panu jedynie moje podziękowania. Ale teraz proszę już lecieć. Żegnajcie.

– Nie żegnajcie – wybuchnął impulsywnie kapitan, – ale *hasta la vista, auf Wiedersehen, do zobaczenia...* czy pozwoli mi pan, po raz ostatni zwrócić się do pana we właściwy sposób i oddać honory?

Mężczyzna w płaszczu wzruszył ramionami.

– Jak pan sobie życzy.

Kapitan strzelił obcasami i zasalutował w sposób, który niegdyś witano Cezarów, a później pseudo-aryjczyków z 20-tego wieku, a teraz, zaledwie do wczoraj, jego, określanego jako *ostatni z dyktatorów*.

– Do widzenia, Numerze Jeden!

– Do widzenia – odparł bez emocji.

---

Pan Smith, czarny punkcik na oślepiająco białym piasku, obserwował jak szalupa ratunkowa rozpływa się stopniowo w błękicie nad głową, a w końcu znika we mgle wyższych warstw atmosfery Wenus. W tych wiecz-

nych mgłach, które zawsze tam się unosiły, kpiąc z jego porażki i powiększając dręczącą go samotność.

Kolejne dni ciągnęły się z wolna, odchodząc w przeszłość. Słońce świeciło przytłumionym światłem, *marigee* skrzeczały od wczesnego poranka, przez cały dzień, aż po zmierzch, a czasami pojawiały się sześcionogie *baroony*, podobne do małp zwierzęta nadrzewne, które wrzeszczały coś na niego. Od czasu do czasu pojawiały się i przemijały kolejne ulewy.

Podczas nocy, gdzieś z oddali, dolatywały odgłosy dudnienia w bębny. Nie wybijały one wojennych rytmów marszowych, ani groźnych nut gwałtownej nienawiści. Po prostu bębny, oddalone o wiele mil, wybijające rytm dla tańców tubylców, albo dla egzorcyzmów odstraszaćcych, być może, nocne demony leśne. Zakładał, że ci Wenusjanie również mają swoje przesady, tak jak wszystkie inne rasy. Bębny nie stanowiły dla niego żadnego zagrożenia, w ich rytmie było coś jakby bicie serca dżungli.

Pan Smith wiedział o tym, ponieważ chociaż określenie miejsca przeznaczenia, było kwestią raczej dosyć pośpiesznego wyboru, to jednak miał dostatecznie dużo czasu, aby przeczytać kilka dostępnych pod ręką raportów. Tubylcy byli nieszkodliwi i przyjaźnie nastawieni. Terrańscy misjonarze, już od pewnego czasu, mieszkali wśród nich -- przed wybuchem wojny. Byli oni prostą, słabą rasą. Rzadko wędrowali daleko od swoich wiosek. Operator radaru kosmicznego, który kiedyś zajmował barak, donosił, że nigdy nie widział żadnego z nich.

Uniknięcie spotkania z tubylcami, nie powinno więc sprawiać szczególnych problemów, a nawet jeżeli gdzieś ich spotka, nie powinno to być niebezpieczne.

Nie miał więc żadnych innych zmartwień, poza swoją goryczą.

Nie czuł goryczy na skutek żalu, ale z powodu porażki. Porażki poniesionej z rąk pokonanych. Ci przekłęci Marsjanie, którzy powrócili, po tym

kiedy gnał ich przez pół tej ich cholernej pustynnej planety. Konfederacja Satelitów Jowisza, lądująca bez końca na rodzinnej planecie, przez całe dni i noce wysyłająca kolejne olbrzymie armady pojazdów kosmicznych, aby obrócić w proch i w pył jego potężne miasta. Pomimo wszystkiego, pomimo dziesiątek ultra-skutecznych tajnych broni które posiadał, pomimo desperackich wysiłków jego osłabionych armii, w skład których w większości wchodziłi mężczyźni przed dwudziestką albo po czterdziestce.

Zdrada nawet w jego własnej armii, pomiędzy jego generałami i admirałami. Utrata Luny, co oznaczało koniec.

Jego rodacy ponownie podniosą głowy. Ale nie teraz, nie po Armagedonie, nie za jego życia. Nie pod jego dowództwem, ani nikogo podobnego do niego. Ostatni z dyktatorów.

Znienawidzony przez cały układ słoneczny, i nienawidzący jego.

To było nie do zniesienia, chyba że w samotności. Przewidywał to wcześniej -- potrzebę samotności. Sam, był nadal Numerem Jeden. Obecność innych ludzi, zmuszałaby go do uznania swojego nowego marnego statusu. W samotności, jego duma pozostawała nienaruszona. Jego ego było nietknięte.

---

Długie dni i skrzeki *marigee*, szum fal rozbijających się o brzeg, *baroony* na drzewach, poruszające się cicho jak duchy i hałaśliwie wrzeszczące ostrymi głosami. Bębny.

Te wszystkie odgłosy i samotność. Ale może kompletna cisza byłaby jeszcze gorsza.

Ponieważ chwile ciszy, były nawet jeszcze bardziej głośnie. Wtedy gdy krążył nocą po plaży, w górze rozlegał się ryk silników odrzutowych i rakietowych, statków huczących nad New Albuquerque, jego stolicą, w dniach

poprzedzających jego ucieczkę stamtąd. Łoskot bomb, krzyki, krew i bezbarwne głosy przybocznych generałów.

To były dni, w których fale nienawiści podbitych narodów, uderzyły w jego kraj jak morskie fale sztormowe, uderzające w rozkruszone nabrzeżne klify. Całe ligi poza poobijanymi liniami frontów, dało się wręcz namacalnie wyczuć nienawiść i żądzę zemsty, jakby coś gęstego wisiało w powietrzu, powodując trudności w oddychaniu, a wszelkie rozmowy były daremne.

Do tego statki kosmiczne, silniki, rakiety, te przeklęte rakiety, których było coraz więcej każdego dnia i każdej nocy, a na każdą zestrzeloną, pojawiało się dziesięć nowych. Statki kosmiczne, spadające z nieba jak deszcz, zamieszanie, chaos i koniec wszelkich nadziei.

I wtedy uświadomił sobie, że słyszy również inny odgłos, słyszy go często i od dłuższego czasu. To był głos, który wykrzykiwał inwektywy, złorzeczył z nienawiścią, gloryfikował stalową wolę swojej planety oraz przeznaczenie człowieka i ludzi.

To był jego własny głos, który odepchnął fale od białego brzegu, zatrzymał ich mokry napływ na jego dziedzinę. Wrzeszczał w odpowiedzi do *baroonów*, które odpowiadały milczeniem. A od czasu do czasu śmiał się razem ze śmiejącymi się *marigee*. Czasami dziwacznie ukształtowane drzewa wenusjańskie również coś do niego mówiły, ale ich głosy były cichsze i spokojniejsze. Drzewa były uległe, były dobrymi poddanymi.

Chwilami przez głowę wędrowały mu różne fantastyczne myśli. Rasa drzew, czysta rasa drzew, która nigdy nie mieszała się z innymi, które zawsze stały pewnie i mocno. Pewnego dnia drzewa...

Ale to był tylko sen, fantazja. Bardziej realne były *marigee* i *kify*. To one właśnie najbardziej go prześladowały. Jedna z *marigee* wydawała się krzyczeć: „*Wszystko stracone!*”. Strzelał do niej chyba ze sto razy, z pistoletu

igłowego, ale zawsze uciekała nietknięta. Czasami nawet nie raczyła odlecieć.

– *Wszystko stracone!*

W końcu przestał marnować igły. Ruszył w jej stronę, aby udusić ją gołymi rękoma. To był lepszy pomysł. Podczas kolejnej próby, była to chyba tysięczna, złapał ją i zabił, na jego rękach pojawiła się ciepła krew, a wokoło fruwały pióra.

To powinno zakończyć sprawę, ale stało się inaczej. Teraz dookoła krążyło kilkanaście marigee, które wrzeszczały, że wszystko stracone. Być może te kilkanaście było razem ze sobą. Tak więc mógł co najwyżej grozić im wyciągniętą pięścią, albo rzucać w nie kamieniami.

*Kify*, wenusjański odpowiednik ziemskich mrówek, kradły mu jedzenie. Nie miało to co prawda większego znaczenia, ponieważ wokół było pełno żywności. W baraku był jej cały magazynek, przeznaczony do uzupełnienia zapasów krążownika kosmicznego, i nigdy nie wykorzystany. *Kify* nie były w stanie się do niej dostać, dopóki nie otworzył puszek, ale wtedy wyjadały wszystko, co w niej pozostało, chyba że zjadł ją od razu całą. To nie miało znaczenia. Było mnóstwo puszek. A w dodatku zawsze miał też świeże owoce z dżungli. Zawsze była na nie pora roku, ponieważ nie było tutaj pór roku, poza deszczowymi.

Ale *kify* spełniały też dla niego pewną pożyteczną rolę. Utrzymywały go przy zdrowych zmysłach, dając mu coś namacalnego, coś zwykłego, co mógł nienawidzić.

Och, początkowo oczywiście to nie była nienawiść. Zwyczajne rozdrażnienie. Z początku zabijał je w sposób zbliżony do rutynowego. Ale one ciągle wracały. Zawsze wszędzie było pełno *kifów*. W spiżarni, gdziekolwiek by ją nie zrobił. W łóżku. Wstawił nogi pryczy do naczyń wypełnionych benzy-



ną, ale kify ciągle dostawały się do środka. Może spadały z sufitu, chociaż nigdy nie przyłapał ich na tym, jak to robią.

Nie dały mu spać. Czuł jak biegają po nim, nawet jeśli spędził wcześniej kilka godzin, wybierając je z łóżka, w świetle karbidowej latarni. Biegały, łaskocząc go małymi nóżkami, tak że nie mógł spać.

Stopniowo zaczynał ich coraz mocniej nienawidzić, a nocne niedole spowodowały, że dni stały się łatwiejsze do zniesienia, ponieważ w końcu miał jakiś pochłaniający go bez reszty cel. Zabijanie *kifów*. Wyszukiwał robione przez nie dziury, cierpliwie badając każdy skrawek podłogi, lejąc benzynę do każdej dziurki i dookoła niej na ziemi, czerpiąc dziką satysfakcję z myśli o skręcających się na dole w agonii, zwierzętach. Zabrał się za polowanie na *kify*, rozdeptując je. Powstrzymać je. Musiał zabić miliony *kifów*.

Zawsze jednak pozostawało ich równie dużo, co przedtem. Ich liczba zdawała się nigdy nie spadać, nawet o włos. Tak jak Marsjan -- tylko że w przeciwieństwie do Marsjan, one się nie odwzajemniały.

Po ich stronie stała siła biernego oporu olbrzymiej płodności, która nieprzerwanie produkowała nowe *kify*, niesamowite ich krocie, miliardy zastępujące miliony. Poszczególne *kify* mogły zostać zabite, i z ich zabijania odczuwał dziką satysfakcję. Zdawał sobie jednak sprawę, że jego metody niczego nie dawały, poza samą przyjemnością i zajęciem jakiego mu dostarczały. Czasami przyjemność bladła, w cieniu bezradności, i wręcz marzył o zmechanizowanych środkach do ich zabijania.

Uważnie przeczytał wszystkie materiały o *kifach*, jakie znajdowały się w jego niewielkiej biblioteczce. Były one zadziwiająco podobne do mrówek z Terry. Tak bardzo, że pojawiały się nawet spekulacje o powiązaniach między nimi -- to akurat niespecjalnie go interesowało. Jak można je zabijać, *en masse*? Raz do roku, na krótki okres, przyjmowały one postać armii mrówek

z Terry. Wychodziły ze swoich dziurek, w niezliczonych rzeszach osobników, i idąc w wielkim żarłocznym marszu, wymiatały wszystko co im stało na drodze. Kiedy o tym przeczytał, oblizał wargi. Być może ta sposobność pozwoliłaby mu je niszczyć, niszczyć i *niszczyć*.

Niemal. Pan Smith niemal zapomniał o innych ludziach, układzie słonecznym i o tym, co się wydarzyło. Tutaj, na tej nowej planecie, był tylko on i *kify*. Baroony i marigee się nie liczyły. Nie miały żadnego porządku, ani systemu. Ale *kify*...

Przez intensywną warstwę jego nienawiści, powoli zaczął przesączać się niechętny podziw. *Kify* były istotami naprawdę totalitarnymi. One wprowadzały w praktykę, to co on głosił potężniejszej rasie. Praktykowały to z gruntownością i bezkompromisowością przekraczającą zdolności zrozumienia człowieka.

Ich kompletne zanurzenie jednostki w społeczeństwie, absolutna bezwzględność prawdziwych zdobywców, doskonała bezinteresowna odwaga prawdziwych żołnierzy.

Ale one wchodziły mu do łóżka, do ubrania, do jego jedzenia.

Roiły się na nieznośnie łaskoczących nóżkach.

Nocami spacerował po plaży, a dzisiaj właśnie była jedna z tych hałaśliwych nocy. Słyszeć było wysoko latające, wyjące nad głowami, pojazdy odrzutowe, unoszące się w górze, na zalanym księżycowym światłem niebie, a ich cienie cętkowały czarną powierzchnię morza. Samoloty, rakiety, platformy odrzutowe, to właśnie one zniszczyły jego miasta, obróciły jego szlaki kolejowe w stosy poskręcane żelastwa, zrzuciły swoje bomby H na większość jego najważniejszych fabryk.

Pogroził im pięścią i zaczął wykrzykiwać w kierunku nieba obelgi.

A kiedy już przestał wrzeszczeć, na plaży rozległy się głosy. W jego uszach zabrzmiał głos Conrada, tak jak owego dnia, kiedy Conrad wszedł do pałacu z białą twarzą, i zapomniał mu oddać salut.

– Numerze Jeden, w Denver mamy wyłom! Toronto i Monterey są w niebezpieczeństwie. A na innych półkulach... – Głos mu się załamał. – ... ci przekłęci Marsjanie i zdrajcy z Luny ciągną przez Argentynę. Inni wylądowali w pobliżu Nowego Piotrogradu. To kompletna klęska. Wszystko stracone!

Głosy krzyczące:

– Numer Jeden, *hail!* Numer Jeden, *hail!*

Całe morze historycznych głosów.

– Numer Jeden, *hail!* Numer Jeden...

Jeden z nich był głośniejszy, mocniejszy, bardziej gorączkowy od innych. Wspomnienie jego własnego głosu, wykalkulowanego, ale natchnionego, takiego jaki słyszał na nagraniach swoich własnych przemówień.

Głosy skandujących dzieci:

– Dla Ciebie, o Numerze Jeden...

Nie mógł sobie przypomnieć reszty tych słów, ale to były przepiękne słowa. To było na spotkaniu w szkole publicznej, w New Los Angeles. To dziwne, że potrafił sobie przypomnieć, tu i teraz, każdy dźwięk i intonację swojego głosu, błyszczące zainteresowanie w dziecięcych oczach. To były tylko dzieci, ale one chciały zabijać i ginąć, *dla niego*, przekonane do tego, że wszystko co jest potrzebne dla wyleczenia słabości rasy, to właściwy przywódca, za którym będzie się podążać.

– *Wszystko stracone!*

I nagle monstrualne pojazdy odrzutowe zaczęły pikować w dół i w nieubłagany sposób uświadomił sobie, jak czysty i wyraźny stanowi cel, tutaj na tle białej, zalanej światłem księżycy plaży. Musieli go widzieć.

Kiedy zaczął uciekać pod osłonę dżungli, szlochając ze strachu, słyszał za sobą crescendo motorów. Uskoczył w zbawczy cień gigantycznych drzew i chroniącą go ciemność.

Potknął się i upadł, podniósł się z powrotem i biegł dalej. Wkrótce jego oczy przyzwyczały się do ciemniejszego światła księżyca, przebijającego się przez rozpościerające się nad głową konary. Jakieś poruszenie między gałęziami. Poruszenie i głosy w ciemnościach. Głosy w, i z ciemności. Szepty i okrzyki bólu. Tak, pokazał im jak zadawać ból i teraz ich udręczone głosy biegły razem z nim przez wysoką do kolan, mokrą od nocnej rosy trawę, rosnącą pomiędzy drzewami.

Noc wypełniła się odrażającymi odgłosami. Odgłosami czerwonymi od krwi, prawie namacalnymi dźwiękami, które niemal równie dobrze mógł *czuć*, jak widzieć i słyszeć. A po chwili jego oddech zaczął rzeźić i wszystko przytłumił dudniący odgłos, który jednocześnie wyznaczał puls jego serca i puls nocy.

Nie mógł już dłużej biec i musiał złapać się drzewa, żeby się nie przewrócić. Stał z drżącymi ramionami i twarzą wciśniętą w bezosobową szorstkość kory. Nie było wiatru, ale drzewo kołysało się do przodu i do tyłu, razem z jego ciałem.

Wtedy, równie nagle jak gaśnie światło po naciśnięciu przełącznika, hałas zniknął. Zapanowała zupełna cisza i w końcu poczuł się na tyle mocny, aby zwolnić uchwyt na drzewie oraz znowu stanąć prosto, aby się rozejrzeć i ocenić swoje położenie.

Każde drzewo było takie samo jak pozostałe i przez chwilę myślał, że będzie musiał tutaj zostać i poczekać, aż do zapadnięcia dnia. Wtedy przypomniał sobie, że szum fal powinien wskazać mu odpowiedni kierunek. Nasłuchiwał z natężeniem, i w końcu go usłyszał, cichy i dobiegający z dużej odległości.

I jeszcze kolejny dźwięk -- jakiego nigdy wcześniej nie słyszał -- również cichy, ale wydawał się dobiegać gdzieś z jego prawej strony i z całkiem bliska.

Popatrzył w tym kierunku i zauważył w górze pustą łąkę w koronach drzew. Na wolnej przestrzeni, wypełnionej światłem księżyca, trawa dziwnie falowała. Poruszała się, pomimo tego, że nie było najlżejszego nawet podmuchu wiatru, który mógłby nią kołysać. Na końcu polany znajdowała się niemal ostra krawędź, poza którą źdźbła znikwały.

Ten dźwięk... brzmiał niemal jak szum morza, ale miał ciągły charakter. W zasadzie, był bardziej podobny do szelestu liści, tylko że nie było tam żadnych suchych liści, które mogłyby szeleścić.

Pan Smith zrobił krok naprzód i popatrzył pod nogi. Jeszcze więcej trawy pochylało się, przewracało i znikało, nawet w chwili kiedy na nią spoglądał. Poza poruszającą się krawędzią zniszczenia, znajdował się brązowy dywan złożony z ciał poruszających się *kifów*.

Rząd za rzędem, ustawiony w porządku szereg za szeregiem, maszerowały naprzód, nie napotykając oporu. Miliardy *kifów*, armia *kifów*, wyjadała sobie drogę przez noc.

Zafascynowany, przyglądał się im z góry. Nie było żadnego niebezpieczeństwa, ponieważ ich ruch był powolny. Cofnął się o krok, aby pozostać przed ich pierwszymi szeregami. A więc dźwięk, który słyszał, był odgłosem przeżuwania.

Z miejsca w którym stał, mógł dojrzeć tylko jeden brzeg kolumny, była to równa, starannie uporządkowana krawędź. Dyscyplina jaka obowiązywała, była znacznie bardziej ścisła dla osobników na zewnątrz, niż dla tych znajdujących się w samym środku.

Cofnął się o kolejny krok... i wtedy, zupełnie nagle jego ciało stanęło w ogniu, w kilku różnych miejscach. Straż przednia. Przed szeregiem, który wyjadał trawę.

Jego buty były całe brązowe od *kifów*.

Krzycząc z bólu, zawirował wokół siebie i zaczął uciekać, uderzając dłońmi w palące miejsca na ciele. Uciekając na oślep wpadł na drzewo, obijając sobie mocno twarz, a noc była cała szkarłatna z bólu i uderzeń ognistych pocisków.

Zataczając się uciekał dalej, niemal na ślepo, skręcając się i zdzierając z siebie w biegu ubranie.

A więc, to był ból. W jego uszach brzmiał ostry krzyk, który musiał być dźwiękiem jego własnego głosu.

Kiedy nie mógł już dłużej biec, zaczął się czołgać. Do tej pory, był już nagi i czepiało go się jeszcze tylko kilka kifów. Wybrany na ślepo kierunek ucieczki, zabrał go spory kawałek z drogi posuwającej się naprzód armii.

Siła strachu i wspomnienie nieznośnego bólu, pędziły go jednak dalej. Jego kolana były całe poobcierane i nie był w stanie już dalej się czołgać. Zdołał jednak podnieść się, stanął wyprostowany, na drżących nogach i zatonął się do przodu. Złapał się drzewa i odepchnął się od niego dalej, tak by złapać się następnego.

Upadał i podnosił się, upadał ponownie. Gardło mu zaschło od wykrzykiwania pełnych nienawiści inwektyw. Krzaki i szorstka kora drzew, rozdzierały mu ciało.

---

Tuż przed świtem, zataczając się, na teren wioski przykuśtykał człowiek, nagi Ziemianin. Rozglądał się na wszystkie strony mętными oczyma, które zdawały się nie widzieć niczego i nie rozumieć niczego.

Kobiety i dzieci uciekały przed nim, nawet mężczyźni cofali się odruchowo.

Stał więc tam, słaniając się, a niedowierzające oczy tubylców rozszerzały się ze zdziwienia, widząc stan jego ciała i pustkę w jego oczach.

Kiedy nie wykonał żadnego wrogiego ruchu, wenusjańscy humanoidzi znowu podeszli bliżej, tworząc wokół niego zdziwiony, rozgadany krąg. Niektórzy z nich pobiegli, żeby sprowadzić wodza i jego syna, którzy wiedzieli wszystko.

Szalony nagi człowiek otworzył usta, tak jakby miał zamiar przemówić, ale zamiast tego upadł na ziemię. Upadł tak, jak pada martwy człowiek. Ale kiedy przewrócili go na wznak, zobaczyli, że jego pierś unosi się i opada w ciężkim oddechu.

Wtedy pojawili się Alwa, stary wódz, i Nrana, jego syn. Alwa wydał kilka szybkich, energicznych rozkazów. Dwóch ludzi zaniósło pana Smitha do chaty wodza, gdzie opiekę nad Ziemianinem przejęły żony wodza i jego syna, nacierając go kojącym i uzdrawiającym balsamem.

Jednak przez kolejne dni i noce, leżał bez ruchu, bez słowa, nie otwierając oczu, tak że nie wiedzieli, czy będzie żył, czy umrze.

Potem, w końcu otworzył oczy. I zaczął coś mówić, chociaż nie mieli pojęcia, o czym im opowiadał.

Przyszedł Nrana i zaczął się przysłuchiwać, ponieważ Nrana spośród nich najlepiej mówił i rozumiał język Ziemian. Był specjalnym protegowanym misjonarzy z Terry, którzy przez pewien czas wśród nich mieszkali.

Nrana słuchał przez pewien czas, ale potem pokręcił przecząco głową.

– Słowa – stwierdził, – słowa są z języka Ziemian, ale nic z nich nie rozumiem. Jego umysł nie jest w najlepszym stanie.

Stary Alwa odparł:

– *Aie*. Bądź blisko niego. Może kiedy jego ciało wyzdrowieje, jego słowa będą równie piękne jak Naszego-Ojca, który uczył nas w języku terrańskim o bogach i ich dobroci.

Tak więc dobrze się o niego troszczyli, a jego rany zaczęły zdrowieć, aż w końcu nadszedł dzień, w którym otworzył oczy i zobaczył przystojną niebieskoskórą twarz siedzącego koło niego Nrana. Nrana powiedział delikatnym tonem:

– Dzień dobry, panie Człowieku z Ziemi. Czuje się pan już lepiej, czy nie?

Nie było żadnej odpowiedzi i tylko głęboko zapadnięte oczy człowieka, leżącego na macie do spania, spoglądały na niego gniewnym wzrokiem. Nrana widział, że te oczy nie były jeszcze do końca normalne, ale widział również, że bijące z nich szaleństwo, nie było już takie samo jak przedtem. Nrana nie znał słów określających delirium i paranoję, ale potrafił dostrzec różnicę między nimi.

Ziemianin nie był już szalejącym maniakiem, a Nrana popełnił bardzo powszechny błąd, błąd często popełniany nawet przez bardziej cywilizowane istoty niż on. Myślał, że paranoja jest poprawą w stosunku do bardziej generalnego szaleństwa. Mówił więc dalej, mając nadzieję, że Ziemian również zaczną do niego mówić, i nie rozpoznał niebezpieczeństwa tkwiącego w jego milczeniu.

– Witamy pana, panie Ziemianinie – powiedział do niego, – i mamy nadzieję, że będzie pan chciał zamieszkać pośród nas, tak jak to zrobił Nasz-Ojciec, pan Gerhardt. Uczył nas w jaki sposób mamy czcić prawdziwych bogów w niebie. Jehowę, Jezusa oraz ich proroków, ludzi przybyłych z nieba. Nauczył nas modlić się i kochać swoich nieprzyjaciół.

Nrana ze smutkiem pokręcił głową.

– Ale wielu ludzi z naszego plemienia powróciło do starych bogów, okrutnych bogów. Oni mówią, że między przybyszami wybuchła wielka



wojna i na całej Wenus nie został żaden z nich. Mój ojciec Alwa i ja, cieszymy się, że przybył do nas kolejny. Będzie mógł pan pomóc tym z nas, którzy powrócili. Może pan nauczyć nas miłości i życzliwości.

Oczy dyktatora zamknęły się. Nrana nie wiedział, czy zasnął czy nie, ale cicho wstał, żeby wyjść z chaty. W wejściu odwrócił się jeszcze i powiedział:

– Modlimy się za pana.

A potem radośnie wybiegł z wioski, aby poszukać innych, którzy zbierali jagody bela na święto.

Kiedy, razem z kilkoma z nich, wrócił do wioski, Ziemiańin zniknął. Chata była pusta.

Na zewnątrz wioski, znaleźli w końcu ślad jego przejścia. Ruszyli nim i doprowadził ich on do strumienia, poszli dalej wzdłuż niego, dopóki nie dotarli do zielonej sadzawki, która była tabu. Nie mogli więc iść dalej.

– Poszedł w dół strumienia – odważnie stwierdził Alwa. – Szukał morza i plaży. Jego umysł musi więc być już zdrowy, ponieważ wiedział, że wszystkie strumienie prowadzą do morza.

– Może, tam na plaży, ma statek-latający-po-niebie – z troską powiedział Nrana. – Wszyscy Ziemiańie przybywają z nieba. Tak nam powiedział Nasz Ojciec.

– Może kiedyś do nas wróci – odparł Alwa. Oczy lekko mu powilgotniały.

---

Pan Smith wrócił do wioski szczęśliwie i dużo szybciej niż tubylcy śmieli mieć nadzieję. Prawdę mówiąc tak szybko, jak tylko był w stanie pokonać na piechotę trasę do baraku i z powrotem. Wrócił ubrany w zupełnie inne rzeczy, niż odzież noszona zazwyczaj przez innych białych ludzi. To jest, miał na sobie lśniące skórzane buty, mundur Straży Galaktycznej i szeroki skórzany pas, z kaburą na pistolet igłowy.

Jednak, kiedy o zmroku wkroczył na teren wioski, sam pistolet spoczywał w jego dłoni.

Oznajmił:

– Jestem Numerem Jeden, Panem całego Układu Słonecznego, i waszym władcą. Kto jest waszym wodzem?

Alwa był właśnie w swojej chacie, ale usłyszał wiadomość i wyszedł na dwór. Zrozumiał słowa, które przed chwilą padły, ale nie ich znaczenie. Odparł:

– Ziemianinie, witamy cię z powrotem. To ja jestem wodzem.

– Byłeś wodzem. Teraz będziesz służyć mnie. Wodzem będę ja.

W starych oczach Alwy, widać było silne oszołomienie dziwacznością tej całej sytuacji. Powiedział więc:

– Będę ci służył, dobrze. My wszyscy będziemy. Ale to nie jest przyjęte, aby Ziemianin miał być wodzem...

Szmer pistoletu igłowego. Pomarszczone dłonie Alwy przesunęły się na jego chudą szyję, gdzie, niemal na samym środku, nagle znalazła się malutka dziurka po ukłuciu igły. Po ciemnym błękanie jego skóry, spłynęła cienka stróżka czerwonej krwi. Kolana starego wodza ugięły się pod nim, kiedy uderzyła go fala trucizny z wystrzelonej igły, i upadł na ziemię. Pozostali podbiegli do niego.

– Z powrotem – powiedział pan Smith. – Niech umiera powoli, tak byście wszyscy dobrze widzieli, co się stanie...

Ale jedna z żon wodza, która nie rozumiała mowy Ziemi, już unosiła głowę Alwy. Ponownie zaszumiał pistolet igłowy i upadła na wznak, w poprzek niego.

– Jestem Numerem Jeden – ponownie powiedział pan Smith, – i panem wszystkich planet. Każdy, kto mi się sprzeciwi, umrze...

Wtedy jednak, nagle, wszyscy ruszyli w jego stronę. Nacisnął palcem na spust, i czterech z tubylców upadło, zanim lawina ich ciał powaliła go na ziemię i zupełnie przykryła. Nrana był pierwszy w tej fali, i Nrana zginął.

Pozostali związali Ziemianina i wrzucili go do jednej z chat. Potem, kiedy kobiety zaczęły łkać nad ciałami zmarłych, mężczyźni zebrali się na radę.

Wybrali na wodza Kallanę, który stanął przed nimi i oświadczył:

– Nasz-Ojciec, pan Gerhardt, oszukał nas. – W głosie Kallany słysząc było lęk i zmartwienie, a jego niebieska twarz była pełna troski. – Jeżeli to naprawdę ma być ten Pan, o którym nam opowiadał...

– On nie jest bogiem – sprzeciwił się inny. – To jest Ziemianin, ale kiedyś na Wenus było wielu, wielu takich jak on, którzy przybyli dawno temu z nieba. Teraz wszyscy oni są martwi, pozabijali się w walkach między sobą. To dobrze. Ten jest ostatnim z nich, ale jest szalony.

W ten sposób rozmawiali długo, i zmrok zmienił się w noc, zanim ustalili to co muszą zrobić. Blask płomieni ognisk połyskiwał na ich ciałach, a bębniści czekali w gotowości na koniec narady.

Problem był rzeczywiście trudny. Zrobienie krzywdy komuś, kto był szalony, stanowiło tabu. Jeżeli naprawdę był bogiem, to było jeszcze gorzej. Pioruny i błyskawice z nieba, mogłyby zniszczyć całą wioskę. A jednak nie śmieli go wypuścić. Nawet jeśli zabrali mu tę złą broń-która-z-szumem-wysyłała-śmierć, i zakopali ją głęboko pod ziemią, to mógł znaleźć inne sposoby, aby im zaszkodzić. Mógł mieć jeszcze inną broń, tam skąd przyniósł tę pierwszą.

Tak, to był trudny problem, ale w końcu najstarszy i najmądrzejszy z nich, M'Ganne, znalazł odpowiedź.

– O, Kallano – powiedział, – oddajmy go *kifom*. Jeżeli one wyrządzą mu krzywdę... – stara twarz M'Ganne wykrzywiła się w bezzębny, pozbawiony wesołości uśmiechu, – ... to spadnie to na ich głowy, a nie na nasze.

Kallana wzdrygnął się.

– To przecież najstraszliwszy ze wszystkich rodzajów śmierci. A jeżeli on jest bogiem...

– Jeżeli on jest bogiem, to *kify* nie zrobią mu krzywdy. Jeżeli jest szaleńcem, a nie bogiem, to nie my go skrzywdzimy. Przywiązanie człowieka do drzewa, nie jest przecież dla niego żadną krzywdą.

Kallana długo się zastanawiał, ponieważ chodziło tu o bezpieczeństwo jego ludzi. Zastanawiając się, przypomniał sobie również śmierć Alwy i Nrany.

W końcu powiedział:

– To prawda.

Czekający bębniści zaczęli wybijać rytm zakończenia rady, a ci z mężczyzn, którzy byli młodzi i szybcy, zapalili pochodnie od ognisk i wyruszyli do lasu, żeby szukać *kifów*, nadal pozostających w porze marszu przez dżunglę.

Po pewnym czasie, znalazłszy to czego szukali, wrócili do wioski.

Zabrali potem ze sobą Ziemiannina, i przywiązali go do drzewa. Tam zostawili go, kneblując mu usta, ponieważ nie chcieli słyszeć jego wrzasków, kiedy nadejdą *kify*.

Szmata, która stanowiła knebel, oczywiście także zostanie zjedzona, ale do tego czasu nie pozostanie już pod nią żadnego ciała, które mogłoby wydawać z siebie wrzaski.

Zostawili go, i wrócili do wioski, a bębny podjęły rytm przebłagania bogów za to, co właśnie zrobili. Ponieważ, jak dobrze o tym wiedzieli, znaleźli się bardzo blisko granicy złamania tabu -- ale powód był ważny i, jak mieli nadzieję, nie zostaną za to w żaden sposób ukarani.

Bębny dudniły przez całą noc.

Przywiązany do drzewa człowiek zmagał się z krępującymi go sznurami, ale były one za mocne i jego szarpanina spowodowała tylko silniejsze zaciśnięcie się węzłów.

Oczy przyzwyczały się mu do ciemności.

Próbował wykrzyknąć:

– Jestem Numerem Jeden, Panem wszystkich...

A potem, ponieważ nie był w stanie krzyknąć, nie mógł również uwolnić się, pojawiły się szczeliny w pancerzu jego szaleństwa. Przypomniawszy sobie, kim jest i wszystkie stare demony nienawiści i goryczy, zwały się na niego ponownie.

Pamiętał również to, co się stało wcześniej we wiosce, i zastanawiał się, dlaczego wenusjańscy tubylcy go nie zabili. Dlaczego, zamiast tego, przywiązali go tutaj i zostawili samego w ciemności dżungli.

Z oddali dobiegało dudnienie bębnow, które brzmiały jak bicie serca nocy, a towarzyszył mu głośniejszy, bliższy odgłos pulsowania krwi w jego uszach, w miarę jak ogarniał go coraz silniejszy strach.

Strach, ponieważ już wiedział, dlaczego go tutaj przywiązali. Straszliwy, płaczący myśli lęk, ponieważ po raz ostatni, maszerowała przeciwko niemu armia.

Miał czas, aby posmakować tego strachu dogłębnie, w najwyższym stopniu, aby stał się on pełzającą pewnością, która wślizgnęła się do najczarniejszych zakątków jego duszy, tak jak żołnierze zbliżającej się armii mieli wślizgnąć się do jego uszu i nozdrzy, podczas gdy w tej samej chwili inni będą wyjadać jego powieki, aby dostać się do znajdujących się za nimi oczu.

Wtedy, i dopiero wtedy, usłyszał dźwięk brzmiący jak szelest suchych liści, w wilgotnej, czarnej dżungli, gdzie nie było żadnych suchych liści, które mogłyby szeleścić, ani wiatru mogącego nimi poruszać.

Straszne było w tym, że Numer Jeden, ostatni z dyktatorów, nie zwariował ponownie, a przynajmniej nie do końca, tylko śmiał się, i śmiał, i śmiał...

## Sztuczka ze sznurem

(Rope Trick)

Pan George Darnell, wraz z małżonką, udali się w podróż poślubną dookoła świata. Nadmienić należy, że była to ich *druga* podróż poślubna, która rozpoczęła się w dniu dwudziestej rocznicy ślubu. W trakcie pierwszej po-

dróży poślubnej, George był już po trzydziestce, zaś Alice miała lat dwadzieścia parę.

Teraz, jako rycząca czterdziestka (określenie to równie dobrze stosuje się do kobiet, jak i do mężczyzn), Alice Darnell była bardzo, bardzo rozczarowana, tym co się wydarzyło – bo też, żeby być bardziej precyzyjnym, nie wydarzyło się *nic* – podczas pierwszych trzech tygodni ich drugiej podróży poślubnej. Naprawdę, słowo honoru, nie wydarzyło się nic, absolutnie nic.

Dopóki nie dotarli do Kalkuty.

Pewnym wczesnym popołudniem, zarejestrowali się tam w hotelu, i po lekkim odświeżeniu się, zdecydowali się na spacer, chcąc obejrzeć tak dużo miasta, jak tylko się uda, w trakcie jednego dnia i nocy, jakie planowali tutaj spędzić.

Dotarli na bazar.

I zaczęli oglądać hinduskiego fakira, wykonującego indyjską sztuczkę z unoszącym się w powietrzu sznurem. Nie jakąś tam skomplikowaną i spektakularną jej wersję, w której na sznur wspina się chłopiec i... – no cóż, wiadomo przecież jak wygląda indyjska sztuczka z unoszącym się sznurem, wykonywana w pełnej wersji.

To była wersja bardzo uproszczona. Fakir z krótkim zwojem sznura, leżącym przed nim na ziemi, grał w kółko kilka prostych nut na swoim flecie – i stopniowo, w miarę jak to robił, koniec sznura zaczynał unosić się w powietrzu, aż w końcu zawisał cały wyprostowany w pionie.

To nasunęło Alice Darnell genialny pomysł – chociaż nie wspomniała o nim George'owi. Wróciła razem z nim do pokoju w hotelu i poczekała aż uśnie – jak zawsze, o 9-tej.

Potem po cichutku wyślizgnęła się z pokoju, a następnie z hotelu. Znalazła taksówkarza oraz tłumacza i wróciła, razem z nimi, na bazar aby znaleźć fakira.

Korzystając z pomocy tłumacza, udało jej się kupić od fakira flet, na którym, jak słyszała, grał, i wykupić u niego lekcję gry na nim, tak by potrafiła zagrać tych kilka powtarzających się nut, powodujących unoszenie się sznurka.

Potem wróciła do pokoju w hotelu. Jej mąż, George, zdrowo sobie spał – zresztą tak jak zawsze.

Stojąc koło łóżka, Alice bardzo delikatnie zaczęła grać na flecie prostą melodię.

W kółko, raz za razem.

I kiedy tak grała, prześcieradło, którym był przykryty, leżący na wznak mąż, zaczęło się nad nim – stopniowo – unosić, w „namiocik”.

Kiedy uniosło się już na dostateczną wysokość, rzuciła flet na podłogę i z okrzykiem radości, zerwała z niego prześcieradło.

A tam w powietrzu wisiły sobie pionowo sznurki od spodenek jego piżamy!

## Ziemiańskie przynoszący dary

(Earthmen Bearing Gifts)

*Mars miał wiele rzeczy do oferowania, a Ziemia mogła wiele dać w rewanżu...  
jeżeli uda się zorganizować dostawę.*



Dhar Ry siedział samotnie w swoim pokoju, medytując. Od strony drzwi wejściowych dotarła do niego fala myślowa, równoważna pukaniu, i, spoglądając na drzwi, wyraził życzenie, aby się otworzyły.

Otworzyły się.

– Wejdź, przyjacielu – powiedział.

Mógłby co prawda wysłać tę kwestię telepatycznie, ale jeżeli obecne były tylko dwie osoby, użycie mowy było bardziej uprzejme.

Ejon Khee wszedł do środka.

– Długo siedzisz dzisiejszego wieczora, przywódco – powiedział.

– Tak, Khee. Za niecałą godzinę ma wylądować rakieta z Ziemi, i chciałem ją zobaczyć. Tak, wiem, że wyląduje ona tysiąc mil stąd, jeżeli ich obliczenia są poprawne. Poza horyzontem. Ale nawet gdyby lądowały dwa razy dalej, rozbłysk eksplozji atomowej, powinien być dobrze widoczny. A ja od tak dawna czekałem na pierwszy kontakt. Nawet pomimo tego, że w tej rakiecie nie będzie żadnego Ziemianina, to jednak ciągle będzie to pierwszy kontakt -- przynajmniej dla nich. Oczywiście nasze zespoły telepatów odczytywały ich myśli już od wielu stuleci, ale... mimo wszystko będzie to pierwszy *fizyczny* kontakt pomiędzy Marsem i Ziemią.

Khee rozsiadł się swobodnie na jednym z niskich krzesel.

– To prawda – przyznał. – Chociaż nie śledziłem zbyt dokładnie ostatnich doniesień. Dlaczego oni używają głowicy atomowej? Wiem, że wydaje im się, że nasza planeta jest niezamieszкана, ale jednak...

– Będą obserwować rozbłysk przez swoje teleskopy księżycowe i używają... jak to oni nazywają? – analizę spektroskopową. To powie im więcej, niż wiedzą obecnie (albo raczej myślą, że wiedzą; większość z tego jest błędne) na temat atmosfery naszej planety i składu jej powierzchni. To jest... nazwijmy to strzałem rozpoznawczym, Khee. Pojawia się tu osobiście w przeciągu kilku kolejnych opozycji. A wtedy...

Cały Mars trzymał się tylko, czekając na przybycie Ziemi. Właściwie, dokładniej mówiąc, to co pozostało z Marsa -- to jedyne małe miasteczko, liczące około dziewięciu setek istnień. Cywilizacja Marsa była starsza, niż ta istniejąca na Ziemi, i wymierała. To było wszystko co z niej pozostało: jedno miasto, dziewięciuset ludzi. Czekali aż Ziemia nawiąże kontakt z dwóch powodów: jeden egoistyczny, drugi bezinteresowny.

---

Cywilizacja marsjańska rozwinęła się w zupełnie innym kierunku, niż ziemska. Nie pozyskała żadnej istotnej wiedzy na temat nauk fizycznych, ani technologii. Ale rozwinęła nauki społeczne do takiego punktu, że na Marsie od pięćdziesięciu tysięcy lat nie było ani jednej zbrodni, nie mówiąc już o wojnie. A ponadto cywilizacja ta w pełni opanowała nauki parapsychologiczne i wiedzę o umyśle, którą Ziemia dopiero zaczęła odkrywać.

Mars mógł nauczyć Ziemię wielu rzeczy. W jaki sposób zlikwidować zbrodnie i wojnę, żeby od czegoś rozpocząć. Poza tymi prostymi rzeczami była jeszcze telepatia, telekineza, empatia...

A Ziemia mogła, jak miał nadzieję Mars, nauczyć ich czegoś nawet bardziej wartościowego: jak, przy pomocy nauki i technologii -- które było już za późno, aby dzisiejszy Mars mógł zdobyć samodzielnie, nawet gdyby Marsjanie mieli umysły takiego typu, że pozwalałyby im one rozwijać tego rodzaju wiedzę -- uczynić ponownie zdatną do życia ich umierającą planetę, tak by ginąca rasa mogła przeżyć i ponownie się rozmnożyć.

Każda z planet znacznie by zyskiwała i nic nie traciła.

I właśnie dzisiaj przypadała noc, kiedy Ziemia miała wykonać swój pierwszy strzał rozpoznawczy. Następny ruch, rakietą z Ziemianami na pokładzie, a przynajmniej chociaż z jednym Ziemianinem, powinien zostać wykonany w trakcie następnej opozycji, czyli za dwa lata ziemskie, albo

mniej więcej cztery lata marsjańskie. Marsjanie wiedzieli to, ponieważ ich zespoły telepatów zdołały wyłapać przynajmniej część myśli Ziemiaków, wystarczająco dużo, aby poznać ich plany. Niestety, na tę odległość, połączenie było jednostronne. Mars nie mógł więc poprosić Ziemi, aby przyspieszyła swój program. Albo przekazać informacje ziemskim naukowcom na temat atmosfery i składu Marsa, które uczyniłyby ten wstępny strzał zbędnym.

Dzisiejszego wieczora Ry, przywódca (jak niemal dokładnie można przetłumaczyć to marsjańskie słowo) i Khee, jego asystent administracyjny i najbliższy przyjaciel, siedzieli razem i medytowali, dopóki nie zbliżył się czas tego wydarzenia. Potem wypili toast za przyszłość -- przy pomocy napitku opartego na mentolu, który odnosił taki sam efekt w przypadku Marsjan, co alkohol u Ziemiaków -- a następnie weszli na dach budynku, w którym siedzieli. Spoglądali na północ, gdzie powinna wylądować rakietka. Gwiazdy świeciły wspaniale przez atmosferę, równo, nie migocząc.

---

W obserwatorium Nr 1 na ziemskim Księżycu, Rog Everett, trzymając oko przy okularze teleskopu obserwacyjnego, tryumfalnie oznajmił:

– Wybuchła doskonale, Willie. A teraz, jak tylko wywołamy filmy, dowiemy się mnóstwa rzeczy na temat Marsa, tej starej planety.

Wyprostował się -- teraz nie było już nic więcej do oglądania -- i wraz z Willim Sangerem, uroczyście uścisnęli sobie dłonie. To była historyczna chwila.

– Mam nadzieję, że nikogo nie zabiliśmy. To jest, żadnych Marsjan. Rog, czy trafiliśmy dokładnie w samo centrum Syrtis Maior?

– Niemal idealnie. Powiedziałbym, że może było to jakieś tysiąc mil od celu, na południe. A to diabelnie blisko, jak na strzał z odległości pięćdziesięciu milionów mil. Willi, czy naprawdę sądzisz, że istnieją jacyś Marsjanie?

Willie pomyślał przez chwilę, a potem odpowiedział:

– Nie.

I miał rację.

## Koniec

(The End)

Profesor Jones przez wiele lat pracował nad teorią czasu.

— W końcu sformułowałem kluczowe równanie — oświadczył pewnego dnia córce. — Czas to pole. Maszyna, którą skonstruowałem może tym polem manipulować, a nawet je odwrócić.

Kontynuował, a w trakcie swojej przemowy nacisnął przycisk.

— To powinno spowodować, że czas zacznie biec do tyłu do biec zacznie czas że, spowodować powinno to.

Przycisk nacisnął przemowy swojej trakcie w a, kontynuował.

— Odwrócić je nawet a, manipulować polem tym może skonstruowałem którą, maszyna. Pole to czas — córce dnia pewnego oświadczył. — Równanie kluczowe sformułowałem końcu w.

Czasu teorią nad pracował lat wiele przez Jones profesor.

---

## Zakończenie

(Recessional)

Król, mój senior lenny, jest człowiekiem zniechęconym. Rozumiemy sytuację i nie winimy go za to, ponieważ wojna była długa i zacięta, i tak patetycznie mało nas pozostało, a jednak wolelibyśmy, żeby było inaczej. Współczujemy mu, z powodu straty Królowej, my również ją kochaliśmy – ale ponieważ Królowa Czarnych zginęła razem z nią, jej utrata wcale nie musi oznaczać przegranej wojny. Tymczasem nasz Król, który powinien być dla nas oparciem, uśmiecha się słabo zaś jego słowa mające wzbudzić we wszystkich odwagę, brzmią w naszych uszach fałszywie, jako że wyraźnie

słyszemy w nich półtony lęku i porażki. Tym niemniej kochamy go i umieramy dla niego jeden po drugim.

Po kolei umieramy w jego obronie, tutaj na tym krwawym polu goryczy, tratowani na miazgę przez rycerskie Konie – przynajmniej dopóki jeszcze żyły; teraz są już martwe, zarówno nasze jak i Czarnych – i kiedyż będzie koniec tego, zwycięstwo?

Możemy mieć tylko naszą wiarę oraz nadzieję, że nigdy nie staniemy się cynnikami i heretykami, tak jak mój biedny towarzysz, Goniec Tibault. „Walczyliśmy i umieramy nie wiedząc dlaczego” — szepnął do mnie kiedyś, we wcześniejszej fazie wojny, gdy staliśmy ramie w ramie broniąc naszego Króla, podczas gdy zaciekle bitwa szalała na przeciwległym krańcu pola walki.

Ale to był dopiero początek jego herezji. Przestał wierzyć w Boga i zaczął wyznawać wiarę w bogów, bogów rozgrywających przy naszej pomocy grę i nie traktujących nas jako osoby. Gorzej, wierzył, że nasze ruchy nie pochodzą od nas, że jesteśmy tylko marionetkami walczącymi w bezsensownej wojnie. Jeszcze gorzej – i cóż to za absurd! – że Biel niekoniecznie oznacza dobro, zaś Czerń niekoniecznie jest zła, że w skali kosmicznej nie ma znaczenia kto wygra tę wojnę!

Oczywiście, jego słowa były tylko dla mnie i wygłaszał je wyłącznie szeptem. Znał swoje obowiązki jako goniec. Walczył odważnie. I umarł również odważnie, tego wielkiego dnia, przeszyty lancą rycerza na Czarnym Koniu. Modliłem się za niego: *Boże, przyjmij jego duszę i pozwól mu spocząć w pokoju; on nie wiedział co mówi.*

Bez wiary jesteśmy niczym. Jak Tibault mógł tak błądzić? Białe muszą wygrać. Zwycięstwo jest jedyną rzeczą, która może nas ocalić. Jeżeli nie zwyciężymy, nasi polegli towarzysze, ci którzy oddali życie na polu walki za to, abyśmy my mogli żyć dalej, umarliby na próżno. *Et tu, Tibaulcie.*

A ty się myliłeś, jak bardzo się myliłeś. Bóg istnieje, i jest tak wielki, że wybaczy ci twoją herezję, ponieważ nie było w tobie zła, Tibaulcie, tylko wątpliwości – nie, zwątpienie jest błędem ale nie jest złem.

Bez wiary jesteśmy nicz...

Ale coś właśnie się dzieje!

Nasza Wieża, która na Początku stała po stronie Królowej, uderzyła na złego Czarnego Króla, naszego wroga. Ten złoczyńca został zaatakowany – i nie może uciec! Zwyciężyliśmy! Zwyciężyliśmy!

Potężny głos na niebie oznajmia spokojnie: „Szach i mat”

Wygraliśmy! Wojna, to pole pełne goryczy, to wszystko nie było jednak na próżno. Tibault, myliłeś się, myliłeś...

Jednak, co się dzieje teraz? Sama Ziemia się pochyła, jedna strona pola bitwy unosi się, a my zaczynamy się ześlizgiwać – jednakowo Białe i Czarne – do...

... do monstrualnego pudełka i widzę, że to jest nasz wspólny masowy grób, w którym leżą polegli już wcześniej...

TO JEST NIESPRAWIEDLIWE; PRZECIEŻ WYGRALIŚMY! BOŻE, CZYŻBY TIBAUT MIAŁ RACJĘ? TO NIESŁUSZNE; MY WYGRALIŚMY!

*Król, mój lenny senior, także ześlizguje się po kwadratach...*

TO NIESPRAWIEDLIWE; TO NIESŁUSZNE; TO NIE...

## Opowieść o handlarzu żywym towarem

("Tale of the Flesh Monger", wt. "Ten Percenter")

Jestem śmiertelnie przerażony. Wcale nie dlatego, że jutro przypada ten wielki dzień, w którym już od dawna mam zarezerwowaną wizytę za niewielkimi zielonymi drzwiczkami, aby dowiedzieć się jak pachną opary cyjanku. To naprawdę wcale nie o to chodzi. Ja chcę umrzeć. Ale...

Wszystko zaczęło się kiedy spotkałem Roscoe'a, ale zanim do tego przejdę, pozwólcie mi proszę, że przedstawię krótki zarys tego, co się działo p.e.R. – przed erą Roscoe'a.

Byłem młodym człowiekiem, rozsądnie przystojnym, nieco w typie twardziela, dosyć inteligentnym i całkiem nieźle wykształconym. No i wtedy nazywałem się Bill Wheeler. Byłem potencjalnym aktorem telewizyjnym lub filmowym, który próbował przez pięć lat gdzieś się załapać, i nie miał nawet szansy na rolę w lokalnej reklamówce, nie mówiąc już czymś takim jak statystowanie w filmie klasy B. Zarabiałem na życie pracując na wieczornej zmianie od szóstej po południu do drugiej rano, sprzedając hamburgery w barze dla kierowców, w Santa Monica.

Zmiany w zakresie mojego szczęścia, rozpoczęły się pewnego wieczora o szóstej, zaraz po godzinie o której powinienem zameldować się w pracy w barze dla zmotoryzowanych, gdyby nie to, że akurat miałem wolny dzień i



szedłem sobie po Olympic Boulevard, w pobliżu Fourth Street w Santa Monica. Znalazłem wtedy portfel. Zawierał on co prawda zaledwie trzydzieści pięć dolarów w gotówce, ale w środku były także Diner's Club, Carte Blanche, International i inne karty kredytowe.

Udałem się do najbliższego baru na drinka – no i żeby trochę pomyśleć. Nigdy wcześniej nie zrobiłem jeszcze nic naprawdę nieuczciwego, ale zdecydowałem że to znalezisko mogło oznaczać największą noc mego życia, jak również jego punkt zwrotny.

Zdawałem sobie sprawę, że korzystanie z kart nie będzie bezpieczne przez nieskończenie długi szmat czasu, ale z pewnością najbliższa noc nie niosła ze sobą żadnego ryzyka w tym zakresie. Dałoby mi to doskonałą kolację, drinki, luksusowy hotel, panienki na telefon, pełen zakres usług. (Tak, wiem że panienki nie przyjmują kart kredytowych, ale mogłem wykorzystać karty do spieniężenia czeków za cokolwiek się da w jakimś miejscu, no i wpaść w tyle miejsc, w ile tylko dam radę.)

Nawet bez specjalnego szczęścia, zebrałbym na koniec całkiem niezłą sumkę. Ostatnim punktem programu byłoby użycie karty kredytowej do opłacenia samolotu odlatującego rankiem z tego miejsca beznadziei, aby zacząć wszystko gdzieś indziej, jak też robiąc coś innego. Miałem ochotę spróbować wszystkiego, poza aktorstwem.

Zacząłem więc, prosząc barmana o wezwanie dla mnie przez telefon taksówki. Pojechałem do swojego pokoju. Tam, przez pół godziny ćwiczyłem podpis na kartach, aż w końcu byłem w stanie dokładnie go skopiować, nie patrząc na niego. Pakując się, zadzwoniłem po kolejną taksówkę i kiedy podjechała, byłem gotów. Powiedziałem kierowcy, aby zawiózł mnie do najbliższej agencji wynajmu samochodów.

Wypożyczyłem sobie Chryslera, mówiąc facetowi od wynajmu, tak jak planowałem to powiedzieć tej nocy jeszcze całej masie ludzi, że zabrakło mi

gotówki, i gdyby miał pod ręką jakiś wolny blankiet czekowy, byłbym bardzo wdzięczny za spieniężenie dla mnie czeku. Oczywiście oprócz kart miałem jeszcze wiele innych dokumentów potwierdzających tożsamość, choćby prawo jazdy na nazwisko odpowiadające temu na karcie. Spieniężyłem dla mnie czek na pięćdziesiąt dolarów, i w ten sposób postawiłem pierwsze kroki na ścieżce swojej przestępczej kariery.

Zacząłem robić się głodny, pojechałem więc Wilshire do Hollywood, przekazałem samochód obsłudze parkingu przy restauracji Derby i wszedłem do środka. Wszystkie stoliki były zajęte, a maitre d'hotel poinformował mnie, że będę musiał poczekać piętnaście do dwudziestu minut. Powiedziałem mu, że odpowiada mi to, oraz że znajdzie mnie w barze.

Zająłem jedyny wolny stółek przy barze, siadając koło niewielkiego energicznego człowieczka z gęstą, ale uporządkowaną grzywą niemal śnieżnobiałych włosów, i małym eleganckim siwym wąsikiem. Jego różowa i gładka jak u dziecka skóra wskazywała, że musiał być znacznie młodszy niż mogłoby się to wydawać na podstawie bieli jego włosów i wąsów. Ewidentnie był w barze dopiero od minuty, czy dwóch, ponieważ nie stał jeszcze przed nim żaden drink.

Zasadniczo, to barman nas sobie przedstawił. Zakładając, że jesteśmy razem, przyjął i zrealizował nasze zamówienia wspólnie, pytając czy chcemy jeden rachunek, czy dwa oddzielne. Energiczny człowieczek uprzedził mnie o krok, ponieważ miałem właśnie zamiar zaproponować dokładnie to samo, zwracając się do mnie i pytając, czy wyrządzą mi ten zaszczyt i wypiję swojego drinka razem z nim i na jego koszt. Podziękowałem mu i przyjąłem zaproszenie; chwyciliśmy za szklaneczki i zatopiliśmy się w rozmowie.

Polubiłem go od razu, a i on zdawał się polubić mnie. Niemal natychmiast, bez żadnych formalnych prezentacji, przeszliśmy na ty. Powiedział mi, że ma na imię Roscoe. Ja zaś kazałem mu mówić na mnie Jerry, ponie-

waż J. było pierwszym inicjałem J. R. Burgera, właściciela kart kredytowych; już wcześniej zdecydowałem, że jeśli Roscoe jeszcze nie jadł kolacji, prawdopodobnie zaproszę go aby zjadł ze mną. W tych okolicznościach dwie kolacje nie kosztowałyby mnie przecież ani grosza więcej niż jedna.

Już po chwili w naszej rozmowie wypłynął temat filmów. Tak, powiedział mi, jest w przemyśle. Chwilowo, nie aktywnie, ale ma inwestycje w kilku niezależnych produkcjach filmowych i dwóch show telewizyjnych.

Nagle zorientowałem się, że opowiadam mu całą gorzką prawdę o swojej porażce, ale w dziwny sposób, w ogóle nie mówiłem o tym z goryczą, tylko lekko, sprawiając że wszystko brzmiało jakby zabawnie. Rozkręciłem się właśnie w najlepsze, kiedy pojawił się kelner i spytał czy to ja czekam na wolny stół. Powiedziałem, że tak i zaprosiłem Roscoe'a aby był moim gościem. On zaś, propozycję przyjął.

Zamówiliśmy, a potem w trakcie jedzenia ciężar rozmowy spadł przede wszystkim na mnie. Oczywiście, musiałem zmienić zakończenie swojej historii, z powodu mojej obecnej względnej prosperity, ale to nie było zbyt trudne; po prostu wymyśliłem niewielki spadek po wujku.

Kelner pojawił się ponownie i odszedł, zostawiając rachunek dla nas. Odwróciłem go, aby dodać suty napiwek, a potem położyłem na nim kartę kredytową. Byłem zadowolony, że Roscoe nie próbował rozpoczynać dyskusji na temat zapłacenia go, czy nawet podzielenia. Chciałem podbudować swoją wiarygodność, aby sprawdzić później, czy nie uda mi się spieniężyć jakiegoś czeku. I, przede wszystkim dla podtrzymania konwersacji, wspominałem Roscoe, że zabrakło mi pieniędzy, oraz czy nie ma jakiegoś pojęcia, na jaką kwotę czek zgodziłoby się dla mnie spieniężyć Derby.

— Stary, a po co im tym zawracać głowę? — spytał. — Zawsze mam przy sobie trochę gotówki. Czy pięć setek wystarczy?

Próbowałem nie okazywać nadmiernej radości, kiedy oznajmiłem mu, że wystarczy. Od restauracji miałem nadzieję, na uzyskanie co najwyżej niewielkiej części tej kwoty; pewnie coś by tam zaryzykowali, na kartę kredytową klienta, ale nie byłoby tego zbyt wiele. Kiedy pojawił się kelner, żeby zabrać rachunek i kartę, poprosiłem go o przyniesienie czystego blankietu czekowego, co też uczynił. Kiedy wpisałem na górze nazwę banku i resztę danych niezbędnych do wypłaty gotówki, Roscoe wyciągnął plik banknotów, spiętych złotym spinaczem do pieniędzy. Wydawało się, że ma tam same setki, co najmniej kilkanaście. Odliczył dla mnie pięć.

Oddał mi je, a ja wręczyłem mu czek. Popatrzył na niego, i brwi lekko mu się uniosły.

— Jerry — powiedział, — i tak zamierzałem zaprosić cię do siebie do domu, żeby trochę porozmawiać, ale teraz są po temu podwójne powody. Wygląda na to, że nosimy to samo nazwisko. Albo może jakimś cudem znalazłeś portfel, który zgubiłem dzisiejszego popołudnia w Santa Monica?

Boże, Boże, Boże, tak, wiedziałem, że to musi być coś więcej niż zwykłe zrządzenie losu – nie mogło być inaczej w mieście o rozmiarach Los Angeles – ale co innego mogłem wtedy sobie pomyśleć? Nie mógł nawet za mną pojechać do Derby; był tu przecież przede mną.

Przez jedną szaloną chwilę rozważałem nawet pomysł, żeby wziąć nogi za pas i wiać – pomimo wszystko, nie znał przecież mojego prawdziwego nazwiska, i gdybym tylko zdołał się stąd wyrwać, byłbym bezpieczny. Ale jeżeli zacząłbym uciekać, a on by krzyknął: „Łapać złodzieja!”, to ogromna horda kelnerów miała całkiem spore szanse powstrzymać mnie, albo dogonić.

Mówił dalej, spokojnym tonem:

— Inicjały J. R. oznaczają Joshua Roscoe; wolę aby nazywano mnie Roscoe. A teraz, nie bądź idiotą. Może będę miał dla ciebie pewną interesującą propozycję. Gotów?

Poszedłem za nim i, oczywiście, to był zbieg okoliczności, że tuż koło strefy dostawczej stał samochód policyjny z dwoma gliniarzami w środku. Dał portierowi dolca – takie drobne trzymał luzem w kieszeni, a w spinaczu tylko grube banknoty – i poprosił o wezwanie taksówki. Prawie już otwierałem usta, żeby powiedzieć, że mam tutaj na miejscu samochód, ale zdecydowałem się zamknąć gębę i zobaczyć jak to wszystko potoczy się dalej.

Wsiedliśmy do taksówki, a on podał adres przy La Cienega. Po drodze nic nie mówił, a ja zająłem się rachunkami w myśli. Stać mnie było na zapłacenie mu, mniej więcej tyle, ile było trzeba. To znaczy z moich własnych dwudziestu pięciu dolców, jakie miałem. Rachunek w restauracji wynosił, z napiwkiem, dwanaście dolców. A jeśli zaraz odprowadziłbym Chryslera, byłoby na nim do zapłacenia tylko mniej więcej dwadzieścia mil i jakieś dwie-trzy godziny. Mógłbym również użyć tych samych pięćdziesięciu dolców jakie dostałem za lipny czek, do wykupienia go z powrotem. Gdyby tylko mi na to pozwolił, mógłbym wyprostować wszystkie sprawy i w ten sposób rozwiązać problem.

Taksówka zatrzymała się przed bogato wyglądającym apartamentowcem. Czy to był zbieg okoliczności, że kolejny samochód policyjny akurat parkował po drugiej stronie ulicy? W każdym bądź razie, już wcześniej zdecydowałem się go wysłuchać, a potem wykonać swój własny ruch, zaś próbować dać drapaką tylko wtedy, jeśli wszystko inne by zawiodło.

Wjechaliśmy samoobsługową windą na czwarte piętro, gdzie mój gospodarz użył klucza i wprowadził nas do dużego pokoju w bardzo przyjemnym kawalerskim mieszkanku. Sześć pokoi, jak się dowiedziałem później,

ale żadnej służby, ponieważ cenił sobie prywatność. Gestem ręki wskazał mi sofę i podszedł do stojącego w kącie barku.

— Brandy?

Skinąłem głową, a potem zacząłem mówić, przedstawiając swoją propozycję co do zwrotu kosztów, podczas gdy on nalał brandy do dwóch koniakówek. Podszedł i podał mi jedną z nich.

— Oszczędź mi tych paskudnych szczegółów, Jerr... Och, czy to jest twoje prawdziwe imię, czy tylko wymyśliłeś je, aby pasowało do pierwszego inicjału na kartach?

— Nazywam się Bill — powiedziałem. — William Trent. — Nie miałem zamiaru podawać mu prawdziwego nazwiska, zanim nie uznam, że to bezpieczne, ale nic nie traciłem, wyjawiając mu swoje imię.

Z zadowoleniem przyjąłem, że usiadł twarzą do mnie, na krześle, a nie obok na sofie.

— Słabo się wyróżnia — stwierdził. — Z tymi twoimi rudawymi włosami... a co byś powiedział na Bricka? Brick Brannon. Podoba ci się?

Skinąłem głową. Nawet mi pasowało, a poza tym mógł mnie sobie nazywać, jak mu się żywnie podoba, dopóki nie wzywał gliniarzy.

— No to, twoje zdrowie, Brick — powiedział, unosząc kieliszek. — A teraz ta historia, którą mi opowiedziałeś. Jak dużo z tego jest prawdą?

— Każde słowo — odparłem, — jeśli tylko zastąpisz spadek po wujku znalezionym portfelem.

Odstawił kieliszek, wstał i przemierzył pokój podchodząc do niewielkiego biurka, z szuflady którego wyciągnął powieloną na mimeografie kopię scenariusza. Idąc z powrotem, znalazł w scenariuszu jakieś miejsce i podał mi go otwartego na tej stronie.

— Czytaj partię Philippe, przez następne półtorej strony. To twardy, niepiśmienny drwal, akcent Canuck. Bardzo kocha swoją żonę, ale w tej

scenie kłótni, rzuca się na nią z wściekłością. Przeczytaj to najpierw sobie po cichu, a potem spróbuj na głos. W miejscu jej kwestii, po prostu rób krótkie przerwy.

Przeczytałem to sobie po cichu, a następnie spróbowałem zagrać. Kazał mi przerzucić kilkanaście stron, żeby znaleźć następną scenę i odczytać rolę drugiej postaci, a potem trzeciej, za każdym razem wprowadzając mnie krótko w to kim ona była, jak mówiła, oraz jakie były jej związki z innymi osobami.

Kiedy skończyłem czytanie trzeciej partii, skinął głową i kazał mi odłożyć manuskrypt, a wziąć kieliszek z brandy.

Leniwie pociągnął łyczek ze swego kieliszka.

— No dobrze — oznajmił. — Jesteś naprawdę aktorem. Po prostu nie udało ci się przebić. Mogę zrobić z ciebie gwiazdę, jeśli tylko pozwolisz, abym został twoim menedżerem.

— Żadnych haczyków? — spytałem, zastanawiając się, czy nie upadł na głowę.

— Dziesięć procent — powiedział. — Ale to będzie od wszystkiego – i pod stołem. Widzisz Bill, ja nie jestem akredytowanym agentem, a ty będziesz musiał zatrudnić jednego z nich i płacić mu kolejne dziesięć procent, tak żeby zajmował się szczegółami, podpisywaniem kontraktów, i tak dalej. Wszystko co będę robił ja, będzie odbywało się zakulisowo, nieoficjalnie.

Odparłem:

— Jeśli o mnie chodzi, to świetnie, ale jak do tej pory nie udało mi się znaleźć żadnego szanowanego agenta, który chciałby mnie reprezentować. I co mam z tym zrobić?

— Ja się tym zajmę. Będziesz musiał mu także płacić dziesięć procent od wszystkiego, ponieważ on nie będzie wiedział – nikt nie będzie wiedział – o twoich związkach ze mną. Jego dziesięć procent, będziesz mógł sobie nor-

malnie odliczyć od podatku, ale moich nie, ponieważ to nie będzie rejestrowane. Zgoda?

— Świetnie — powiedziałem ponownie, i naprawdę tak myślałem. — Jakieś inne warunki?

— Tylko jeden. Ponieważ niczego nie będziemy mieli na papierze, będę polegał na twoim honorze, że nie pozwolisz abym cię wypromował, a potem mnie nie odstawisz. Określmy więc, jak to będziemy dokładnie rozumieć.

— Każdy z nas może anulować umowę w czasie pierwszego roku jej trwania. Ale jeśli za ten rok – przy moich zakulisowych działaniach – twoje przychody brutto wyniosą dwadzieścia pięć tysięcy dolarów lub więcej, wtedy umowa między nami stanie się trwała i nieodwołalna. Zgoda?

— Zgoda — oświadczyłem. Przez całe swoje życie nie zarobiłem na aktorstwie nawet stu dolarów; dwadzieścia pięć tysięcy wydawało się kwotą zupełnie niemożliwą.

Nawet jeśli był on szalony, to nie miałem nic do stracenia, a poza tym oznaczało to, że nie każe mnie aresztować. Co przypomniało mi całą sprawę i wyciągnąłem portfel. Zacząłem:

— A teraz, co do zwrotu kosztów...

Westchnął.

— No dobrze — stwierdził. — Nie cierpię szczegółów, a więc pozbadźmy się już ich wreszcie. Opowiedz mi wszystko co się działo, od czasu kiedy znalazłeś portfel.

Zrobiłem to i położyłem rzeczony portfel na stole.

Wziął go, opróżnił ze wszystkich pieniędzy i schował do kieszeni.

— A więc — podliczył. — Pięćset trzydzieści pięć dolarów z tego jest moje. Zatrzymaj to jako pożyczkę; oddasz mi za jakiś miesiąc lub dwa. Zwróć wypożyczony samochód i wykup z powrotem czek na pięćdziesiąt



dolarów. Zapomnijmy o rachunku, który podpisałeś moim nazwiskiem w Derby; ja stawiam tę kolację.

— Jeszcze dzisiejszej nocy wynajmij sobie pokój albo mieszkanie w Hollywood. Ten garnitur który masz na sobie, nie jest zły, ale jeśli to jest najlepsze co masz, to jutro kup sobie coś lepszego i wszystkie akcesoria, jakich potrzebujesz. Och, i jeszcze czarną skórzaną kurtkę motocyklową i jeansy, chyba że przypadkiem masz już coś takiego.

— Kurtkę motocyklową? — spytałem. — Po co?

— Nieważne, po co. Poczekaj. — Wyciągnął zwitek spiętych pieniędzy, policzył ile studolarowych banknotów w nim zostało, odliczył osiem z nich i wręczył mi je. — Będziesz mi winien kolejnych osiem setek. Kup sobie z tego samochód; będziesz potrzebować czegoś, żeby się poruszać po mieście. Będziesz musiał jeździć do Universal City, Culver City – przemysł nie jest skupiony tylko w Hollywood. Wydadaj z tego może jakieś pięć setek na coś używanego. Wymienisz go na nowy samochód w ciągu paru najbliższych miesięcy.

— Co jeszcze? Och, czy Bill Trent to było twoje prawdziwe nazwisko?

— Bill Wheeler.

— Było. Teraz nazywasz się Brick Brannon. I to już byłoby wszystko, pamiętaj tylko, żeby zadzwonić do mnie jutro, wczesnym popołudniem. Mój numer znajdziesz w książce. — Uśmiechnął się szeroko. — I nie zapomnij jak się nazywasz, ponieważ ostatnio często ci się zdarza to zmieniać.

Wypełniłem instrukcje i następnego dnia zadzwoniłem do Roscoe'a.

— Zdeterminowany z ciebie koleś, mój drogi — przywitał mnie. — Czy znasz agenta, który nazywa się Ray Ramspaugh?

— Znam go — powiedziałem. I zrobiłem to z respektem. Był to największy z działających solo agentów, największy i najlepszy. Pracował jedynie z

paroma własnoręcznie wybranymi klientami. Nigdy nie marzyłem nawet o próbie spotkania się z nim.

— Masz z nim umówione spotkanie na drugą. Bądź na nim.

Dotarłem do biura Ramspaugha przy South Vernon Drive, dokładnie o czasie i nie musiałem czekać nawet minuty. Jego sekretarka wpuściła mnie natychmiast do środka.

Bez słowa wstępu przeszedł do sprawy. Oznajmił:

— Roscoe twierdzi, że jesteś dobry, a ja ufam jego opinii. Oto twój kontrakt, gotowy do podpisu. To standardowy kontrakt, ale przeczytaj go, zanim podpiszesz. Zajmij się tym w sekretariacie, a ja w tym czasie mam kilka telefonów do wykonania.

Kontrakt był drukowany i podpisałbym go na wiarę, ale najwidoczniej chciał się mnie pozbyć z biura, na czas kiedy będzie rozmawiał przez telefon, tak więc zabrałem dokumenty do biura sekretarki, przeczytałem je, nawet części wydrukowane drobną czcionką, a następnie podpisałem. Sekretarka połączyła się z nim przez interkom i powiedziała mi, że gotów jest aby się ze mną znowu zobaczyć i mam wejść z powrotem do gabinetu, co natychmiast zrobiłem.

Oznajmił mi:

— Myślę, że mam coś pod ręką. Niewielka rzecz, ale na początek będziesz musiał wziąć parę małych, żeby wyrobić sobie trochę pozycję. Jednodcinkowa rola w nowym serialu, który zaczynają kręcić w Revue. Mieli ją obsadzoną, ale chłopak, którego zatrudnili dzisiaj rano rozbił się w wypadku samochodowym. Potrzebują cię na gwałt. Dasz radę pojawić się tam o trzeciej?

Skinąłem głową, oniemiały.

— Okay. Pytaj o Teda Crowthera. Och, oszczędzi ci trochę czasu, jeśli pojedziesz tam już przebrany. Będziesz grał twardego, młodego łobuza, jedne-

go z tych, co próbują zachowywać się jak Marlon Brando w „Dzikim”. Masz czarną skórzaną kurtkę i jeansy?

Przełknąłem ślinę i ponownie skinąłem głową.

— Przebierz się w nie po drodze. I lataj wysoko, słonko. Odniesiemy wielki sukces.

I to były już wszystkie trudności na drodze pierwszego przełomu w mojej karierze aktorskiej. Przez dłuższy czas byłem za bardzo zajęty, żeby się zastanawiać jak to było możliwe, że Roscoe już poprzedniej nocy wiedział, iż następnego dnia bardzo mi pomoże w szybkim starcie po moją pierwszą rolę, posiadanie czarnej, skórzanej kurtki motocyklowej, którą będę mógł natychmiast na siebie założyć. Zwłaszcza, że kiedy czynił tę sugestię, wypadek samochodowy, który wyłączył chłopaka zatrudnionego do tej roli, jeszcze się nie wydarzył.

Wydaje mi się jednak, że wiem dlaczego powiedział mi o tej kurtce. Poza przyjęciem mnie, od ręki i bez żadnych pytań, przez najlepszego agenta – co było cudem samo w sobie – działania Roscoe’a rzadko były widoczne. Wszystkie moje role pochodziły od Ramspaugha, i mógłbym sobie pomyśleć, że on i ja robimy wszystko sami. Tak więc przy tej pierwszej okazji Roscoe chciał, żebym zobaczył działanie jego ręki. Chciał od razu dać mi do myślenia.

Ale, jak powiedziałem wcześniej, nie miałem zbyt wiele czasu na myślenie, a już z pewnością za mało, aby się wystraszyć. Byłem za bardzo zajęty. Początkowo były to niewielkie rólki, czasami nawet tylko kawałki rólek, ale miałem ich tyle, ile tylko byłem w stanie zagrać. I do końca roku wyrabiałem sobie pozycję, albo raczej wyrobiłem sobie pozycję, do solidnych, ważnych ról drugoplanowych.

Tego roku zarobiłem nieco ponad pięćdziesiąt tysięcy brutto, dwa razy więcej niż kwota czyniąca moją umowę z Roscoe nieodwołalną, tak więc

stała się ona nieodwołalna. Po dwukrotnym potrąceniu dziesięciu procent, z których jedno mogłem odliczyć od podatku, a drugie nie, oraz samych podatków, ciągle miałem na czysto ponad pięćset dolców na tydzień; a także jaguara, naprawdę fajne ciuchy i bardzo sympatyczne mieszkanie.

W drugim roku podwoiłem to. To znaczy, podwoiłem swoje dochody netto do tysiąca tygodniowo, co oznaczało że wpadłem w wyższe progi podatkowe, tak więc dochody brutto powiększyłem znacznie więcej niż dwukrotnie. Kręciłem teraz coraz więcej ról drugoplanowych w filmach; moje nazwisko stało się całkiem nieźle znane, dzięki czemu pojawienia się w serialach telewizyjnych, stały się występami „guest star”, i zacząłem podłapywać główne role w serialach, w których każdy odcinek stanowił niezależną część, z różną obsadą.

W tym roku jednak, wydarzyło się coś, co przypomniało mi o zdolności przewidywania Roscoe’a, jeśli rzeczywiście było to coś takiego, i wskazywało na nowy aspekt w naszym związku, z którego nie zdawałem sobie sprawy, że on brał go pod uwagę.

To nie jest odcinek serialu telewizyjnego, ale muszę poczynić pewne wprowadzenie: spędziłem tydzień w Las Vegas, kręcąc tam film. Nie przepadam specjalnie za hazardem, jednakże pewnego wieczora stanąłem przy jednym ze stołów do gry w kości. Rozpoczynając od stawki stu dolarów, złapałem dobrą passę i wkrótce grałem już o maksymalne stawki, pięćset za rzut. Wygrałem sporo, bo nieco ponad dwadzieścia tysięcy, a potem zacząłem przegrywać. A kiedy wygrana spadła do jedenastu tysięcy, co ciągle jeszcze dawało mi piękny zysk w wysokości równiutkich dziesięciu patyków, wyszedłem z dalszej gry. Po powrocie spotkałem się z Roscoe, aby wręczyć mu część moich dochodów należną mu od czasu kiedy go ostatnio widziałem. Przeliczył pieniądze, a potem poprosił o dodatkowy tysiąc, przypominając mi o moich ekstra dziesięciu patykach, wygranych w Las

Vegas. Dałem mu go bez słowa sprzeciwu. Nie próbowałem przed nim ukryć tej kwoty. Po prostu nie zdawałem sobie sprawy z tego, że mówiąc dziesięć procent od wszystkiego, miał na myśli naprawdę wszystko.

Wróciliśmy do Las Vegas tydzień później, żeby nakręcić kilka dubli. Znowu pozwoliłem sobie na odrobinę hazardu i przegrałem cztery tysiące. Ale ponieważ tym razem nigdzie nie zaliczyłem dobrej passy, w żadnym z miejsc nie zostałem dłużej. Przewędrowałem cały Strip, odwiedzając po drodze kilkanaście kasyn. Nikogo ze mną nie było i niemożliwe było, aby ktoś znał łączną kwotę jaką straciłem. A jednak następnym razem kiedy zobaczyłem się z Roscoe, aby dać mu należne pieniądze, zwrócił mi z nich cztery setki. Przynajmniej sprawiedliwie; jeśli brał udział w moich zyskach, to dlaczego nie w stratach? Ale skąd on mógł o tym wiedzieć?

W każdym bądź razie, była to kolejna wskazówka co do tego jak on rozumie dziesięć procent wszystkiego. Ale naprawdę oszołamiającą otrzymałem, kiedy się ożeniłem. Tak, pewnie się tego domyślacie, ale muszę wyjaśnić o co chodzi.

Na początku trzeciego roku, podpisano ze mną kontrakt na moją pierwszą główną rolę w ważnym filmie, za pięć patyków na tydzień. Albo raczej na jedną z głównych ról; drugą grała piękna i obiecująca młoda aktorka Lorna Howard. Przed rozpoczęciem zdjęć, Lorna i ja byliśmy razem na spotkaniu roboczym w biurze producenta, któremu nagle przyszło coś do głowy.

— Posłuchajcie, dzieciaki — oznajmił. — To tylko pomysł, ale oboje jesteście wolni i samotni. Gdybyście wzięli ślub – oczywiście ze sobą – moglibyśmy zrobić na tym niezłą reklamę. Korzyść dla filmu, ale też dla waszych karier. — Wyszczrzył zęby w uśmiechu. — Byłoby to, oczywiście, tylko małżeństwo aranżowane.

Uniosłem brew, kierując to w stronę Lorny.

— A co pani na to? — spytałem ją.

Odpowiedziała mi również uniesieniem brwi.

— Zależałoby to, drogi panie, od tego co pan rozumie przez aranżowane. I wkrótce się pobraliśmy.

Lorna i ja nie byliśmy zakochani, ale była ona kobietą równie namiętną, jak piękną, tak że małżeństwo okazało się być nie tylko zaaranżowanym. Chwilowo przynosiło nam dużo radości, że mogliśmy być w stosunku do siebie swobodni moralnie, zaś ponieważ między nami nie było miłości, nie było również miejsca na zazdrość. Ja osobiście, nie wykorzystywałem tego układu, ale nie minęło dużo czasu, kiedy zdałem sobie sprawę, że najwidoczniej tak do końca jej nie wystarczałem, ponieważ miała romans na boku. Byłem niemal pewny, że przez dziesięć procent czasu, kiedy przypadkowo dowiedziałem się kim był jej kochanek.

Nie miałem podstaw moralnych, aby się skarżyć, ale to odebrało blask całej sprawie; ona to wyczuwała i z wolna dryfowaliśmy coraz dalej od siebie. Kiedy film się ukazał, wyjechała do Reno, żeby wziąć cichy rozwód. Nic mnie to nie kosztowało, nawiasem mówiąc; ona miała więcej oszczędności ode mnie i podobne dochody. Gdybym musiał zapłacić za rozwód, albo płacić jej alimenty, mam przeczucie, że otrzymałbym dziesięcioprocentową refundację od wszystkiego co by mnie to mogło kosztować.

Do tego czasu zdobyłem kontrakt na kolejną główną rolę, tym razem na naprawdę astronomiczną sumę, i nagle coś sobie uświadomiłem. Po przekroczeniu pewnego poziomu dochodu, zarabiając więcej, zacząłem tracić pieniądze. Większość ludzi nie zdaje sobie z tego sprawy, a ja z pewnością należałem do tej grupy, ale kiedy opodatkowana część twego dochodu przekroczy dwieście tysięcy na pojedynczego człowieka, musisz płacić dziewięćdziesiąt jeden procent kwoty powyżej tego progu, co pozostawia ci dziewięć procent – minus, oczywiście stanowy podatek dochodowy. A więc,

przy dziesięciu procentach mojego dochodu brutto, trafiających do Roscoe pod stołem i dlatego niepodlegających odliczeniu, za każdego dolara zarobianego ponad poziom dwustu tysięcy, traciłem pieniądze. Gdyby moje przychody w jednym roku kiedykolwiek przekroczyły pół miliona dolarów, splajtowałbym. Nigdy nie mogłem zostać czołową gwiazdą.

Ale wcale nie to doprowadziło mnie do decyzji o zabiciu Roscoe, jako jedyne go sposobu rozwiązania nierozwiązywalnej umowy. Nie byłem aż tak chciwy, zarówno jeśli chodzi o pieniądze, ani większą sławę, jeśli ich zdobycie miałyby nie przynieść mi zadowolenia. Tak jak wiele gwiazd przede mną, mógłbym kręcić tylko jeden film rocznie. Ramspaughowi by się to nie spodobało, ale mógłby to przeżyć.

Sprawę przesądził fakt, że zakochałem się. Nagle, kompletnie, bez pamięci, po raz pierwszy w życiu, i wiedziałem o tym że na zawsze. Ona nie była aktorką i nigdy nie chciała nią zostać; nazywała się Bessie Evans i była scenarzystką w Columbia. Już przy naszym pierwszym spotkaniu zakochała się we mnie równie mocno, jak ja w niej.

Roscoe musiał odejść. Chciałem więcej, niż tylko romansu z nią; chciałem ją poślubić na zawsze, a dopóki żył Roscoe, nie mogłem tego zrobić. Gdyby wziął sobie dziesięć procent tego małżeństwa, i tak musiałbym go zabić, a więc równie dobrze można było zrobić to wcześniej.

Oczywiście, nie mogłem wyjaśnić Bessie, dlaczego nasz ślub nie mógł się odbyć od razu; po prostu musiałem poprosić ją, aby mi zaufała, a ona to zrobiła. I podczas gdy ja snułem swoje plany zabicia Roscoe i uwolnienia się, ukryłem ją pod fałszywym nazwiskiem w niewielkim mieszkanku w Burbank. Odwiedzałem ją tak rzadko, jak tylko pozwalały na to nasze gorące uczucia i podjąłem najbardziej wyrafinowane środki bezpieczeństwa, aby nikt nie był w stanie za mną tam podążyć.

Nie będę wchodził w szczegóły swojego planu zabicia Roscoe'a. Wystarczy powiedzieć, że zdobyłem niemożliwą do wyśledzenia broń i klucz do jego apartamentu. Założyłem także na siebie doskonałe przebranie, tak że nawet gdyby mnie ktoś zobaczył w pobliżu jego apartamentowca, z pewnością nie byłby w stanie mnie rozpoznać, ani potem zidentyfikować.

Pewnego ranka, o godzinie trzeciej, użyłem tego klucza. Z bronią w ręku przemierzyłem po cichu salon i otworzyłem drzwi od sypialni. Z zewnątrz docierało na tyle dużo światła, abym mógł dojrzeć, jak nagle siada wyprostowany, na odgłos otwierających się drzwi. Wystrzeliłem sześć razy i po tych strzałach już nie siedział.

Miałem już natychmiast wyjść stamtąd, kiedy w nagłej ciszy, jaka zapadła po strzałach usłyszałem cichutki trzask zamykającego się okna, który wydawał się dobiegać z jego kuchni. Okna, które jak pamiętałem otwierało się na schody przeciwpożarowe.

Nagłe straszliwe podejrzenie spowodowało, że włączyłem w sypialni światło. Podejrzenie to okazało się uzasadnione. To nie Roscoe leżał sam w łóżku. To Bessie, w nim leżała, w tej chwili już sama. Dlaczego nigdy nie przyszło mi do głowy, że dziesięć procent wszystkiego, oznacza nie tylko pieniądze lub małżeństwo?

W pewnym sensie umarłem właśnie tam i w tamtej chwili. A w każdym razie zdecydowałem, że chcę umrzeć i gdyby w broni pozostał mi choć jeden nabój, pewnie strzeliłbym sobie w łeb. Zamiast tego, zadzwoniłem na policję. Do czasu zanim przybyli, doszedłem do wniosku, że równie dobrze mogę na nich zwalić wykonanie roboty, poprzez wsadzenie mnie do komory gazowej.

Nie powiedziałem nic policjantom, aby żaden prawnik, nawet wbrew mojej woli, nie użył mojej opowieści do udanej obrony pod pozorem niepo czytalności. Aby tego uniknąć, kiedy już dostałem adwokata i z nim poroz-



mawiałem, opowiedziałem mu stek kłamstw, które pozwoliły mu sądzić, że ma pełne podstawy do udanej obrony, skłaniając go w ten sposób do powołania mnie do zeznań. Potem, absolutnie celowo, pozwoliłem prokuratorowi na rozdarcie mnie na strzępy w ogniu krzyżowych pytań, tak by nie było żadnej wątpliwości co do skazania mnie na karę śmierci.

Roscoe zniknął z widoku i ciągle nie można go znaleźć. Ponieważ morderstwo wydarzyło się w jego apartamencie, policja chciała go odszukać, aby zadać mu parę pytań, ale nie potrzebowali go do mojego skazania, a więc nie szukali zbyt intensywnie.

Jednak, niezależnie od tego, gdzie się znajduje, umowa między nami jest „trwała i nieodwołalna”, i właśnie to mnie przeraża, tak bardzo przeraża, że nie spałem przez parę ostatnich nocy.

Co to znaczy dziesięć procent śmierci? Czy pozostanę w jednej dziesiątej żywy, w jednej dziesiątej świadomy, w szarościach wieczności? Wrócę do życia i będę cierpiał przez jeden dzień z każdych dziesięciu lub jeden rok z każdych dziesięciu – i w jakiej formie? Albo, jeśli Roscoe jest tym, kim zaczynam podejrzewać, to co on zrobi z dziesięcioma procentami mojej duszy?

Wiem tylko, że jutro się o tym wszystkim przekonam – i jestem przerażony.

## Pierścień Hansa Cavela

(The Ring of Hans Carvel)

Dawno, dawno temu żył we Francji zamożny lecz podstarzały jubiler, nazwiskiem Hans Carvel. Prócz tego, iż miłował wiedzę i odebrał staranne wykształcenie, był także sympatycznym człowiekiem. A także mężczyzną, który lubił kobiety, i chociaż nie żył w celibacie ani niczego mu nie brakowało, pozostał kawalerem aż do wieku... hm, nazwijmy go sąsiadującym z sześćdziesiątką, nie wspominając o tym, jak blisko i z której strony z nią sąsiadował.

W takich to latach będąc, zakochał się w córce bailifa\* — młodej oraz pięknej dziewczynie, żywej i pełnej werwy; godnej, by ją postawić przed królem.

Wkrótce też ożenił się z nią.

W ciągu sześciu tygodni szczęśliwego skądinąd małżeństwa, Hans Carvel zaczął podejrzewać, że jego młoda żona, nadal przez niego gorąco kochana, jest może troszkę nazbyt żywa i nieco zbyt pełna werwy. To, co mógł jej ofiarować — oprócz pieniędzy, których miał pod dostatkiem — mogło nie wystarczyć, aby ją zadowolić. Mogło nie wystarczać, powiedziałem? Nie wystarczało.

Zaczawszy ją podejrzewać, naturalną kolejną rzeczą nabrał następnie pewności, że uzupełniała ona swoje życie miłosne kilkoma — a może nawet wieloma — innymi i młodszymi od niego mężczyznami.

Dręczyło go to nieustannie. W rzeczy samej doprowadziło do takiego stanu, że miewał koszmary. Pewnej nocy w jednym ze snów rozmawiał z

diabłem, wyjaśniając mu swój problem i oferując tradycyjną zapłatę za coś — za cokolwiek — co zapewniłoby mu wierność żony.

Diabeł przystał ochno na ten układ, mówiąc Hansowi: „Dam ci magiczny pierścień. Znajdziesz go, kiedy się obudzisz. Gdy będziesz go nosił, twoja żona nie zdradzi cię bez twojej wiedzy czy przyzwolenia”.

Diabeł zniknął, a Hans Carvel się obudził.

Stwierdził, iż rzeczywiście ma na palcu jakiś pierścień — a więc to, co powiedział mu diabeł, było prawdą.

Jego młoda żona też się obudziła, poruszyła się i powiedziała do niego: — Hans, kochanie, nie palcem. Nie to się tam wkłada.

Przełożył Mirosław P. Jabłoński

---

## Wyrok

Charley Dalton, kiedyś kosmonauta ziemski, w ciągu godziny od chwili wylądowania na drugiej planecie układu gwiazdy Antares, popełnił przestępstwo najpoważniejsze z możliwych. Zabił Antarianina.

Na większości planet zabójstwo jest wykroczeniem. Na kilku jest czynem godnym pochwały. Lecz na Antares 11 jest wyjątkową zbrodnią.

- Skazuję cię na śmierć - powiedział z namaszczeniem antariański sędzia.  
- Na śmierć przez spalenie jutro o świcie.

Nie było odwołania od tego wyroku. Charley został zaprowadzony do pomieszczenia Skazańców. Pomieszczenie to składało się z osiemnastu pałacowych pokoi, z których każdy był obficie zaopatrzone w jedzenia, drinki, łoża i we wszystko inne, co tylko mógł sobie wymarzyć - łącznie z kobietami, spoczywającymi na każdym z tych łóżek. - A niech to wszyscy diabli! - westchnął Charley. Antariański strażnik skłonił się nisko i powiedział: - Jest to zwyczaj naszej planety. Wszystko co widzisz oddajemy na całą noc do dyspozycji tego, który ma być stracony o świcie. Daje się mu wszystko, co mógłby tylko zapragnąć.

- Nie ma co, warte zachodu - odparł Charley. - Posłuchaj, ledwie wylądowałem, od razu zostałem wciągnięty w bójkę, nie zdążywszy nawet sprawdzić mojego przewodnika planetarnego. Jak długa jest tu noc? To znaczy, ile godzin trwa obrót tej planety?

- Godzin? - zapytał strażnik. - To z pewnością jakiś ziemski termin. Zadzwoń do Królewskiego Astronoma, aby uzyskać porównanie czasów twojej i naszej planety.

Zadzwoił, zapytał i wyjaśnił Charleyowi Daltonowi:

- Twoja planeta Ziemia, wykonuje dziewięćdziesiąt trzy obroty wokół swej gwiazdy w czasie jednej nocy na Antares II. Nasza jedna noc jest więc równoważna waszym dziewięćdziesięciu trzem latom.

Charley gwizdnął cicho i zadumał się, czy podoła temu wszystkiemu. Antariański strażnik, którego czas życia wynosił nieco ponad dwadzieścia tysięcy lat ziemskich, skłonił się z grobowym współczuciem i wycofał się.

A Charley Dalton rozpoczął swoją nocną harówkę złożoną z jedzenia, picia itd.

Choć być może niezupełnie w tej kolejności...

Przełożył: Ryszard Z. Fiejtek

---

## Brednie

Pan Weatherwax z pieczołowitością smarował masłem grzanekę. Jego głos był stanowczy. - Moja droga - powiedział. - Chcę, aby było wreszcie zrozumiane, że w tym domu nie ma miejsca na takie tandetne lektury.

- Tak, Jason. Nie wiedziałam...

- Oczywiście, że nie wiedziałas. Lecz niestety to ty powinnaś wiedzieć, co czyta nasz syn.

- Będę pilnowała tego dokładniej, Jason. Nie widziałam, jak przyniósł ten magazyn. Nie wiedziałam, że jest tutaj.

- Ja również nie wiedziałem, dopóki go nie zobaczyłem, po tym jak przypadkowo przesunąłem jedną z poduszek na sofie. Ten periodyk był pod nią. Wziąłem go i przejrzałem.

Koniuszki wąsów pana Weatherwaxa zadrżały znacząco.

- Takie jakieś śmiechu warte pomysły, zupełnie niemożliwe, szalone koncepcje. Oczywiście: "Astounding Stories" ! [w latach 60-tych znany w USA magazyn literatury s-f]

Wypił łyk kawy, aby uspokoić się nieco.

- Zupełnie głupawy i absurdalny szmatławiec - stwierdził ze złością, - Podróże do innych galaktyk przez zakrzywienie przestrzeni, czy jak tam. Maszyny czasu, teleportacja, telekineza. Brednie, zwyczajny bełkot.

- Mój drogi - odparła żona, z ledwie wyczuwalnym odcieniem szorstkości w głosie. - Obiecuję ci, że od tej chwili będę baczniej pilnowała tego, co czyta Gerald. Bo zgadzam się z tobą całkowicie.

- Dziękuję, kochanie - rzekł pan Weatherwax, bardziej już uprzejmie. - Umysły młodych nie powinny być zatruwane takimi absurdalnymi wizjami.

Spojrzał na zegarek i stwierdził, że powinien się pośpieszyć.

Będąc na zewnątrz mieszkania wszedł do antygravitacyjnego szybu i z wysokości ponad dwustu pięter miękko spłynął na poziom uliczny, gdzie szybko złapał automatix.

- Luna-port - warknął do robota-kierowcy.

Usiadł z tyłu i zamknął oczy, aby złapać telepatyczny przekaz wiadomości. Miał nadzieję uzyskać informacje na temat Czwartej Wojny Marsjańskiej.

Niestety, przekazywano tylko codzienne wiadomości z Centrum Nieśmiertelności, przeto rozłączył się.

Przełożył: Ryszard Z. Fiejtek

## Zwariowana planeta

Nawet gdy człowiek już do tego przywyknie, zdarza się, że nerwy odmawiają posłuszeństwa. Choćby tego rana... Jeśli to w ogóle można nazwać ranem. Bo tak naprawdę to była noc. Ale cóż, na Placydzie posługujemy się czasem ziemskim, bo czas miejscowy byłby tak pomyłony jak wszystko na tej zwariowanej planecie. Najpierw mielibyśmy sześciogodzinny dzień, potem dwugodzinną noc, potem piętnastogodzinny dzień, potem jednogodzinną noc, potem... A, mniejsza z tym. Dość że niemożliwe jest zachowanie jakiegokolwiek rachuby czasu na planecie, która miota się jak oślepiiony nietoperz, krążąc po orbicie przypominającej kształtem ósemkę, dokoła dwu niejednakowych słońc, które z kolei wirują jedno dokoła drugiego tak szybko i stosunkowo tak niedaleko siebie, że

ziemscy astronomowie brali je za jedną gwiazdę aż do chwili, gdy przed dwudziestu laty wylądowała tu ekspedycja Blakesleya.

Rozumiecie, czas obrotu Placyda dokoła osi nie mieści się całkowitą liczbę razy w okresie jego obiegu po orbicie, a w połowie drogi pomiędzy dwoma słońcami znajduje się tak zwane pole Blakesleya, przestrzeń, w której promienie świetlne zmniejszają wielokrotnie swoją szybkość i pozostają w tyle, i... no... Jeśli nie czytaliście sprawozdania Blakesleya, chwycie się czegoś, zanim wam to powiem. Otóż Placyd jest jedyną znaną planetą, która sama sobie potrafi zaćmić obydwie słońca naraz, która co czterdzieści godzin pędzi na zderzenie z samą sobą, a potem samą siebie goni. Trudno wam się dziwić. Ja też w to nie wierzyłem i mało nie umarłem ze strachu, kiedy po raz pierwszy stanąłem na Placydzie i przyglądałem się, jak drugi identyczny Placyd pędzi nam naprzeciw i lada chwila nastąpi nieuniknione zderzenie. A przecież znałem sprawozdanie Blakesleya i wiedziałem, na czym polega zjawisko, którego jestem świadkiem. Mimo to doświadczyłem podobnych emocji jak widzowie pierwszych filmów, kiedy kamerę ustawiano przed nadjeżdżającym pociągiem i potem sala, widząc lokomotywę, która zaraz wpadnie w tłum, doznawała nieprzeparanej chęci ucieczki, chociaż każdy doskonale wiedział, że naprawdę nie ma przed nim żadnej lokomotywy.

Ale zacząłem od owego rana. Otóż siedziałem przy swoim biurku, na którym rosła bujna zielona trawa, a pod nogami miałem - tak mi się przynajmniej zdawało - falującą taflę wody. Tylko że ta woda wcale nie była mokra. W trawie na biurku stała różowa doniczka, z której wystawała wetknięta nosem jaskrawozielona saturnijska jaszczurka. To w każdym razie widziałem, bo rozsądek mówił mi, że jest to po prostu mój kałamarz i pióro. Obok leżała makatka z wyhaftowanym równiutko napisem: Boże, miej w opiece nasz dom! Naprawdę był to radiogram, który właśnie



nadszedł z Ziemskiego Centrum Eksploracji. Nie wiedziałem, o czym jest w nim mowa, gdyż przyszedłem do biura, kiedy znajdowaliśmy się już pod działaniem pola Blakesleya. Jednak wiedziałem oczywiście, że na pewno treści jego nie stanowią słowa: Boże, miej w opiece nasz dom, które odczytałem na makatce. Ale było mi w tej chwili najzupełniej obojętne, o czym naprawdę jest mowa w radiogramie. Byłem wściekły i miałem już tego wszystkiego powyżej czubka głowy.

Może jednak lepiej będzie, jak wyjaśnię wszystko od początku. Placyd przecina to tak zwane pole Blakesleya, leżące w połowie drogi między Argylem I i Argylem II, dwoma słońcami, dokoła których zatacza ósemki. Ma to jakieś swoje naukowe wyjaśnienie, ale nie sposób go podać samymi słowami, bez zastosowania formuł matematycznych. W skrócie jednak wszystko sprowadza się do tego, że Argyl I zbudowany jest z materii, a Argyl II z antymaterii i pomiędzy nimi rozciąga się owo dość znacznych rozmiarów pole, w którym promienie świetlne zwalniają mniej więcej do szybkości dźwięku i pozostają w tyle. Skutek jest taki, że jeśli jakieś ciało porusza się z szybkością większą niż dźwięk - a tak właśnie jest w wypadku Placyda - to obraz tego ciała staje się dostrzegalny dopiero wówczas, gdy ono samo dawno nas już minęło. Potrzeba całych dwudziestu sześciu godzin, ażeby obraz Placyda przebrnął przez pole Blakesleya. Przez ten czas prawdziwy Placyd zdążył już okrążyć jedno ze swoich słońc i w drodze powrotnej natyka się na swój własny obraz. W pewnym miejscu dwa obrazy poruszające się w dwu przeciwnych kierunkach znajdują się w takiej pozycji, że w polu pomiędzy nimi następuje zaćmienie obydwu słońc. Nieco dalej Placyd pędzi ku niechybnemu zderzeniu z samym sobą, przyprawiając o śmiertelne przerażenie każdego obserwatora, nawet jeśli jest on w pełni świadomy istoty zjawiska, które rozgrywa się przed jego oczyma. Poczekajcie, wytłumaczę wam to inaczej, jeśli jeszcze nie

dostaliście zawrotu głowy. Wyobraźcie sobie, że pędzi wam naprzeciw staroświecka lokomotywa, tyle tylko że porusza się z szybkością znacznie większą od szybkości dźwięku. Gdy jest od was w odległości mili, wydaje przeraźliwy gwizd. Ale dopiero kiedy was minie i zniknie, dopiero wówczas ten gwizd dobiegnie do was z tego miejsca oddalonego o milę, w którym lokomotywy nie ma już od świętej pamięci. Będzie to złudzenie słuchowe wywołane przez ciało poruszające się z szybkością większą od dźwięku. Otóż to, co wam przed chwilą opisałem, jest złudzeniem wzrokowym, wywołanym przez ciało niebieskie krążące po orbicie w kształcie ósemki z szybkością większą od własnego obrazu.

Ale to jeszcze nie jest najgorsze. Ostatecznie można się zamknąć w domu i w ten sposób uniknąć przykrych sensacji, jakich dostarczają zaćmienia i pozorne zderzenia. Ale nie da się uniknąć objawów psychofizycznych, jakie oddziaływanie pola Blakesleya wywołuje w organizmie ludzkim. Owe doznania psychofizyczne to znowu coś innego. Pole Blakesleya mianowicie działa jakoś zakłócająco na nerwy wzrokowe czy też na ośrodki mózgowy, z którymi te nerwy są połączone i trochę to przypomina działanie niektórych narkotyków. Dość że człowiek ma... niezupełnie można to nazwać halucynacjami, bo na ogół nie tyle widzi się przedmioty, których nie ma, ile przedmioty rzeczywiście istniejące, które przybierają złudne fantastyczne kształty.

Na przykład teraz. Zdawałem sobie doskonale sprawę, że biurko, przy którym siedzę, bynajmniej nie jest porośnięte trawą, lecz po prostu pokryte szkłem; że pod nogami mam zwykłą płytę z plastiplatu, a nie falującą tafłę wodną; że na biurku przede mną stoi nie różowa doniczka z saturnijską jaszczurką, tylko staro świecki dwudziesto wieczny kałamarz z wetkniętym piórem; i że makatka z napisem: Boże, miej w opiece nasz dom! jest radiogramem na zwykłym radiotypowym papierze. Mogłem się o tym

ponad wszelką wątpliwość przekonać za pomocą dotyku, gdyż pole Blakesleya oddziałuje tylko na zmysł wzroku.

Oczywiście, można po prostu zamknąć oczy. Ale normalnie nie robi się tego, bo nawet przy pełnym nasileniu zjawiska Blakesleya wzrok pozwala się jednak z grubsza rozeznąć w odległości i rozmiarach przedmiotów, a jeśli ponadto człowiek znajduje się w znajomym otoczeniu, pamięć i rozsądek powiedzą mu, co naprawdę ma przed oczami.

Tak więc kiedy drzwi się otwarły i stanął w nich potwór o dwóch głowach, wiedziałem, że jest to Reagan. Reagan nie jest potworem o dwóch głowach, ale poznałem go po krokach.

- No co, Reagan? - zagadnąłem.

- Szefie, hala maszyn drży w posadach - powiedział dwugłowy potwór. - Zdaje się, że będziemy musieli złamać przepisy i wziąć się do roboty, mimo że jesteśmy w polu Blakesleya.

- Ptaki?

Potwór kiwnął obydwoma głowami.

- Yhm. Latają i latają. Wygląda na to, że podziurawiły już fundamenty jak sito. Chyba trzeba je będzie znowu wzmocnić betonem. Jak pan myśli, te nowe pręty ze specjalnego stopu, które „Arka” ma przywieźć, pomogą, co?

- Jasne! - skłamałem. Zapomniałem na moment o działaniu pola Blakesleya i odwróciłem się, żeby spojrzeć na zegar. Ale w miejscu, gdzie powinien się znajdować, wisiał na ścianie wieniec pogrzebowy z białych lilii. - A już miałem nadzieję, że fundamenty wytrzymają, dopóki nie dostaniemy tych prętów. „Arka” powinna tu być lada chwila. Pewnie depczą nam po piętach i czekają tylko, żebyśmy wyszli z tego cholernego pola. Jak myślisz, nie moglibyśmy poczekać, aż tu...

Przerwał mi przeciągły łoskot.

- O, śmiało możemy poczekać - powiedział Reagan. - Hala maszyn już poszła, teraz nie mamy się już co spieszyć.

- Nie było nikogo w środku?

- Nie. Ale jeszcze sprawdzę.

Wybiegł.

Takie właśnie jest życie na tej planecie. Miałem już tego dość. Miałem już tego wszystkiego powyżej czubka głowy. Czekać na powrót Reagana, powziąłem postanowienie.

Zjawił się jako niebieskawy mówiący kościotrup.

- W porządku, szefie - zameldował. - Nie było nikogo w środku.

- Maszyny bardzo pogruchotane?

Roześmiał się.

- Co to można wiedzieć? Może pan potrafi odróżnić całą tokarkę od połamanej, jak pan widzi nadymanego konia w czerwone cętki? Bo ja nie. Wie pan, szefie, jak pan teraz wygląda?

- Nie waż mi się mówić, bo wylecisz z posady!

Sam nie wiem, czy powiedziałem to serio, czy nie. Ale w każdym razie nie ulega wątpliwości, że z moimi nerwami jest źle. Otworzyłem szufladę biurka, wrzuciłem makatkę z napisem Boże, miej w opiece nasz dom! i zatrzasnąłem szufladę z powrotem. O, dość tego! To zwariowana planeta ten cały Placyd i jak człowiek posiedzi tu za długo, sam gotów dostać pomieszania zmysłów. Co dziesiąty pracownik Ziemskiego Centrum Eksploracji po roku albo dwóch pobytu tutaj idzie na kurację do szpitala dla nerwowo chorych. A ja jestem na Placydzie już prawie trzy lata. Mój kontrakt dobiega końca. Zdecydowałem się.

- Reagan - powiedziałem.

Reagan właśnie ruszył ku drzwiom. Zatrzymał się.

- Co, szefie?

- Reagan - powtórzyłem. - Nadasz zaraz radiogram do Centrali. Niedługo, wszystkiego dwa słowa. Uważasz? „Zgłaszam rezygnację”.

- Dobra, szefie. - Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Poprawiłem się na krześle i zamknąłem oczy, żeby pomyśleć. Stało się. Jeśli nie pobiegnę zaraz za Reaganem i nie zatrzymam radiogramu, sprawa będzie nieodwołalnie przesądzona. Pod tym względem nie ma żartów z tymi w Centrali - tak w ogóle nie są małostkowi, ale jak już raz ktoś złoży prośbę o zwolnienie, nie ma mowy, żeby pozwolili się wycofać. To żelazna zasada i, trzeba przyznać, w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto słuszna, jeśli chodzi o służbę międzyplanetarną i międzygalaktyczną. W takiej służbie każdy musi pracować z całym zapalem, żeby była z niego pociecha, a jak tylko zacznie mieć jakieś zastrzeżenia, traci oczywiście zacięcie do pracy.

Wiedziałem, że już lada chwila powinniśmy wyjść z pola Blakesleya, ale wciąż jeszcze siedziałem z zamkniętymi oczami. Chciałem mieć pewność, że jak je otworzę i spojrzę na zegar, zobaczę zegar, a nie coś, w co mu się akurat spodoba przemienić. Siedziałem więc z zamkniętymi oczami i rozmyślałem.

Czułem lekką urazę do Reagana, że wiadomość o mojej rezygnacji nie wywarła na nim tak zupełnie żadnego wrażenia. Znaliśmy się już przecież od dziesięciu lat i mógłby chyba wyrazić przynajmniej ubolewanie, że odchodzę. Ma się rozumieć, jest całkiem prawdo podobne, że awansują go na moje stanowisko, ale nawet jeśli na to liczy, mógłby się zachować trochę bardziej dyplomatycznie... Mógłby przynajmniej... Och, przestań się już nad sobą rozczulać, powiedziałem sobie. Koniec z Placydem, koniec z Centrum Eksploracji, wrócisz na Ziemię, jak tylko cię zwolnią, poszukasz sobie zajęcia, zaangażujesz się pewnie znów jako belfer...

Swoją drogą, nie spodziewałem się tego po Reaganiu. Studiował u mnie w Terropolis, a potem, jak skończył politechnikę, to ja wystarałem mu się o tę posadę na Placydzie, doskonałą posadę dla takiego młodego człowieka - zastępca administratora planety o blisko tysiącu mieszkańców to nie byle co. Jeśli chodzi o ścisłość, to i ja mam wysokie stanowisko jak na swój wiek - skończyłem dopiero trzydzieści jeden lat. Tak, wspaniałe stanowisko, tylko że człowiek nawet domu nie jest w stanie postawić, bo zaraz wszystko się wali i... Och, skończyłbyś raz z tymi żałami, powiedziałem sobie. Sprawa jest przesądzona, wracasz na Ziemię do belferki. Zapomnij o tym, co było.

Nagle poczułem zmęczenie. Położyłem ręce na biurku, oparłem o nie głowę i zdrzemnąłem się.

Poderwałem się na odgłos kroków za drzwiami - nie były to kroki Reagana. Nasilenie pola Blakesleya musiało tymczasem zmaleć, bo ujrzałem nie żadnego potwora, lecz płomiennowłosą kobietę. Oczywiście, nie mogła to być naprawdę kobieta. Na Placydzie jest wprawdzie trochę kobiet, przeważnie żony członków personelu technicznego, ale...

- Nie poznaje mnie pan? - odezwała się przybyła.

Najwidoczniej była to jednak kobieta. Głos był ponad wszelką wątpliwość kobiecy - i bardzo przyjemny. Przy tym jakby skądś znajomy.

- Też pytanie... Jak mam poznać, kiedy znajdujemy się w polu...

Kącikiem oka dostrzegłem nagle zegar nad jej ramieniem, zegar, a nie wieniec pogrzebowy lub kukułcze gniazdo. Momentalnie zdałem sobie sprawę, że wszystko w pokoju ma normalny wygląd. A więc wyszliśmy już z pola Blakesleya i to, co widzę, jest rzeczywiste.

Popatrzyłem jeszcze raz na przybyłą. A więc to naprawdę rudowłosa kobieta, pojąłem. I nagle poznałem ją, chociaż zmieniła się, i to bardzo. Trzeba przyznać, że na lepsze, jakkolwiek Miguela Rez była bardzo ładną dziewczyną już wówczas, kiedy studiowała u mnie botanikę pozaziemską

na politechnice w Terropolis cztery... nie, pięć lat temu. Tak, już wówczas była bardzo ładna. Teraz zaś - piękna. Oszłamiająco piękna. Jak to możliwe, że dotychczas nie zaangażowano jej do telefilmu? A może i zaangażowano? Bo cóż tutaj ma do roboty? Musiała przed chwilą przybyć „Arką”, tylko... Nagle zdałem sobie sprawę, że gapię się na nią jak dureń. Poderwałem się tak gwałtownie, że o mały włos byłbym runął na biurko.

- Panna Rez! Oczywiście... że panią... poznaję... - jękałem się. - Niech pani siada. Jak pani się tutaj dostała? Zniesiono wreszcie ograniczenia i przyjechała pani do kogoś w odwiedziny, tak?

Roześmiała się i potrząsnęła głową.

- Nie, nie przyjechałam do nikogo w odwiedziny. Po prostu przeczytałam w gazecie, że Centrum poszukuje sekretarki technicznej dla pana, zgłosiłam się i zostałam zaangażowana. Oczywiście, jeśli pan nie będzie miał nic przeciwko temu. Przyjechałam na miesiąc na próbę.

- To wspaniale... - wydusiłem. Był to szczyt wstrzemięźliwości z mojej strony. Zabrałem się do rozwijania tej przykrótkiej wypowiedzi. - To cudownie...

Usłyszałem czyjeś chrząknięcie. Obejrzałem się. W drzwiach stał Reagan. Tym razem już nie potwór o dwóch głowach ani niebieski kościotrup. Po prostu Reagan.

- Przyszła odpowiedź na ten radiogram - powiedział.

Przeszedł przez pokój i położył ją na biurku. Spojrzałem. Załatwione. 19 sierpnia, przeczytałem. Przelotna, szalona nadzieja, że może jednak nie przyjmą mojej rezygnacji, runęła jak domy zwalane przez ptaki widgie. Odpowiedź była równie sucha jak prośba.

Dziewiętnastego sierpnia, a więc za następnym nawrotem „Arki”. No, no, naprawdę cenią czas - i mój, i swój. Za cztery dni!

- Uważałem, że pewno pan ciekaw odpowiedzi, co, szefie? - rzucił Reagan.

- Tak. - Łypnąłem na niego. - Dziękuję.

Więc jednak nie dostaniesz tego awansu, bratku, pomyślałem nie bez szczypty złośliwej radości; może nawet więcej niż szczypty. Na pewno daliby od razu znać, gdybyś miał objąć moje obowiązki. Widocznie przyślą kogoś najbliższym kursem „Arki”.

Ale nie powiedziałem tego na głos, ogłada towarzyska była we mnie mimo wszystko zbyt głęboko zakorzeniona. Powiedziałem tylko:

- Panno Miguelo, może pani pozwoli przedstawić sobie...

Popatrzyli na siebie i obydwójce wybuchnęli śmiechem. Przypomniałem sobie. Oczywiście, przecież Reagan i Miguela byli na tym samym roku politechniki w Terropolis; razem z nimi studiował również brat Miguela, Ignacio. Tyle tylko że nikt nie nazywał wówczas pary rudowłosych bliźniaków Miguelą i Ignaciem. Mówiło się o nich po prostu - Ig i Miga.

- Spotkaliśmy się z Migą, jak tylko wysiadła z „Arki”. - Reagan zdusił śmiech. - Wytłumaczyłem jej, gdzie ma pana szukać. Nie było pana na miejscu, gdy „Arka” wylądowała.

- Dziękuję. Przyszły te pręty wzmacniające?

- Chyba tak. Wylądowali jakieś skrzynie. Spieszyli się cholernie i już odlecieli. Chrząknąłem.

- No, to pójdę obejrzeć te pręty. Chciałem tylko, szefie, pokazać ten radiogram. Uważałem, że się pan ucieszy z dobrej wiadomości. - Reagan odwrócił się i wyszedł, odprowadzony moim złym spojrzeniem. A to judasz. A to...

- Chciałby pan pewnie, żebym się zaraz zabrała do pracy? - zapytała Miguela. Opanowałem się i uśmiechnąłem z wysiłkiem.



- Skądże znowu. Musi się pani najpierw trochę rozejrzeć. Zobaczyć, jak tutaj żyjemy, zaaklimatyzować się trochę na Placydzie. Chce pani, pójdziemy do miasteczka napić się czegoś?

- Pewnie.

Ruszyliśmy ścieżką w stronę niewielkiego skupiska domków. Wszystkie były małe, parterowe, jak pudełka.

- Przyjemnie tutaj... u was - powiedziała Miguela. - Czuję się tak lekko, zupełnie jakbym płynęła w powietrzu. Jaka tu właściwie jest siła ciężkości?

- Zero siedemdziesiąt cztery. To znaczy, jeśli na Ziemi ważyła pani... no, sześćdziesiąt kilo, to tutaj waży pani jakieś czterdzieści pięć. Nawiasem mówiąc, bardzo pani z tym do twarzy.

Roześmiała się.

- Och, panie profesorze! Dziękuję za komplement... Tylko że właściwie... nie jest pan już profesorem. Jest pan teraz moim szefem. Powinnam pewnie mówić: panie szefie.

- A nie wolałaby pani mówić mi po prostu Phil, panno Miguelo?

- Ale pod warunkiem, że pan będzie... że będziesz mnie nazywał Migą. Nie znoszę Migueli, tak samo jak Ig nie znosi Ignacia.

- A jak tam Ig?

- Dziękuję. Ma asystenturę na politechnice, ale nie bardzo mu to odpowiada. - Popatrzyła przed siebie, na zabudowania miasteczka. - Nie rozumiem, dlaczego budujecie tyle maleńkich domków zamiast postawić kilka większych?

- Dlatego że żywot budynku na Placydzie trwa przeciętnie jakieś trzy tygodnie. I nigdy nie wiadomo, kiedy który się zawali i czy akurat nie będzie kogoś wewnątrz. To nasz najpoważniejszy problem. Radzimy sobie w ten sposób, że budujemy domki możliwie małe i lekkie, z wyjątkiem fundamentów, które powinny być jak najsolidniejsze. Dzięki temu nikt

dotąd nie doznał poważniejszych obrażeń na skutek zawalenia się domku, ale... O, czujesz?

- Jakież drgania? Co to, trzęsienie ziemi?

- Nie. Stado ptaków.

- Stado ptaków?

Nie mogłem pohamować śmiechu na widok jej miny.

- Tak, zwariowana planeta ten nasz Placyd. Pamiętasz, przed chwilą powiedziałaś, że czujesz się tak lekko, jakbyś płynęła w powietrzu. W pewnym sensie tak jest naprawdę. Widzisz, Placyd to jedno z tych wyjątkowych ciał niebieskich, które oprócz normalnej materii zawierają materię ciężką. Materię o naruszonej strukturze molekularnej, tak ciężką, że nie uniosłabyś małego kamyczka o takiej konsystencji. Całe jądro Placyda jest uformowane z materii ciężkiej i dlatego właśnie taka mała planeta, o powierzchni wszystkiego dwa razy większej od powierzchni Manhattanu, ma siłę ciężkości równą mniej więcej trzem czwartym siły ciężkości Ziemi. W dodatku na owym ciężkim jądrze istnieją jakieś formy życia, życia zwierzęcego, pozbawionego inteligencji. Między innymi żyją tam ptaki o strukturze molekularnej podobnej do struktury jądra, tak gęstej, że normalną materię przemieszczając się równie łatwo jak my przez powietrze. Po prostu fruują w niej, tak jak ptaki ziemskie fruują w powietrzu. Z ich punktu widzenia my spacerujemy właśnie po powierzchni atmosfery Placyda.

- I to ich przelot powoduje drgania, od których zawalają się domy?

- I owszem, ale nie to jest jeszcze najgorsze... Dziurawią fundamenty, bez względu na to, z czego je robimy. Wszystkie materiały, jakimi rozporządzamy, to dla nich po prostu gaz. Przez żelazo czy stal przelatują z taką samą łatwością jak przez piasek albo glinę. Właśnie otrzymaliśmy z Ziemi transport jakiegoś specjalnie twardego stopu, no, te pręty, o które

pytałem Reagana... Ale jeśli mam być szczery, bardzo wątpię, czy to coś pomoże.

- A czy te ptaki nie są niebezpieczne? To znaczy, pomijając już to, że wywracają domy, czy nie zdarza się, że taki ptak z rozpędu wyleci z ziemi i wzbije się trochę w powietrze? I jak akurat napotka kogoś na swojej drodze, to po prostu przeleci przez niego?

- Tak, teoretycznie mogłoby się to zdarzyć. Ale się nie zdarza. Widzisz, one nigdy nie podlatują bliżej jak na parę cali do powierzchni gruntu. Muszą mieć jakiś zmysł, który je ostrzega, że zbliżają się do skraju swojej atmosfery. Coś takiego jak z nietoperzami. Wiesz naturalnie, że nietoperze potrafią latać w zupełnej ciemności i nigdy na nic nie wpadną.

- Tak, mają coś takiego jak radar.

- Zupełnie jak radar, tylko że posługują się falami dźwiękowymi, a nie radiowymi. Otóż ptaki widgie muszą mieć podobny zmysł, tylko wyczulony na inne niebezpieczeństwo: atmosferę Placyda, która jest dla nich czymś takim jak dla nas próżnia. Tak, są zbudowane z ciężkiej materii i nie mogłyby fruwać ani w ogóle żyć w powietrzu, tak jak ziemskie ptaki nie mogłyby żyć ani fruwać w próżni.

Byliśmy już w miasteczku. Kiedy usiedliśmy przy stoliku, każde z koktajlem w ręku, Miguela napomknęła o swoim bracie:

- Wiesz co, Phil? Ig ma już dosyć tego belfrowania na politechnice. Nie mógłbyś przypadkiem wystarać się dla niego o jakieś zajęcie na Placydzie?

- Już od dłuższego czasu molestuję Centralę o drugiego zastępcę. Jest masa roboty od czasu, jak powiększyliśmy obszar upraw. Reagan nie może sobie dać rady. Zobaczę...

Jej twarz rozpromieniła się z radości. A ja właśnie przypomniałem sobie, że przecież wszystko skończone. Złożyłem prośbę o zwolnienie i

moje rekomendacje znaczą dla tych w Centrali akurat tyle, co zdanie ptaka widgie. Dokończyłem niepewnie:

- Zobaczę... Może da się coś zrobić...

- Dziękuję, Phil.

Moja dłoń leżała obok kieliszka na stole i nagle poczułem na niej dłoń Migueli. Tak, wiem, jakie to banalne powiedzieć, że przeszedł po mnie jakby prąd elektryczny. Ale tak właśnie było. Wstrząs był nie tylko fizyczny, ale i psychiczny, bo w tym jednym krótkim momencie zdałem sobie sprawę, że jestem w niej zadurzony po uszy. Zwaliło się to na mnie bardziej niespodzianie, niż wałą się domy na Placydzie. Aż tchu mi zabrakło z wrażenia. Nie patrzyłem w twarz Migueli, ale sądząc po sposobie, w jaki ścisnęła na ułamek sekundy moją dłoń, a potem gwałtownym ruchem cofnęła rękę, jak gdyby dotknęła ognia, musiała i ona poczuć ten prąd.

Podniosłem się nieco chwiejnie i zaproponowałem, żebyśmy wracali. Cóż za idiotyczna sytuacja! Że też musiało to przyjść akurat teraz, kiedy złożyłem rezygnację i pozbawiony jestem jakiegokolwiek racji istnienia - materialnej i niematerialnej. Pan Bóg mi rozum odebrał i spaliłem za sobą wszystkie mosty. Tak, wszystkie mosty, bo nie byłem nawet pewien, czy przyjmą mnie gdzieś na belfra. Ziemskie Centrum Eksploracji jest najbardziej wpływową instytucją we wszechświecie i lubi wtykać nos we wszystko. Jeżeli wpiszą mnie na czarną listę, to... W drodze powrotnej pozostawiłem rozmowę trosce Migueli; sam miałem ciężki orzech do zgryzienia. Powinienem był powiedzieć jej całą prawdę, ale jakoś nie chciała mi przejść przez gardło.

Pomiędzy jedną monosylabiczną odpowiedzią a drugą próbowałem uporać się ze swoim problemem. Aż w końcu uległem. A może wyszedłem zwycięsko. Nie powiem jej. Dopiero przed samym przybyciem „Arki”... Aż do tego czasu będę udawał, że wszystko jest w porządku, że nic

nadzwyczajnego nie zaszło. Pozostawię sobie tę szansę, żeby się przekonać, czy Miguela żywi do mnie choć odrobinę cieplejszego uczucia. Pozostawię sobie tę ostatnią szansę. Cztery dni...

Dopiero wtedy, dopiero jeżeli w ciągu tych czterech dni okaże się, że Miguela żywi dla mnie podobne uczucia jak ja dla niej, powiem jej, jakim byłem durniem, i powiem, że pragnąłbym... że całym sercem pragnę... Nie, nie pozwolę jej wrócić ze sobą na Ziemię, nawet jeśli będzie chciała, nie pozwolę jej wrócić, dopóki nie zacznie mi świecić przynajmniej jakaś nadzieja. Mogę jej powiedzieć tylko tyle, że kiedy dopracuję się z powrotem jakiegoś stanowiska... W końcu mam przecież dopiero trzydzieści jeden lat i mogę...

Coś w tym guście.

W biurze czekał na mnie Reagan zły jak osa.

- Te bałwany z Wydziału Zaopatrzenia znowu wszystko pokiełbasiły! - wybuchnął. - Te skrzynie, w których miały być pręty wzmacniające...

- No, co te skrzynie?

- A, nic. Są po prostu puste. Coś musiało nawalić w maszynach, które pakowały, a te jołopy nawet nie raczyły tego zauważyć.

- Jesteś pewny, że właśnie w tych skrzyniach miały być pręty wzmacniające?

- Pewnie, że jestem. Wszystko inne przyszło. Zresztą i według specyfikacji w tych skrzyniach powinny być pręty stalowe.

Przesunął palcami po zmierzwionych włosach i to, jeszcze bardziej niż zwykle, upodobniło go do szkockie go teriera.

Skrzywiłem się.

- A może to niewidzialna stal?

- Tak, niewidzialna, niewyczuwalna dotykiem i pozbawiona ciężaru. Mogę wysłać radiogram w tej sprawie?

- Rób, co chcesz. Albo nie, poczekaj tutaj chwilę. Pokażę tylko Migueli, gdzie może się rozgościć, i zaraz wracam. Chcę z tobą porozmawiać. Zaprowadziłem Miguelę do najlepszego z wolnych domków w pobliżu głównej siedziby filii Centrum. Podziękowała mi jeszcze raz za to, że obiecałem pomyśleć o Igu. Wracając do biura czułem, że upadłem niżej, aniżeli fruwią ptaki widgie.

- No co, szefie? - zagadnął mnie Reagan.

- A propos tego radiogramu do Centrali - skrzywiłem się. - Tego, który kazałem ci wysłać dziś rano. Nie chcę, żebyś o nim mówił Migueli. Zachichotał cichutko.

- Chce jej pan sam powiedzieć, co? Dobra, trzymam buzię na kłódkę.

- Zaczynam teraz żałować, że go w ogóle wysyłałem - dorzuciłem z krzywym uśmiechem.

- Co? Ja tam się bardzo cieszę. To był taaaki pomysł.

Ruszył do drzwi. Całym wysiłkiem woli opanowałem się, żeby czymś za nim nie cisnąć.

Następnego dnia był wtorek, jeśli to ma jakieś znaczenie. Upamiętnił mi się jako dzień, w którym rozwiązałem jeden z dwóch podstawowych problemów Placyda. Ironia losu: dokonać tego w takim właśnie momencie, co? Dyktowałem akurat jakieś dane dotyczące rozwoju naszych kultur roślinnych. Aha, zapomniałem powiedzieć. Znaczenie Placyda we wszechświecie polega oczywiście na tym, że odkryto na nim pewne rośliny, które nie przyjmują się nigdzie indziej, a okazały się bardzo ważnym surowcem farmaceutycznym. Dyktowanie szło opornie, bo przede mną siedziała z ołówkiem w ręku Miguela i trudno mi się było skupić. Miguela uparła się, że rozpocznie pracę zaraz następnego dnia po przyjeździe.

I nagle, jak grom z jasnego nieba, moją oczadziałą głowę rozjaśnił ten pomysł. Przerwałem dyktowanie i zadzwoniłem po Reagana.

- Słuchaj, Reagan - powiedziałem, kiedy się zjawił. - Zamówisz zaraz pięć tysięcy ampułek asymilatora J-17. Niech się z tym pospieszą.

- Ależ, szefie, nie pamięta pan? Jużemy go próbowali. Myśleliśmy, że uchroni nas przed wpływem pola Blakesleya, ale okazało się, że nie działa na nerwy wzrokowe. Nie zapobiegał złudzeniom. Owszem, J-17 jest doskonały, jeśli chodzi o przystosowanie organizmu do niskich albo wysokich temperatur, albo...

- ...albo do krótszych czy dłuższych okresów snu i czuwania - wpadłem mu w słowo. - O to właśnie chodzi, Reagan. Posłuchaj. Placyd krąży dookoła dwóch słońc i ma tak krótkie i nieregularne okresy dnia i nocy, że nigdy nie braliśmy ich poważnie. Zgadza się?

- Jasne, ale co to ma...

- Posłuchaj. Ponieważ na Placydzie nie ma żadnego logicznego następstwa dnia i nocy, zrobiliśmy się niewolnikami słońca tak odległego, że nie można go stąd dostrzec. Posługujemy się dobą dwudziesto czterogodzinną, a przegapiliśmy fakt, że w pole Blakesleya wchodzimy regularnie co dwadzieścia godzin. A przecież za pomocą asymilatora możemy się przystosować do doby dwudziestogodzinnej - sześć godzin snu, czternaście czuwania. W ten sposób każdy będzie mógł szczęśliwie przespać okres, kiedy wzrok płata człowiekowi figle. Będziemy sobie spali w szczelnie zaciemnionych pokojach, żeby nic nie widzieć, nawet jak się przypadkiem obudzimy. Po prostu, będzie więcej krótszych dni w roku i ludzie przestaną nam wariować. Powiedz mi, co w tym nielogicznego? Na twarzy Reagana malowało się zdumienie i zaskoczenie. Palnął się głośno otwartą dłońią w czoło.

- Takie proste, że aż trudno w to uwierzyć - powiedział. - Takie diabło proste, że tylko geniusz mógł na to wpaść. I pomyśleć, że człowiek tu od dwóch lat powoli wariuje, a rozwiązanie ma pod samym nosem, tylko że nie

potrafi go dostrzec. Idę wysłać radiogram. - Ruszył do drzwi, ale zaraz zawrócił. - A jak zabezpieczyć fundamenty? Szybko, niech pan odpowie, póki jest pan w transie.

Roześmiałem się.

- Może za pomocą tych twoich niewidzialnych prętów? - odparłem.

- Wolne żarty - mruknął i zamknął za sobą drzwi.

Następnego dnia była środa. Machnąłem ręką na wszystkie zajęcia i wybrałem się z Miguelą na wycieczkę dokoła Placyda. Obejść Placyd to miła całodzienna wycieczka. Byłaby jeszcze rozkoszniejsza, gdyby nie myśl, że pozostał mi tylko jeden dzień z nią. W piątek koniec świata. Jutro „Arka” opuści Ziemię z ładunkiem J-17, który ma rozwiązać jeden z naszych najcięższych problemów, i - i z kimś, kogo Centrala wyznaczyła na moje miejsce. Wyjdzie z podprzestrzeni w bezpiecznej odległości od układu bliźniaczych Argylów, po czym włączy napęd rakietowy. W piątek będzie tutaj... i zabierze mnie z powrotem na Ziemię. Ale o tym starałem się nie myśleć.

Udawało mi się to aż do momentu, kiedy znaleźliśmy się z powrotem na terenie Centrum. Reagan powitał nas uśmiechem, który dzielił jego dobrze znajomą gębę na dwie horyzontalne połówki.

- Gratuluję, szefie - powiedział.

- Dziękuję. A można wiedzieć czego?

- Znalazł pan sposób zabezpieczenia budynków przed ptakami. Drugi problem rozwiązany.

- Tak?

- Tak. Prawda, Miga?

- Ależ on tylko żartował - Miguela miała minę równie głupią jak ja. - Kazał ci użyć tych niewidzialnych prętów, które przysły w pustych skrzynkach.



Reagan znowu pokazał wszystkie zęby w szerokim uśmiechu.

- Tylko mu się wydawało, że żartuje. Tego właśnie będziemy odtąd używać.

Niczego. Widzi pan, szefie, to było takie proste, że nigdy nam nie przyszło do głowy. Dopiero jak pan mi wczoraj powiedział, żeby użyć tych prętów z pustych skrzynek, zacząłem się nad tym zastanawiać. Stałem chwilę bez ruchu, po czym uczyniłem to samo, co Reagan poprzedniego dnia - palnąłem się otwartą dłonią w czoło.

Na twarzy Miguela wciąż malowało się zakłopotanie.

- Wydrążone fundamenty, rozumiesz? - powiedziałem. - Od czego ptaki widgie trzymają się z daleka, co? Od powietrza! Możemy teraz budować domy, jakie nam się żywnie podoba. Zamiast fundamentów pełnych wody dwie stalowe ścianki, a w środku zostawimy dużą pustą przestrzeń wypełnioną powietrzem. Będziemy mogli...

Urwałem w pół zdania. To już nie my będziemy mogli. Ci, co tu zostaną, będą mogli. A ja muszę się rozejrzeć za jakimś zajęciem na Ziemi.

Minął czwartek, nadszedł piątek.

Pracowałem do ostatniej chwili, bo to było jeszcze najlepsze. Z pomocą Reagana i Miguela sporządzałem spis materiałów budowlanych potrzebnych do realizacji naszych planów. W pierwszej kolejności postanowiliśmy zbudować dwupiętrowy gmach Centrum Międzyplanetarnego - jakieś czterdzieści izb. Spieszyliśmy się, bo Placyd był niedaleko pola Blakesleya, a nie sposób przecież wykonywać jakiegokolwiek papierkowej roboty, kiedy człowiek nie może nic przeczytać, a pisze tylko na wycucie. Ale moja myśl krążyła ciągle wokół „Arki”. W końcu podniosłem słuchawkę i połączyłem się z radiooperatorem.

- Właśnie z nimi rozmawiałem - oznajmił mi. - Są już niedaleko naszego układu, ale nie zdążą, zanim wejdziemy w pole Blakesleya. Muszą poczekać. Będą tu, jak tylko wyjdziemy z pola.

- Dobra - rzuciłem. Rozwiąła się nadzieja, że a nuż spóźnią się o dzień.

Wstałem i podszedłem do okna. Tak, byliśmy już bardzo niedaleko pola Blakesleya. Na północnej części nieboskłonu pojawił się drugi Placyd pędzący nam na spotkanie.

- Miga - odwróciłem się - chcesz zobaczyć?

Podeszła i stanęła obok mnie przy oknie. Patrzyliśmy obydwój na niebo. I nagle zdałem sobie sprawę, że obejmuję ją ramieniem. Jak do tego doszło, nie wiem. Nie cofnąłem jednak ręki. Ona także się nie odsunęła. Z tyłu doszło nas chrząknięcie Reagana.

- To ja pójdę. Zaniosę radiooperatorowi na razie tę część spisu. Niech zacznie nadawać, jak tylko wyjdziemy z pola Blakesleya. Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Wydawało mi się, czy też Miguela rzeczywiście przysunęła się bliżej?

Patrzyliśmy obydwój na Placyda, który pędził w naszym kierunku.

- To cudowne, Phil - powiedziała.

- Tak - potwierdziłem. Ale przedtem obróciłem się i mówiąc to, patrzyłem w jej twarz. A potem, no tak, bez zastanowienia pocałowałem ją. Później odszedłem i usiadłem przy biurku.

- Phil, co ci jest? - zapytała. - Chyba nie zostawiłeś na Ziemi żony z sześciorgiem małych dzieci, co? Byłeś kawalerem, kiedy się w tobie zadurzyłam, jeszcze jako studentka. Czekałam pięć lat, myślałam, że mi to minie. Ale gdzie tam! Poruszyłam niebo i ziemię, żeby dostać tę posadę na Placydzie. A wszystko tylko dlatego, żeby... Phil, czy to ja mam się oświadczać?

Jęknąłem. Nie patrzyłem na nią.

- Słuchaj, Miga. Kocham cię do szaleństwa. Tylko widzisz... tuż przed twoim przyjazdem wysłałem na Ziemię radiogram. Krótki, wszystkiego dwa słowa: „Zgłaszam rezygnację”. I teraz muszę opuścić Placyda. „Arka” niedługo tu będzie. I nie wiem nawet, czy mi dadzą z powrotem tę posadę na politechnice. Jeśli ci z Centrali zagną na mnie parol...

- Ależ, Phil... Zrobiła krok w moją stronę.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wracał Reagan. Przynajmniej raz zjawił się w porę. Zawołałem, żeby wszedł, i drzwi się otworzyły.

- Co, szefie, powiedział pan już Migueli?

Kiwnąłem ponuro głową.

- Świerzbil mnie język przez te wszystkie dni, ledwo wytrzymałem - Reagan pokazał zęby w uśmiechu. - No co, fajnie będzie mieć tu jeszcze Iga?

- Co? Jakiego Iga?

Uśmiech zamarł na wargach Reagana.

- Co pan, szefie? Niedobrze się pan czuje? Nie pamięta pan odpowiedzi, którą kazał mi pan wysłać na ten radiogram w poniedziałek, tuż przed przyjazdem Migi?

Patrzyłem na niego z otwartymi ustami. Nawet nie czytałem tego radiogramu, więc jak mogłem na niego odpowiedzieć? Albo Reagan zwariował, albo ja. Przypomniałem sobie, że schowałem go do biurka. Jednym ruchem otwarłem szufladę i złapałem radiogram. Ręka mi trochę drżała, kiedy go czytałem. Etat drugiego zastępcy przyznany. Zgłosić proponowane kandydatury.

Spojrzałem jeszcze raz na Reagana.

- Więc twierdzisz, że ja ci kazałem odpowiedzieć na ten radiogram?

Reagan był równie oszołomiony jak ja.

- Szefie, przecież mi pan kazał.

- I co ci kazałem odpowiedzieć?

- „Zgłaszam Rez Ignacia”. - Reagan wpatrywał się we mnie nierozumiejącym wzrokiem. - Dobrze się pan czuje, szefie?

Czułem się w tej chwili tak dobrze, że serce o mało mi nie wyskoczyło z radości. Podniosłem się i ruszyłem w stronę Miguela.

- Miga, zostaniesz moją żoną? - zapytałem.

Akurat wchodziliśmy w pole Blakesleya, ale zdążyłem ją jeszcze pochwycić w ramiona, tak że nie zobaczyłem, jaki przybrała wygląd, i ona nie zobaczyła, jaki ja przybrałem. Zobaczyłem natomiast nad jej ramieniem coś, co jeszcze przed chwilą było Reaganem.

- Wynoś się stąd, małpo zielona! - zawołałem.

Nie była to żadna przenośnia, bo właśnie to miałem przed oczami.

Jaskrawozieloną małpę.

Podłoga drżała pod moimi stopami, ale jednocześnie działały się ze mną rzeczy stokroć ważniejsze, tak że zdałem sobie sprawę, co oznaczają te wstrząsy, dopiero wtedy, kiedy zielona małpa odwróciła się i wrzasnęła:

- Szefie, ptaki pod nami! Uciekajcie, póki...

Tyle tylko zdążył powiedzieć, nim dom się zawalił i blaszany dach wyrzwał mnie w głowę. Straciłem przytomność.

Zwariowana planeta ten Placyd. Ale mimo wszystko lubię ją.

Przełożył: Krzysztof Zarzecki

## Pierwsza Maszyna Czasu

Dr Grainger powiedział uroczyście.

- Panowie, oto pierwsza maszyna czasu.

Trzej jego przyjaciele spojrzeli na stół. Stał tam sześciu cali o boku długości około sześciu cali, zaopatrzone w skalę i przełącznik.

- Wystarczy wziąć ją do ręki - mówił dr Grainger nastawić skalę na żadaną datę, nacisnąć guzik... i jesteście tam, gdzie chcecie się znajdować.

Smedley, jeden z trzech przyjaciół doktora, wziął pudełko do ręki i przyjrzał mu się uważnie.

- Czy to naprawdę działa? - spytał.

- Wypróbowałem ją tylko pobieżnie - odpowiedział doktor. - Nastawiłem ją na jeden dzień wstecz i nacisnąłem guzik. Zobaczyłem siebie samego od tyłu, wychodzącego z pokoju. Zrobiło mi się trochę dziwnie.

- A co by się stało, gdybyś podbiegł do drzwi i dał sobie kopniaka w siedzenie?

Dr Grainger roześmiał się.

- Zapewne nie mógłbym tego zrobić, bo to zmieniałoby przeszłość. Jest to stary paradoks podróży w czasie. Co by się stało, gdyby ktoś cofnął się w przeszłość i zabił swojego własnego dziadka, zanim ten poznał jego babkę?

Smedley, trzymając wciąż pudełko w ręku, nagle odsunął się od trzech przyjaciół i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- To jest właśnie to, co za chwilę zrobię. W czasie kiedy rozmawialiście, nastawiłem skalę na sześćdziesiąt lat wstecz. - Smedley, nie rób tego! - Dr Grainger zrobił ruch w jego stronę.

- Spokojnie, bo naciśnę guzik i nie powiem wam, o co chodzi... Ja też słyszałem o tym paradoksie. Bardzo mnie to interesowało, bo wiedziałem, że zabiłbym swojego dziadka, gdybym go tylko dostał w swoje ręce. Nienawidzę go. Był to ohydny brutal, który zamienił w piekło życie mojej babki i moich rodziców. Teraz mam szansę, na którą czekałem.

Smedley wyciągnął rękę i nacisnął guzik.

Na chwilę wszystko przesłoniła mgła... Smedley stał na polu. Po chwili namysłu zorientował się w terenie. Jeśli stoi teraz w miejscu, gdzie w przyszłości zostanie zbudowany dom doktora Graingera, to farma jego pradziadka powinna być o milę stąd, na południe. Ruszył w tym kierunku. Po drodze podniósł nawet kawał drewna, nadający się na maczugę.

Zbliżając się do farmy ujrzał rudowłosego młodego człowieka, który okładał batogiem psa.

- Przestań - ryknął Smedley, przyspieszając kroku.

- Pilnuj swojego nosa - burknął rudzielec, nie przestając znęcać się nad psem.

Smedley podniósł drąg.

W sześćdziesiąt lat później doktor Grainger powiedział uroczyście:

- Panowie, oto pierwsza maszyna czasu. Dwaj jego przyjaciele spojrzeli na stół.

Przełożył: Lech Jęczmyk

## Kopuła

Kyle Braden siedział wygodnie na fotelu, wpatrzony w przełącznik umieszczony w ścianie naprzeciwko. Zastanawiał się po raz stutysięczny, a może stumilionowy, czy nadszedł już czas, by przełącznik obrócić. Rozmyślał tak od trzydziestu lat; tak, dziś po południu upłynie dokładnie trzydzieści lat.

Przekręcenie przełącznika mogło oznaczać śmierć, nie wiadomo tylko, jakiego rodzaju. Na pewno jednak nie śmierć atomową - wszystkie bomby od lat już musiały wypromieniować. Promieniotwórczość tego było, rzecz jasna, dosyć, by zniszczyć wszelki ślad cywilizacji. A z jego dokładnych obliczeń sprzed trzydziestu lat wynikało jasno, że musi upłynąć co najmniej stulecie, nim człowiek zacznie na dobre budować nową cywilizację.

Co jednak działo się teraz na zewnątrz, poza chroniącym go od wszelkiej groźby polem mocy, ukształtowanym w kopułę? Czy krążyli tam ludzie zmienieni w bestie? Czy też ludzkość znikła zupełnie i miejsce jej zajęły inne, mniej nikczemne stworzenia? Chyba nie. Ludzkość musiała jakoś to przeżyć, a człowiek znów wstąpi na drogę rozwoju. A wspomnienie

tego, co uczynił sam sobie, zostanie może w postaci odstrasżającej legendy. Inna sprawa, czy można kogo odstraszyć...

Trzydzieści lat, myślał Braden. Dłużyły się potwornie. A przecież miał i nadal ma wszystko, czego mu trzeba, no i samotność jest przecież lepsza niż nagła śmierć. Tak myślał trzydzieści lat temu, gdy miał trzydzieści siedem lat. I tak myśli teraz, gdy ma lat sześćdziesiąt siedem. Nie żałował wcale tego, co zrobił. Był jednak zmęczony. I zastanawiał się, po raz stutysięczny, czy nie czas już obrócić przełącznika.

Tam, na zewnątrz, doszli już pewnie do jakiejś znośnej formy egzystencji, choć zapewne opartej na rolnictwie. Mógłby więc ludziom pomóc, użyć im wiedzy i obdarzyć rzeczami, jakich potrzebowali, zakosztować - nim się naprawdę zestarzeje - ich wdzięczności i własnego zadowolenia, że im pomaga.

Poza tym nie chciał umierać samotnie. Żył sam i można to było jakoś wytrzymać, ale samotna śmierć była czymś zupełnie innym. Dla jakichś powodów czuł, że umrzeć tu w samotności byłoby jeszcze gorsze, niż zostać zabitym przez nowych barbarzyńców, jakich spodziewał się znaleźć poza kopułą. Bo właściwie po trzydziestu zaledwie latach czegoż można się było spodziewać...

Dzień dzisiejszy byłby bardzo stosowny na konfrontację. Minęło dokładnie trzydzieści lat, jeżeli jego zegary nadal szły dokładnie. Nie mogły się zresztą tak bardzo rozregulować w takim czasie. Więc jeszcze parę godzin i będzie trzydzieści lat - co do minuty. Postanowił więc, że wtedy uczyni tę nieodwołalną rzecz. Dotąd bowiem właśnie nieodwołalność przekręcenia wyłącznika powstrzymywała go za każdym razem, kiedy o tym pomyślał.

Gdyby kopułę mocy można było wyłączyć, a potem znów uruchomić, decyzja byłaby łatwa i powziąłby ją już dawno. Może po dziesięciu lub



piętnastu latach. Ale stworzenie pola wymagało olbrzymiej ilości energii, choć bardzo niewiele było trzeba, by je utrzymać. Wtedy kiedy je uruchomił, na zewnątrz była jeszcze dostępna energia, ale nie dziś.

Samo pole - skoro je tylko uruchomił - przerwało wszelkie połączenia. Ale wewnątrz kopuły dość było źródeł energii, aby zaspokoić jego osobiste potrzeby i pokryć zapotrzebowanie samego pola.

Tak zaczęło się trzydzieści lat zupełnej samotności.

Braden nie chciał być sam. Gdybyż tylko Myra, jego sekretarka, nie uniosła się tak, kiedy... Teraz nie było celu już o tym myśleć, ale przychodziło mu to do głowy miliony razy. Dlaczego tak bezsensownie uparła się dzielić los z resztą ludzkości, dlaczego chciała pomagać tym, którym pomoc nie było można... I przecież go kochała. Gdyby nie ten szaleńczy pomysł, byłaby za niego wyszła. Zbyt nagle wyjawiał jej całą prawdę i to ją wzburzyło. A przecież byłoby tak cudownie, gdyby z nim została...

Wszystko przez to, że wiadomości nadeszły wcześniej, niż się spodziewał. Kiedy tamtego ranka włączył radio, wiedział, że pozostały zaledwie godziny. Nacisnął guzik przywołując Myrę - weszła, piękna jak zawsze, spokojna, opanowana. Można by sądzić, że nie czytała gazet, nie słuchała wiadomości radiowych, nie wiedziała w ogóle, co się dzieje.

- Usiądź, kochanie - powiedział. Oczy jej rozszerzyły się nieco; w tej formie nigdy się do niej nie zwracał. Ale usiadła z tym samym wyrazem twarzy jak zawsze, gdy miała mu stenografować. Ujęła ołówek.

- Nie, Myro - wyjaśnił. - To sprawa osobista, bardzo osobista. Chcę cię prosić, żebyś za mnie wyszła. Zrobiła wielkie oczy.

- Czy pan żartuje, doktorze?

- Nie, stanowczo nie. Wiem, że jestem trochę starszy od ciebie, ale nie tak wiele. Mam teraz trzydzieści siedem lat, choć może wyglądam na więcej wskutek zbyt intensywnej pracy. A ty masz dwadzieścia siedem, prawda?

- Skończyłam dwadzieścia osiem. Ale nie chodzi o wiek. Tylko że to wszystko przyszło tak nagle. Śmiesznie to powiedzieć, ale tak jest. Pan nigdy - uśmiechnęła się trochę złośliwie - nigdy mi się nawet nie przyjrzał. Pierwszy raz mi się to zdarzyło, odkąd pracuję.

- Przepraszam - zaśmiał się Braden. - Bardzo cię przepraszam. Ale teraz mówię poważnie, Myro. Czy wyjdiesz za mnie za mąż?

- Czy ja wiem... - odparła z namysłem. - Właściwie to zdaje się, że... kocham pana... trochę. Chociaż nie bardzo wiem dlaczego. Pan zawsze był tak bezosobowy, rzeczowy, pochłonięty pracą. Nigdy pan nawet nie spróbował mnie pocałować czy choćby powiedzieć komplement. A teraz te oświadczenia, takie nagłe i - znowu - rzeczowe. Może odłożymy to na trochę. A przez ten czas powie mi pan przynajmniej parę razy, że mnie pan kocha. To bardzo potrzebne.

- Ależ kocham cię, Myro. I nie gniewaj się. W każdym razie nie odrzucasz mojej prośby, prawda?

Zaprzeczyła w milczeniu. Jej oczy, wpatrzone w niego, były doprawdy piękne.

- W takim razie pozwól, że ci wyjaśnię, dlaczego wystąpiłem z tym tak późno i tak nagle. Po pierwsze pracowałem z rozpaczliwym pośpiechem i na wyścigi z czasem. Czy wiesz, nad czym pracowałem?

- Wiem, że to ma coś wspólnego z obroną. Jakieś urządzenie. I może się mylę, ale zdaje mi się, że pracował pan nad tym bez porozumienia z rządem.

- To prawda - przyznał Braden. - Dygnitarze nie chcieli mi wierzyć, a większość kolegów fizyków nie podzielała moich poglądów. Ale na szczęście miałem osobiste środki - dochody z różnych patentów na

wynalazki w zakresie elektroniki. A to, nad czym pracowałem, było urządzeniem ochronnym przeciw wszelkim bombom i w ogóle wszystkiemu, z wyjątkiem przeobrażenia Ziemi w małe słońce. Chodziło o pole mocy, przez które nic absolutnie przeniknąć nie może.

- I pan...

- Tak, zbudowałem je. Mogę wytworzyć je w każdej chwili wokół tego budynku i trwać będzie, jak długo tylko zechcę. Nic nie zdoła przez nie przeniknąć, póki tylko będę chciał je utrzymać. Poza tym ten budynek zaopatrzonej jest w olbrzymie ilości wszelkiego rodzaju zapasów. Są nawet wszelkie nasiona i chemikalia potrzebne do wyhodowania upraw hydroponicznych. Dwojgu ludzi wystarczy tego do końca życia.

- Ale pan przekazuje to chyba rządowi? Jeżeli to ochrona przeciw pociskom jądrowym...

- Tak - odparł Braden marszcząc brwi - ale niestety ma to nikłą wartość militarną. W tym sensie sztabowcy mieli rację. Widzisz, Myro, energia potrzebna dla stworzenia takiego pola mocy rośnie w stosunku sześciennym do jego wymiarów. Pole wokół tego budynku mieć będzie średnicę osiemdziesięciu stóp i kiedy je uruchomię, zużyję tyle energii, że przepali ono zapewne cały system oświetlenia niowy miasta Cleveland. Dla utworzenia takiej kopuły nad małą nawet wioską czy jakimś jednym obozem wojskowym trzeba więcej energii elektrycznej, niż zużywa cały kraj w ciągu paru tygodni. A gdyby wyłączyć pole dla wpuszczenia czy wypuszczenia kogoś, ponowne uruchomienie wymagałoby drugie tyle energii. Toteż jedyny użytek, jaki rząd mógłby uczynić z wynalazku, byłby ten, jaki sam zamierzam zrobić. To znaczy zachować życie jednej, dwóch, najwyżej kilku jednostek i pozwolić im przeżyć grozę nadciągających zdarzeń. Obecnie zresztą już za późno, aby zorganizować to gdziekolwiek indziej niż tu,

- Dlaczego za późno?

- Bo nie starczy już czasu na zbudowanie sprzętu. Dlatego, moja droga, że wojna już się toczy. Wpatrywała się w niego, blada jak płótno.

- Podano to przez radio - wyjaśnił - parę minut temu. Wojna wypowiedziana, Boston zniszczony przez bombę atomową. A wiesz dobrze - mówił coraz prędzej - co to wszystko znaczy i do czego prowadzi. Przekręcę za chwilę wyłącznik, by uruchomić pole, i utrzymam je do czasu, gdy będzie można bezpiecznie wyjść. - Nie chcąc powiedzieć, że nie przypuszcza, by za ich życia było to możliwe, dodał: - Więc jest już za późno, żeby komukolwiek jeszcze dopomóc, ale sami możemy się ocalić. Przykro mi - ciągnął z westchnieniem - że musiałem ci to wszystko wyłożyć tak brutalnie, bez przygotowania. Ale rozumiesz chyba dlaczego. I stąd te nagłe oświadczenia. Powtarzam zresztą: jeśli masz jakieś wątpliwości, nie żądam, abyś wyszła za mnie natychmiast. Poczekaj tu, aż decyzja w tobie dojrzeje. Przez ten czas będę mógł ci mówić to, co powinienem był dawno powiedzieć. A nie mówiłem dotąd, bo - uśmiechnął się smutno - tak byłem zapracowany. Teraz jednak będzie mnóstwo czasu. A ja cię naprawdę kocham.

Zerwała się nagle i bez odpowiedzi, nie patrząc, niemal na oślep, ruszyła w kierunku drzwi.

- Myra! - zawołał i rzucił się w ślad za nią. Była już przy drzwiach. Odwróciła się i powstrzymała go skinieniem ręki. Była bardzo spokojna.

- Muszę iść, doktorze. Mam trochę praktyki pielęgniarstwa. Pewnie się przydam.

- Ależ pomyśl, co tam się będzie działo! Ludzie zmienią się w dzikie bestie. Wymrą okropną śmiercią. Słuchaj mnie, Myro, kocham cię za bardzo, aby pozwolić ci odejść. Zostań, błagam cię!

- Niestety, muszę pana pożegnać, doktorze - odparła z dziwnym uśmiechem. - Obawiam się, że będę musiała umrzeć razem z dzikimi bestiami. Taka już widać jestem szalona.

Drzwi zamknęły się za nią cicho. Widział przez okno, jak zbiegała ze schodów, jak ruszyła pędem do miasta, gdy tylko znalazła się na chodniku.

W górze słyhać było wycie odrzutowców. Zapewne nasze, pomyślał, ale mogą być i nieprzyjacielskie - a Cleveland to jeden z celów. Wróg może nawet wiedział o nim i o jego pracy, dlatego na początek wybrał to miasto. Braden skoczył do wyłącznika i... przekręcił.

Za oknem, w odległości dwudziestu stóp, wyrosła szara nicość. Z zewnątrz nie przenikał teraz żaden dźwięk. Wyszedł z domu i spojrzał: szara półkula, wysoka na czterdzieści stóp i szeroka na osiemdziesiąt, dostatecznie wielka, by pokryć dwupiętrowy, niemal sześcienny budynek, który był jego domem i laboratorium. Braden wiedział, że druga połowa sięga na czterdzieści stóp w głąb ziemi, tworząc łącznie z pierwszą doskonałą kulę. Żadna siła nie mogła przeniknąć od góry, żaden robak i żadna potęga nie mogły wpełznąć czy wdrzeć się od dołu. I tak było przez pełnych trzydzieści lat. Nie były w końcu tak złe, pomyślał, te lata. Miał swoje książki, niektóre czytał tak często, że umiał je prawie na pamięć. Prowadził doświadczenia i chociaż od siedmiu lat, odkąd minęła mu sześćdziesiątka, zainteresowania jego i siły twórcze osłabły, dokonał kilku wcale istotnych odkryć.

Trudno je porównać z wynalazkiem pola czy większością wcześniejszych jego wynalazków; zabrakło mu już bodźca. Prawdopodobieństwo, że cokolwiek z tych nowych odkryć przyda się jemu lub w ogóle komukolwiek, było bardzo nikłe. Jakiż pożytek z udoskonalen elektronicznych mógł czerpać dzikus nie umiejący obchodzić się z najprostszym odbiornikiem radiowym, nie mówiąc już o zbudowaniu go.

W każdym razie zajęcia, jakie miał, wystarczyły, by Braden czuł się dobrze, choć daleko mu było do szczęścia.

Podszedł do okna i wpatrzył się w nieprzeniknioną szarość. Gdybyż tylko mógł ją unieść na chwilę i obejrzawszy, co chce, na powrót ją opuścić. Niestety, raz usunięta, nie dałaby się przywrócić.

Podszedł do wyłącznika i długo się przyglądał. Nagle sięgnął dłonią i przekręcił. Zwrócił się do okna, po czym szybkim krokiem zaczął iść, w końcu podbiegł. Szara ściana znikła, a to, co ujrzał, było wprost nie do wiary.

Za oknem rozciągało się zachwycające miasto - nie Cleveland, jakie znał. Zupełnie nowe miasto. Na miejscu dawnej wąskiej uliczki widniał szeroki bulwar. Z obu stron wznosiły się piękne budynki o dziwnej, nie znanej mu architekturze. Drzewa, trawniki - wszystko było starannie utrzymane. Co się stało, jak to było możliwe? Po wojnie nuklearnej ludzkość w żaden sposób nie mogła tak szybko odrobić zniszczeń. Chyba że wszystkie pojęcia socjologiczne były absurdalnie błędne.

A gdzie są ludzie? Jakby w odpowiedzi przejechał samochód. Samochód? Takiego nigdy nie widział. Niezwykle szybki, zgrabny, poruszał się znakomicie, ledwie dotykając jezdni, jak gdyby antygravitacja ujęła mu ciężaru, a żyroskopy nadały stabilności. W wozie siedziała para ludzi; prowadził mężczyzna. Był młody, przystojny, podobnie zresztą jak kobieta.

Spojrzeli w stronę Bradena i nagle - mężczyzna zatrzymał wóz, który stanął niewiarygodnie szybko. Oczywiście, pomyślał Braden, musieli tu nieraz przejeżdżać i oglądać szarą kopułę, której teraz nie było. Wóz ruszył - pojechali pewnie kogoś zawiadomić.

Braden otworzył drzwi i wyszedł na bulwar. Zrozumiał teraz, dlaczego ruch był tak słaby i dlaczego tak mało było ludzi. W ciągu trzydziestu lat

jego zegary posunęły się o wiele godzin. Był teraz wczesny ranek - około szóstej, sądząc z położenia słońca.

Braden poszedł przed siebie. Mógł poczekać w domu, gdzie przebył pod kopułą trzydzieści lat - na pewno by się ktoś zjawił, zawiadomiony przez parę młodych ludzi.

Ale Braden wolał nie czekać, chciał sam wszystko zobaczyć.

Po drodze nie spotkał nikogo. Znalazł się w pięknej dzielnicy mieszkaniowej, było jeszcze wcześnie. W dali zobaczył parę osób, zauważył, że różni się od nich ubiorem, ale nie na tyle, by wzbudzić sensację. Przejechało jeszcze kilka niezwykłych wozów, ale nikt z jadących nie spostrzegł Bradena. Jechali zbyt szybko.

Doszedł wreszcie do jakiegoś otwartego sklepu. Wiedziony ciekawością, wszedł do środka. Kędzierzawy młodzieniec, który układał coś na ladzie, spojrzął na Bradena ze zdziwieniem i zapytał uprzejmie:

- Czym mogę panu służyć?

- Proszę nie brać mnie za wariata. Wszystko za chwilę wytłumaczę. Niech mi pan tylko powie, co się tu stało trzydzieści lat temu? Czy nie było wtedy wojny jądrowej?

- A, rozumiem - oczy młodzieńca rozbłysły - pan musi być mieszkańcem kopuły. I dlatego... - urwał z zakłopotaniem.

- Tak - potwierdził Braden. - Byłem pod kopułą. Ale co się tu stało? Co się stało po zniszczeniu Bostonu?

- Przyszły statki kosmiczne. Zniszczenie Bostonu, proszę pana, było przypadkiem. Flotyła statków przysłała z Aldebarana. Należały do rasy przyjaznej i znacznie bardziej od nas rozwiniętej. Przybyli, żeby nam pomóc i zaproponować wstąpienie do Unii. Niestety, jeden rozbił się nad Bostonem. Wybuch energii jądrowej w motorze i w wyniku tego - milion ofiar. Ale inne statki wylądowały zgodnie z programem, wszystko się

wyjaśniło i - wprawdzie w ostatniej chwili - ale uniknęliśmy wojny. Nasze statki, które były już w drodze, zdołano jakoś odwołać.

- Więc nie było wojny? - spytał Braden stłumionym głosem.

- Oczywiście że nie. A dzisiaj, dzięki Unii Galaktycznej, wojna jest tylko koszmarem wspomnieniem ciemnego okresu dziejów. Teraz nawet nie byłoby komu wypowiedzieć wojny - nie ma przecież państw. Dzięki Unii zrobiliśmy olbrzymi postęp. Skolonizowaliśmy Marsa i Wenus, które nie były zamieszkane. Ale Mars i Wenus to tylko przedmieście. Podróżuje my do gwiazd. Nawet... - tu urwał.

Braden przytrzymał się mocno krawędzi lady. Więc ominęły go tak niezwykle rzeczy! Trzydzieści lat przetrwał w samotni, a teraz był starym człowiekiem...

- Co nawet? - zapytał odgadując po trosze, jaka będzie odpowiedź.

- Nawet jesteśmy bliscy nieśmiertelności. Już teraz możemy żyć setki lat. Nie jestem chyba młodszy od pana. Nie wiem tylko, czy się pan nie spóźnił. Bo środki, w jakie zaopatrzyła nas Unia, działają tylko na ludzi w średnim wieku, w każdym razie przed pięćdziesiątką. A pan ma...

- Sześćdziesiąt siedem - odparł sucho Braden. - Dziękuję panu.

Tak, ominęło go wszystko. Gwiazdy - dałby nie wiem co, aby się tam dostać, ale już nie teraz. No i Myra. Mogła przecież należeć do niego i oboje byliby jeszcze młodzi.

Wyszedł ze sklepu i skierował się w stronę budynku do dziś jeszcze znajdującego się pod kopułą, gdzie już na niego czekano. Może użyczą mu jedyne, o co chciałby prosić - energii, by mógł przywrócić pole mocy. Tak, jedyne, czego sobie życzył obecnie, to to, czego się dotąd najbardziej obawiał: pragnął umrzeć, jak żył, w samotności.



## Dowódca

- Pierwsza wyprawa na Marsa - mówił profesor historii - ta, która poprzedziła wstępną eksplorację przez statki rozpoznawcze, przysporzyła wielu problemów. Miała być początkiem dla stałej kolonii na tej planecie, a w jej skład wszedł tylko jeden mężczyzna. Podstawowym problemem było pytanie: ile kobiet i ilu mężczyzn powinno wejść w skład ekspedycji składającej się z trzydziestu osób.

Stany się trzy teorie.

Wedle pierwszej statek kosmiczny powinien zabrać piętnastu mężczyzn i piętnaście kobiet, spośród których większość znajdzie sobie partnerów i w ten sposób w szybkim czasie powstanie kolonia. Druga teoria zakładała wysłanie dwudziestu pięciu mężczyzn i pięciu kobiet (wszyscy mieli być uprzednio zobowiązani do zrzeczenia się roszczeń do monogamii), a to ze względu na to, że pięć kobiet może łatwo usatysfakcjonować dwudziestu pięciu mężczyzn, zaś tyluż mężczyzn tym bardziej zadowolili pięć kobiet.

W końcu zwolennicy trzeciej propozycji twierdzili, że ekspedycja powinna się składać z trzydziestu mężczyzn, ponieważ będą oni mogli lepiej się skupić na pracy bez obecności kobiet. Ponadto dodawali, że ponieważ w ciągu roku miał przylecieć następny statek międzyplanety, będzie on mógł dowieźć kobiety. Rok abstynencji nie może być uznany za zbyt wielkie

obciążenie dla mężczyzn, którzy nawykli do poświęceń, jako że szkoły kadetów, męska i żeńska, skrupulatnie przestrzegały rozdziału płci i celibatu.

Dyrektor Biura Wypraw Międzyplanetarnych rozstrzygnął problem w sposób prosty. Postanowił... Tak, słucham panią, panno Ambrose?

Dziewczyna wstała z miejsca.- Panie profesorze, czy mówi pan o ekspedycji kierowanej przez kapitana Maxona? Tego, którego nazwano Maxon Champion? Czy może nam pan opowiedzieć, skąd się wziął ten przydomek?

- Zaraz do tego dojdę, panno Ambrose, W młodszych klasach opowiadano wam oczywiście historię tej wyprawy, ale nie całą historię. Jesteście teraz wystarczająco dorośli, by ją usłyszeć w całości. Dyrektor Biura Wypraw Międzyplanetarnych zakończył spór zapowiadając, że członkowie wyprawy zostaną wybrani drogą losowania bez brania pod uwagę płci, spośród wszystkich uczniów ostatnich klas obu szkół kadetów. Jasne było, że dyrektor był zwolennikiem drugiej teorii - ostatecznie klasy szkoły męskiej liczyły pięciuset kadetów, zaś żeńskiej stu. Rachunek prawdopodobieństwa powinien doprowadzić do wyniku - dwudziestu pięciu mężczyzn i pięć kobiet.

Tyle że rachunek prawdopodobieństwa nie ma zastosowania przy krótkich seriach. I zdarzyło się, że w lasowaniu dwadzieścia dziewięć kobiet wyciągnęło los. Mężczyzna tylko jeden.

Wszyscy, oprócz oczywiście szczęśliwych zwycięzczyń, zaprotestowali, ale dyrektor był uparty i odmówił wprowadzenia zmian na liście załogi. Jedynym ustępstwem było przychylenie się do żądań męskiej części opinii publicznej, by Maxon został dowódcą. Statek odleciał, podróż przebiegała bez zakłóceń.

Kiedy wylądowała druga ekspedycja, kolonia na Marsie była dwukrotnie większa, dokładnie dwukrotnie. Każda z kobiet miała dziecko, jedna dwojaczki, co razem daje trzydzieścioro dzieci. Tak, tak panno Ambrose, widzę, że podnosi pani rękę, ale proszę pozwolić mi kontynuować. To prawda, nie ma nic sensacyjnego w tym co wam opowiedziałem do tej chwili. Być może niektórzy powiedzą, że to nie wypada, ale twierdze, że nie ma nic nadzwyczajnego w tym, że mężczyzna mający czas spowodował ciążę u dwudziestu dziewięciu kobiet. Przydomek kapitana Maxona pochodzi stąd, że prace przy statku drugiej ekspedycji trwały krócej niż przewidywano i że przybyła ona nie po roku, a po dziewięciu miesiącach i dwóch dniach od wyruszenia pierwszej.

Czy wystarczy pani taka odpowiedź na zadane pytanie, panno Ambrose?

Przełożył: Adam Pietrasiewicz